LOURDES.

Ku większej czci i chwale Najśw. Panny

opracowała

S....

Wydanie drugie.

POZNAŃ.
NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.
1899.

IMPRIMATUR.

Posnaniae, die 26. Maji anno Dni 1895.

Vicarius in Spiritualibus Generalis.

† *Ed. Likowski,*
Epps. Suffr.

N-rus Drii 4920/95

I.

Miasteczko Lourdes*) leży w departamencie wyższych Pyreneów, przy ujściu siedmiu dolin, między ostatniemi falistemi wzgórzami, które zamykają równinę Tarbes, a pierwszemi spadzistościami, które poczynają Wielką Górę. Domy, rozrzucone nieregularnie na pagórkowatym obszarze, tłoczą się niemal w nieładzie do stóp olbrzymiej skały, odosobnionej od wszystkiego i na której, jak gniazdo orle, zawisła ogromna warownia. U stóp tej skały, z przeciwnej strony miasta w cieniu olszy i topoli, toczy się z hałasem Gawa, rozbijając swe spienione fale o kamienie i obracając nad brzegami swemi koła trzech czy czterech młynów. Turkot młyńskich kamieni i szelest wiatru w gałęziach drzew łączą się z szmerem hałaśliwej fali.

Gawę tworzą różne potoki z wyższych dolin, które same wychodzą z odwiecznych lodowców i nieskalanych śniegów, pokrywających w głębiach łańcucha nieżyzne boki Wielkiej Góry. Główny z tych dopływów pochodzi z wodospadu w Gawarnii, który, jak wiadomo, spada z jednego z tych rzadkich szczytów, na które jeszcze wedrzeć się nie zdołała stopa ludzka.

Zostawiając na prawo miasto, zamek i wszystkie młyny w Lourdes, z wyjątkiem jednego, który jest

*) Czytaj Lurd.

po lewej stronie, Gawa bieży spiesznie ku miastu Pau (Po), które przepływa szybko, by się rzucić w objęcia rzeki Adur, a ztamtąd w nurty oceanu.

W okolicy Lourdes krajobraz, wzdłuż którego płynie Gawa, to jest dziki, to znowu czarujący. Zielone łąki, uprawne pola, gęste lasy, strome skały, przeglądają się kolejno w jej falach. Tam żyzne pola, widoki pełne uroku, wielki trakt do Pau z powozami, jeźdzcami i pieszymi, tutaj dzikie góry i okropna ich samotność.

Warownia Lourdes, prawie niezdobyta przed wynalazkiem artyleryi, była ongi kluczem Pyreneów. Tradycya opiewa, że Karol Wielki w czasie wojny z niewiernymi nie mógł jej zdobyć. W chwili, kiedy miał zawiesić oblężenie, orzeł, wzlatując nad najwyższą wieżą obleganej fortecy, spuścił wspaniałą rybę, którą pochwycił w sąsiedniem jeziorze.

Czy to dla tego, że w owym dniu przykazania Kościoła przepisywały post, czy też dla tego, że ryba była chrześciańskim symbolem, używanym w owym czasie? dość, że dowódzca Saracenów, Mirat, który zajmował cytadelę, spostrzegł w tem cud Boży i nawrócił się do prawdziwej wiary. Potrzeba było tylko cudu nawrócenia Mirata i chrztu jego, aby warownią przyłączyć do dziedziny chrześciaństwa. Saracen jeszcze ślubował — powiada kronika — że, „zostawszy rycerzem Najświętszej Panny, Matki Bożej, chce aby tak dla niego, jak i jego potomków hrabstwo jego, wolne od wszelkiego lennictwa ziemskiego, zależało od Niej samej tylko.“

Herby miasta z imieniem ich dzierzyciela świadczą o tem nadzwyczajnem zdarzeniu z orłem i rybą. Lourdes ma w herbie na czerwonem polu trzy złote wieże, prążkowane czarno, na srebrnej skale; wieża środkowa jest wyższą od dwóch drugich i podtrzymuje orła z rozpostartemi skrzydłami, żyłkowanemi złotem, trzymającego w dziobie srebrnego pstrąga.

W ciągu średnich wieków warownia Lourdes była postrachem dla całej okolicy. Już to w imieniu Anglików, już w imieniu hrabiów Bigorry zajmował ją rodzaj kapitanów — rabusiów, którzy w istocie zależeli tylko sami od siebie i nakładali haracz na mieszkańców równiny na czterdzieści lub pięćdziesiąt mil w około. Opowiadają, że mieli oni tyle zuchwałości, iż zabierali rzeczy i ludzi aż pod same bramy Montpellier; następnie powracali, jako prawdziwe ptaki drapieżne, napowrót do swego niedostępnego gniazda.

W ośmnastym wieku cytadela Lourdes stała się więzieniem stanu. Była to Bastylia pyrenejska. Rewolucya otworzyła wrota tego więzienia dwom lub trzem przestępcom, osadzonym tam przez despotyzm i zaludniła je w zamian kilkuset więźniami, którzy popełnili zaprawdę inne winy. Jeden z współczesnych pisarzy wypisał z listy więziennej występki tych zbrodniarzy. Oto — powiada on — jak obok nazwiska każdego więźnia sformułowano określenie zbrodni: Grubianin — odmówił pocałunku pokoju obywatelowi N... przed ołtarzem ojczyzny. — Złośliwy. — Opój. — Zimny wobec rewolucyi. — Charakter obłudny, wstrzemięźliwy w wydawaniu opinii. — Usposobienie kłamliwe, jak u wyrywacza zębów. — Spokojny Harpagon. Obojętny dla rewolucyi itd. itd.

Widzimy, że rewolucya słusznie skarżyła się na arbitralność królów i że po okropnym despotyzmie monarchii, zaprowadziła system łagodnej tolerancyi i zupełnej wolności!

Cesarstwo zachowało warowni w Lourdes jej charakter więzienia stanu, który utraciła dopiero z powrotem Burbonów. Od czasów Restauracyi groźna cytadela średniowieczna, stawszy się z porządku rzeczy twierdzą czwartego, lub piątego rzędu, znajduje się pod strażą załogi, składającej się ze stu żołnierzy pod rozkazami komendanta.

II.

Miasto pozostało zawsze kluczem Pyreneów, ale z innego zupełnie względu, aniżeli ongi. Lourdes położone jest na drodze do wszystkich wód kąpielowych. Czy ktoś jedzie do Barèges, do Saint-Sauveur, do Cauterets, albo do Pau, czy chce się udać do Luchon, zawsze musi przejeżdżać przez Lourdes. Po wszystkie czasy, od jak dawna jeżdżą do wód w Pyreneach, niezliczone dyliżanse, będące na usługi miejsc kąpielowych podczas lata, zatrzymywały się przed hotelem poczty. Pozostawiano zwykle podróżnym czas do spożycia obiadu, zwiedzenia warowni i podziwiania krajobrazu przed wyjazdem.

Od wieku lub dwóch przez małe to miasto przejeżdżają bezustannie goście kąpielowi i turyści, przybywający ze wszystkich zakątków Europy. Ztąd nabrało ono znacznej ogłady.

W roku 1858, w czasie, w którym rozpoczyna się niniejsze opowiadanie, otrzymywano w Lourdes od dawna większą część dzienników z Paryża. „Przegląd dwóch światów“ liczył tam kilku abonentów. Jak wszędzie, restauracye i kawiarnie podawały swym gościom trzy numera „Wieku“, dzisiejszy, wczorajszy i przedwczorajszy. Mieszczaństwo i duchowieństwo dzieliło się między „Journal des Débats,“ „Prasę,“ „Monitora,“ „Świat“ i „Zgodę.“

Lourdes posiadało klub, drukarnią, gazetę. Podprefekt mieszkał w Argelès, ale przykrość, jakiej doznawali mieszkańcy, będąc pozbawieni tego urzędnika, łagodziło posiadanie trybunału pierwszej instancyi, t. j. trzech sędziów, prezesa, prokuratora cesarskiego i substytuta. Dopomagali im: sędzia pokoju, komisarz policyi, sześciu woźnych, siedmiu żandarmów. W środku miasta wznosił się szpital i więzienie; a jak to będziemy może mieli sposobność stwierdzić, zdarzały się okoliczności, w których, jak

utrzymywało kilka umysłów silnych, karmionych zdrowemi i humanitarnemi zasadami „Wieku,“ należało przestępców umieszczać w lazarecie, chorych zaś w więzieniu.

Nie żyli tam sami tylko ci potężni myśliciele, w sądzie w Lourdes, w ciele lekarskiem spotykało się ludzi wielkiej nauki i znakomitego wychowania, umysły wybitne, bezstronnych spostrzegaczy, jakich nie zawsze znajduje się w najważniejszych miastach.

Mieszkańcy gór bywają zwykle obdarzeni praktycznym, zdrowym rozsądkiem. Ludność, nie mająca w sobie domieszki obcej krwi, była doskonałą. Mało miejscowości możnaby wymienić we Francyi, w którychby liczniej uczęszczano do szkoły, aniżeli w Lourdes. Nie ma tam chłopca, któryby przez kilka lat nie chodził do nauczycieli świeckich, albo do Braciszków, nie ma dziewczynki, którąby również, aż do ukończenia wykształcenia nie odwiedzała szkoły Sióstr. Wykształceńsi od robotników większej części miast francuzkich, mieszkańcy Lourdes odznaczają się zarazem wiejską prostotą życia. Mają krew gorącą, serce prawe, obyczaje czyste. Są uczciwi, religijni i mało przystępni dla nowości.

Niektóre instytucye miejscowe, sięgające niepamiętnych czasów, przyczyniają się do utrzymania tak szczęśliwego stanu rzeczy. Lud w tych okolicach, na długo przed rzekomemi odkryciami nowoczesnego postępu zrozumiał i przeprowadzał pod skrzydłami Kościoła w czynie zasady solidarności i przezorności, które dały początek związkom wzajemnej pomocy. Takie stowarzyszenia istnieją w Lourdes od wieków; sięgają one wieków średnich, przebyły zwycięzko rewolucyą a filantropowie oddawna byliby je uczynili sławnemi, gdyby swej żywotności nie czerpały z zasady religijnej i nie nazywały się, jak w piętnastym wieku, „bractwami.“

Cały lud niemal wstępuje do tych stowarzyszeń, równie dobroczynnych, jak pobożnych. Robotnicy, których łączy imię konfratrów, oddają swoją pracę pod opiekę niebieską, nawzajem udzielają sobie pomocy i spełniają miłosierdzie chrześciańskie. Wspólna kasa otrzymuje ofiarę miesięczną robotnika zdrowego i silnego, aby ją oddać robotnikowi, dotkniętemu chorobą lub nędzą, robotnikowi zmarłemu, któremu stowarzyszenie sprawia pogrzeb i towarzyszy do miejsca ostatniego spoczynku. Każde bractwo, z wyjątkiem dwóch, które dzielą się wielkim ołtarzem, posiada osobną kaplicę, od której przybiera nazwę i którą utrzymuje niedzielną składką. Bractwo Najśw. Panny Miłosierdzia składa się z rolników; bractwo Najśw. Panny z góry Karmelu, z robotników w kopalniach łupku, bractwo Najśw. Panny z Monserrat z mularzy, bractwo św. Łucyi z krawców, św. Anny ze stolarzy, Wniebowstąpienia z robotników w kamieniołomach, Najśw. Sakramentu z członków dozorów kościelnych, św. Jana i św. Jakóba z tych wszystkich, którzy otrzymali jedno lub drugie imię na chrzcie św.

Kobiety również uczestniczą w podobnych stowarzyszeniach religijnych. Jedno z nich „Bractwo Dzieci Maryi,“ ma osobny charakter. Jest ono także, ale w rzeczach duchowych, stowarzyszeniem wzajemnej pomocy. Aby wstąpić do tego bractwa, które jest naturalnie świeckiem, trzeba być wypróbowanych zalet. Dzieci myślą o tem, zanim wyrosły na dorosłe dziewczęta. Członkowie tego bractwa zobowiązują się nie wstępować na pochyłą drogę przez uczęszczanie na zabawy światowe, na których zatraca się ducha religijnego, nie stosować się do ekscentrycznej mody, być punktualnemi na zebraniach i naukach, które się odbywają co niedzielę. Jestto zaszczytem zostać tam przyjętą; wstydem zostać z kongregacyi wykluczoną. Ile to bractwo zdziałało dobrego, jak bardzo utrzymało moralność w kraju,

ile przygotowało dobrych matek rodzinom, nikt nie zdołałby zliczyć. To też w wielu dyecezyach utworzono liczne bractwa na wzór tej kongregacyi.

Kraj odznacza się szczególnem nabożeństwem do Najśw. Panny. Przybytki, poświęcone Jej czci, są liczne w Pyreneach, począwszy od Pietat albo Garaison aż do Betharram. Wszystkie ołtarze w Lourdes są poświęcone Bożej Rodzicielce.

III.

Takiem było Lourdes przed kilkunastu laty.

Kolei żelaznej jeszcze tam nie było i nawet nie myślano o tem, aby tam ją miano zbudować kiedykolwiek. Droga bardziej bezpośrednia zdawała się być naprzód wytkniętą dla linii pyrenejskich.

Miasto całe i forteca są położone, jak powiedzieliśmy, na prawym brzegu Gawy, która rozbiwszy się w drodze z południa o skałę olbrzymią, służącą za podstawę warowni, robi zakręt pod prostym kątem i nagle zwraca się w kierunku zachodu.

Stary most, zbudowany w górę rzeki, w pewnej odległości od pierwszych domów miasta, otwiera komunikacyą ze wsią, z łąkami, lasami i górami lewego brzegu.

Na tym ostatnim brzegu, nieco wyżej mostu, naprzeciw cytadeli, małe zboczenie Gawy daje początek wielkiemu kanałowi. Kanał ten łączy się z Gawą o kilometr ku dołowi, obiegłszy tylko o kilka metrów skały Massabielle, którym kąpie stopy.

Długa wyspa, utworzona przez Gawę i ów prąd, jest wielką i zieloną łąką. W kraju nazywają ją „wyspą pałacyku,“ albo krótko „pałacykiem.“

Młyn w Sâvy, jedyny na lewym brzegu, jest zbudowany na obu stronach kanału i służy za most między łąką a drogą. Młyn ten, tak samo jak pa-

łacyk, należą do jednego z mieszkańców Lourdes, pana Laffitte.

W 1858 r. tedy nie było w okolicy tego bardzo ożywionego miasteczka, które opisaliśmy, miejsca bardziej odludnego, bardziej dzikiego i opustoszonego, jak owe skały Massabielles, u stóp których łączy się Gawa z kanałem młyna.

O kilka kroków niżej owego dopływu, nad brzegiem strumienia, urwista skała miała w swej podstawie trzy nieregularne zagłębienia, dość dziwacznie umieszczone jedne nad drugiem i połączone ze sobą, jak otwory jakiejś olbrzymiej gąbki.

Dziwaczność tych zagłębień utrudnia opisanie ich.

Pierwsza i największa znajdowała się u dołu. Wyglądała mniej więcej, jak namiot kupiecki albo bardzo niekształtny i bardzo wysoki piec do chleba, przecięty prostopadle do połowy i który zamiast utworzyć całe sklepienie, tworzy tylko półsklepienie.

Wejście, z łukiem bardzo pokrzywionem, miało około czterech metrów wysokości w najwyższym swoim punkcie. Szerokość groty, niemal równa głębokości, miała od dwunastu do piętnastu metrów.

Począwszy od tego wejścia, skała ciągnęła się dalej pochyło, na sposób dachu pod szczytem, widzianego od dołu, spuszczającego się po obu stronach.

Wyżej, nieco na prawo od widza, znajdowały się dwa drugie otwory jeden nad drugim, które wyglądały, jak poboczne tego pierwszego zagłębienia.

Widziany zewnątrz, główny z tych otworów miał w swym owalnym kształcie wysokość i szerokość okna w domu lub niży w kościele. Zagłębiał się w skale od dołu ku górze; potem doszedłszy do blisko dwóch metrów głębokości, rozdzielał się widełkowato, zniżając się z jednej strony ku dolnej grocie, podnosząc się z drugiej ku zewnętrznej stronie skały, gdzie jego zagłębienie tworzyło ów drugi otwór wyższy, o którym wspomnieliśmy, a który nie miał

innego znaczenia, krom tego, że przyczyniał się do dokładnego oświecenia we wszystkich kierunkach tego zagłębienia uzupełniającego.

Dzika róża, wyrosła w szczelinie skały, spuszczała długie swe łodygi na postawę zagłębienia w kształcie niży.

U spodu tego małego systemu zagłębień, bardzo prostego dla oka, ale bardzo zawikłanego dla kogoś, który chce dać o nim wyobrażenie, wśród stosu olbrzymich kamieni, osuniętych z góry, przepływał szybki strumień młyna, by o pięć lub sześć kroków dalej połączyć się z Gawą.

Grota znajdowała się właśnie naprzeciwko niższego końca wyspy pałacyku, utworzonej, jak powiedzieliśmy, przez Gawę i kanał.

Owe zagłębienia nazywano Grotą Massabielle, od nazwy skał, w których się mieściły. „Massabielle“ w narzeczu krajowem znaczy „stare skały.“

Ku dołowi Gawy, wzdłuż brzegów ciągnął się nieuprawny i spadzisty pas ziemi, należący, jak reszta, do miasta Lourdes i tam pasterze niekiedy pasali swą nierogaciznę.

Gdy ich zaskoczyła burza, biedni ci ludzie chronili się do groty, tak samo rybacy, którzy w tem miejscu zarzucali sieci swoje w Gawę.

Jak we wszystkich zagłębieniach tego rodzaju, skała była sucha w zwykłym czasie, a nieco wilgotna w czasie deszczu. Tę rzadką wilgoć i nieznaczną dżdżystość pory deszczowej można było zauważyć tylko po jednej stronie, to jest na prawo od wejścia. Z tej strony zwykle przychodzi deszcz, gnany wiatrem z zachodu; działo się więc naturalnym sposobem ze skałą bardzo cienką i pełną szczelin w tem miejscu, co się dzieje z domami tak samo wystawionemi na deszcz i zbudowanemi z słabego materyału.

Strona lewa i wnętrze, nie znajdując się w tych samych warunkach, były zawsze suche jak posadzka

w salonie. Przypadkowa wilgoć ściany zachodniej uwydatniała suchość ściany północnej, wchodniej i południowej groty.

Ponad potrójnem zagłębieniem wznosiła się niemal ostro zakończona, olbrzymia masa skał Massabielle, porosłych miejscami bluszczem i krzewiną, murawą i mchem. Powikłane konary, leszczyna, dzikie róże, kilka drzew, którym wiatr często odłamywał gałęzie, wypuściły korzenie w szczelinach skały, wszędzie, gdzie jakieś osunięcie się góry lub podmuch wiatru uniósł grudkę ziemi.

Przedwieczny Siewca, Ten, którego dłoń niewidzialna zapełnia słońcami i gwiazdami ogromy przestrzeni, Ten, który z nicości stworzył ziemię, rośliny i zwierzęta, Stwórca tylu milionów ludzi, którzy zaludnili ziemię i tylu miliardów aniołów, którzy zaludniają niebo, ten Bóg, którego hojność nie zna granic, a potęga niezmierzona, chce, aby ani jeden atom nie zginął w ogromnej przestrzeni jego tworów. Oto dla czego nie pozostawia bezpłodnem niczego, co może plon wydawać, dla czego na całym obszarze naszej kuli niezliczone zarodki unoszą się w powietrzu, pokrywając ziemię, gdziekolwiek się ona ukazuje, choćby nie miała więcej miejsca, jak dla grządki trawy albo żyta, jak dla źdźbła mchu. Tak samo łaski Zbawiciela, jak niewidzialne pyłki żyznego nasienia, krążą w koło naszej duszy, szukając dobrej roli. A jeżeli jesteśmy tak niepłodni, to dla tego, że ukazujemy albo serca twarde i nieurodzajniejsze od skały, albo drogi ubite stopami przechodniów, lub krzaki cierniste, pośród których wschodzi złe ziarno, tłumiąc dobre nasienie.

IV.

Dzień 11 lutego 1858 r. rozpoczynał tydzień światowych zabaw, które wedle niepamiętnego zwyczaju, poprzedzają umartwienia Wielkiego Postu.

Było to w tłusty czwartek. Powietrze było zimne, nieco pochmurne, ale bardzo spokojne. Na przestrzeni nieba chmury stały nieruchomo. Żaden wietrzyk nie popychał ich, atmosfera tchnęła zupełnym spokojem. Chwilami spadały krople deszczu.

Owego dnia, wedle szczególnych przywilejów, dyecezya Tarbes święciła pamięć słynnej pasterki francuzkiej, św. Genowefy.

Jedenasta wybiła na wieży kościoła w Lourdes.

Podczas kiedy wszędzie przygotowywano wesołe zebrania i zabawy, rodzina biednych ludzi, którzy mieszkali w nędznym domku przy ulicy Małych Wałów nie miała nawet drzewa, by przy niem ugotować nędzny obiad.

Ojciec, młody jeszcze, był młynarzem i przez pewien czas dzierżawił mały młyn na północy miasta, nad jednym z potoków, które wpadają do Gawy. Ale zajęcie to wymaga kapitału, ponieważ lud ma zwyczaj mleć zboże swoje na kredyt; biedny młynarz z tego powodu musiał oddać dzierżawę małego młyna, w którym praca jego, zamiast przynieść mu dobrobyt, przyczyniła się do pogrążenia go we większą nędzę. Oczekując dni pomyślniejszych, pracował — nie u siebie, gdyż nie posiadał nic na świecie, nawet maleńkiego ogródka — ale gdziekolwiekbądź, u sąsiadów, którzy zatrudniali go od czasu do czasu, jako najemnika.

Nazywał się Franciszek Soubirous*) i miał za żonę bardzo uczciwą kobietę, Ludwikę Casterot, która była dobrą chrześcianką i dodawała mu ducha.

Mieli czworo dzieci: dwie dziewczynki, z których starsza liczyła lat czternaście niespełna i dwóch chłopców znacznie młodszych; ostatni miał blizko trzy lata.

Od dwóch tygodni dopiero starsza córka, wątłe dziewczę, mieszkała z nimi. Ta mała dziewczynka

*) Czytaj Subiru.

właśnie ma odegrać główną rolę w naszem opowiadaniu i dla tego bardzo starannie zebraliśmy wszystkie szczegóły z jej życia.

Kiedy przyszła na świat, matka z powodu choroby, w jaką popadła w owym czasie, nie mogła jej karmić sama i oddała ją do wykarmienia kobiecie we wsi sąsiedniej, Bartrès, gdzie dziecko pozostało nadal. Ludwika Soubirous została matką po raz wtóry; opieka nad dwojgiem dzieci równocześnie byłaby ją zatrzymała w domu i nie pozwoliła iść na robotę i w pole, co mogła uczynić, mając jedno tylko niemowlę. Dla tego to pozostawili rodzice swoją pierworodną w Bartrès. Płacili na jej utrzymanie, niekiedy pieniędzmi, częściej płodami ziemi, w kwocie pięciu franków miesięcznie.

Kiedy dziecko doszło do wieku, w którym mogło być już użytecznem i kiedy była mowa o odebraniu dziewczęcia i sprowadzeniu do domu rodzicielskiego, poczciwi wieśniacy, którzy ją wykarmili, spostrzegli, że przywiązali się do niej i że uważali ją niemal za własne swoje dziecko. Od owej chwili postanowili ją zatrzymać bez wynagrodzenia, używając jej do strzeżenia owiec. Wzrastała zatem wśród tej rodziny przybranej, spędzając dni w samotności, na odludnych pagórkach, gdzie się pasła jej mała trzódka.

Z modlitw znała tylko różaniec. Czy to, że karmicielka jej zaleciła jej go, czy też było to potrzebą tej niewinnej duszy, dość, że wszędzie, o każdej godzinie, pasąc owieczki, odmawiała tę modlitwę prostaczków. Następnie zabawiała się temi naturalnemi cackami, jakie macierzyńska Opatrzność daje dzieciom biedaków, łatwiejszym do zadowolenia, aniżeli dzieci bogaczy: bawiła się kamykami, które układała w małe budynki dziecinne, roślinami i kwiatami, które zrywała tu i owdzie, wodą strumienia, do której wrzucała wiązki trawy i śledziła je wzrokiem; bawiła się z ulubioną wśród swej trzódki owieczką.

— Ze wszystkich jagniątek — rzekła razu pewnego — jedno kocham najwięcej.

— A które? — pytano jej.

— Kocham to najmniejsze. — Pieściła je i swawoliła z niem.

Ona sama wśród dzieci była, jak owo małe i słabe jagnię, które kochała. Jakkolwiek miała już lat czternaście, nikt nie byłby jej dawał więcej nad jedenaście lub dwanaście. Nie będąc chorowitą, podlegała wszakże napadom astmy, która jej nieraz dokuczała mocno. Cierpienie swoje znosiła cierpliwie i przyjmowała dolegliwości fizyczne z tem spokojnem poddaniem się, które wydaje się możnym tak trudne, a które biedacy uważają za tak naturalne.

W tej niewinnej i osamotnionej szkole biedna pasterka nauczyła się może tego, czego świat nie umie: prostoty, która tak się podoba Bogu. Zdala od wszelkiego nieczystego wpływu, w rozmowie z Najśw. Panną, spędzając czas swój na wielbieniu Jej modlitwami na paciórkach, zachowała tę zupełną czystość, tę niewinność chrztu św., którą świat kala tak szybko, nawet u najlepszych.

Taką była dusza tego dziecka, przejrzysta i spokojna, jak tonie nieznanych jezior, które się gubią w górach wysokich, a w których w milczeniu odbijają się wszystkie wspaniałości sklepienia niebieskiego. „Błogosławieni czystego serca, mówi Ewangelia, albowiem oni Boga oglądać będą.“

Te wielkie dary są darami skrytemi, a pokora, która je posiada, nie zna ich często sama. Jeżeli wszyscy ci, którzy przypadkiem zbliżyli się do dziewczynki, czuli się ku niej pociągnięci i zachwyceni nią, to ona o tem nic nie wiedziała. Uważała się za ostatnią i najbardziej zacofaną z dzieci swego wieku. Nie umiała też istotnie ani czytać, ani pisać. Co więcej nie umiała mówić językiem francuzkim, znała tylko pyrenejskie narzecze. Nie uczono jej nigdy

katechizmu. W tem także niewiadomość jej była wielka: Ojcze nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Bogu, Chwała Ojcu, odmawiane w ciągu Różańca, stanowiły całą jej mądrość religijną.

Po tych szczegółach zbyteczna dodawać, że jeszcze nie była przyjęła pierwszej Komunii św. Dla tego właśnie, aby ją przygotować do niej i posyłać na katechizm, Soubirousowie sprowadzili ją z wioski, zamieszkałej przez jej żywicieli, do domu do Lourdes, mimo nadzwyczajnej swej biedy.

Od dwóch tygodni znajdowała się w domu rodzicielskim. Zaniepokojona jej astmą i delikatnem zdrowiem, matka otoczyła ją szczególną troskliwością. Podczas kiedy inne dzieci chodziły boso w drewniakach, ona miała pończochy, podczas gdy jej siostra i bracia biegali swobodnie po dworze, ją zajmowano wewnątrz domu. Dziecko, przywykłe do świeżego powietrza, byłoby wolało wychodzić z domu.

Było to zatem w zapustny czwartek: jedenasta godzina wybiła, a biedacy nie mieli drzewa, by ugotować obiad.

— Idź, nazbieraj gałązek nad brzegiem Gawy lub na polach miejskich, odezwała się matka do swej drugiej córki, Maryni.

Jak w wielu miejscowościach, tak i w Lourdes, wolno było biednym zbierać trochę suchych gałązek, które wiatr zrzucił z drzewa, kawałki drzewa, które potok przynosił ze sobą i pozostawiał między kamieniami na brzegu.

Marysia wsunęła nogi w drewniaki.

Starsza, o której co dopiero pisaliśmy, mała pasterka z Bartrès, spoglądała na nią zazdrosnem okiem.

— Pozwól mi matko iść z nią, — odezwała się wreszcie. — I ja także przyniosę wiązkę drzewa.

— Nie, — odpowiedziała Ludwika Soubirous, — kaszlesz i mogłabyś się zaziębić.

W tej chwili weszła dziewczynka z sąsiedniego domu, Joasia Abadie, mająca około lat piętnastu i zamierzała również pójść zebrać drzewa. Wszystkie zaczęły nalegać i matka ustąpiła.

Dziewczynka miała w tej chwili, jak to jest zwyczajem u wieśniaków na południu Francyi, chusteczkę na głowie, zawiązaną z boku.

To nie wydawało się matce wystarczającem.

— Weź kapiszon na głowę — rzekła do niej.

Kapiszon jest ubraniem bardzo wdzięcznem, właściwem rasom pirenejskim, które służy za ozdobę głowy i zarzutkę razem; jest to rodzaj kapiszona z grubego sukna, białego, jak wełna owiec, albo jaskrawo czerwonego, który pokrywa głowę i spada w tyle na ramiona aż do bioder. Kiedy bardzo zimno, albo wiatr wieje mocny, kobiety zbierają go ku przodowi i okrywają nim szyję i ramiona; kiedy to ubranie wydaje im się zbyt ciepłem, składają je w kwadrat i noszą na głowie jak czworograniatą czapkę.

Kapiszon małej pasterki z Batrès był biały.

V.

Trzy dziewczynki wyszły z miasta i przeszedłszy przez most, przybyły niebawem nad lewy brzeg Gawy. Przeszły przez młyn pana Laffitte i stanęły na wyspie pałacyku, szukając tu i tam kawałków drzewa, by zrobić z niego wiązkę.

Zwolna zeszły na łąkę, idąc z biegiem Gawy. Wątła dziewczynka, której matka wahała się pozwolić wyjść, podążała nieco w tyle. Mniej szczęśliwa od swoich dwóch towarzyszek, nic jeszcze nie znalazła i fartuszek jej był próżny, podczas gdy fartuszki jej siostry i Joasi zaczęły się zapełniać gałązkami i kawałkami drzewa. Ubrana w czarną sukienkę wytartą i łataną, z twarzyczką otoczoną białym kapi-

szonem, który pokrywał głowę i spadał na ramiona, z nogami, uwięzionemi w grubych drewniakach, miała ona niewinny i sielski wdzięk, który radował serce i zachwycał oczy.

Była drobną na swój wiek. Jakkolwiek dziecinna jej twarzyczka była nieco opaloną od słońca, nie straciła nic swej wrodzonej delikatności rysów. Włosy, czarne i miękkie, ukazywały się zaledwie z pod zarzutki. Czoło, dość wysokie, odznaczało się czystością linii. Brwi, zakreślające łuki doskonałe, oczy ciemne, łagodniejsze u niej, niż oczy szafirowe, miały piękność spokojną i głęboką, której wspaniałej pogody nie zaćmiło dotąd żadne złe uczucie. Był to wzrok prosty, o jakim mówi Ewangelia. Usta cudnie wykrojone, pozwalały domyślać się dobroci serca i współczucia dla wszelkiego cierpienia.

Fizyonomia jej łagodna i inteligentna podobała się ogólnie, a całość tchnęła urokiem niezwykłym, który pozwalał się domyślać najpodnioślejszych poruszeń duszy. Cóż to stanowiło ów urok, tę ukrytą powagę w owem biednem dziecku nieuczonem i pokrytem łachmanami? Była to największa i najrzadsza rzecz w świecie: majestat niewinności.

Nie wymieniliśmy dotąd jej imienia. Miała ona za patrona wielkiego Doktora Kościoła, tego, którego geniusz chronił się szczególnie pod opiekę Bożej Rodzicielki, twórcę modlitwy: „Pomnij o Najmiłosierniejsza Panno Maryo“, znakomitego św. Bernarda. Wszelako, wedle zwyczaju, który ma wdzięk odrębny, to wielkie imię, nadane skromnej wieśniaczce, zamieniło się na miano dziecinne i sielskie. Dziewczynka miała imię ładne i wdzięczne, jak ona: nazywała się Bernadetą.

Podążała za swą siostrą i jej towarzyszką wzdłuż łąki młyna i szukała, ale nadaremnie, wśród trawy kawałków drzewa na ognisko domowe.

Taką musiała być Rut i Noemi, gdy szukały kłosów na polach Booza.

VI.

Postępując dalej, dziewczynki doszły do głębi wyspy pałacyku, naprzeciw trzech wydrążeń, jakie tworzyła grota Massabielle, którą staraliśmy się opisać wyżej. Były od niej oddalone tylko prądem wody młyna, zwykle bardzo silnym, który kąpał stopy skały.

Tego dnia młyn naprawiono, powstrzymano więc, o ile można, bieg wody, i kanał, jeśli nie był zupełnie suchy, to przynajmniej można go było przebyć bardzo łatwo, przepływała go bowiem tylko wązka bardzo smuga wody.

Gałązki spadłe z różnych krzaków, rosnących w szczelinach skały, pokrywały to puste miejsce, do którego, wskutek przypadkowego osuszenia kanału, można było dojść łatwiej, niż zwykle.

Uradowane z tej zdobyczy, przezorne i ruchliwe, jak ewangeliczna Marta, zdjęły Marysia i Joasia szybko swoje drewniaki i przeszły przez strumień.

— Woda bardzo zimna, powiedziały sobie, przybywając na drugi brzeg i kładąc obuwie.

Było to w miesiącu lutym i owe potoki z gór, wyszedłszy zaledwie z łona odwiecznych śniegów, wśród których znajduje się ich źródło, miewają zwykle temperaturę lodu.

Bernadeta, mniej zwinna od swych towarzyszek, zresztą wątła, była jeszcze po drugiej stronie wody. Przebycie strumienia sprawiło jej kłopot. Miała pończochy, podczas gdy Marysia i Joasia miały bose nogi w drewniakach.

W obec wykrzyknika swych towarzyszek, zlękła się zimnej wody.

— Rzućcie dwa albo trzy wielkie kamienie na środek strumienia, zawołała do nich, a będę mogła przejść suchą nogą.

Dziewczynki już układały wiązki i nie chciały sobie przeszkadzać w tem zajęciu.

— Zrób jak my, odpowiedziała Joasia, przejdź boso.

Bernadeta zdecydowała się i opierając się o kawałek skały, która tam się znajdowała, zaczęła zdejmować obuwie.

Było około południa. W tej chwili miano zadzwonić na Anioł Pański we wszystkich kościołach pyrynejskich wiosek.

VII.

Właśnie zabierała się do zdjęcia pierwszej pończochy, gdy wtem usłyszała w około siebie jakby szelest wiatru, zrywającego się z łaki z jakąś siłą niepokonaną.

Sądziła, że to nagły wicher i odwróciła się instynktownie. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu topole, wzdłuż Gawy rosnące, stały nieruchome zupełnie. Najlżejszy wietrzyk nie poruszał ich liśćmi.

— Omyliłam się, powiedziała do siebie.

I myśląc jeszcze o tym szeleście, nie wiedziała co sądzić.

W tej samej chwili ów gwałtowny szelest nieznanego tego podmuchu odezwał się ponownie.

Bernadeta podniosła głowę, spojrzała wprost przed siebie i natychmiast wydała, a raczej chciała wydać okrzyk, który jej uwiązł w gardle. Zadrżała na całem ciele i olśniona, niejako zgnębiona tem, co ujrzała, osunęła się, pochyliła i upadła na kolana.

Widowisko zaiste niesłychane przedstawiło się jej oczom. Opowiadanie dziecka, pytania bez liku jakie jej zadawali ludzie bystrego i badawczego umysłu, dokładne i drobnostkowe szczegóły, które z niej wydobywano, pozwalają skreślić pewną ręką każdy szcze-

gół i ogólną fizyonomią, niejako portret cudownej istoty, która w tej chwili ukazała się oczom przerażonej, lecz zarazem zachwyconej Bernadety.

VIII.

Po nad grotą, przed którą Joasia z Marynią, schylone ku ziemi, zbierały spiesznie suche gałązki, w owej niży, utworzonej w skale, stała na tle nadziemskiej światłości dziewica cudnie piękna.

Nieopisany blask, który ją otaczał, nie raził oczu, jak blask słoneczny. Przeciwnie, owa aureola, lśniąca jak snop promieni i łagodna, jak cień głęboki, nęciła wzrok, który zdawał się tonąć w niej i odpoczywać z rozkoszą. Było to, jak u gwiazdy porannej, światło świeże. W zjawisku samem nie było zresztą nic nieokreślonego, mglistego. Nie miało ono niepewnych zarysów fantastycznego widziadła; była to żywa rzeczywistość, ciało ludzkie, które wzrok uznawał za dotykalne i nie odróżniało się od zwykłego człowieka niczem innem, jak aureolą i nadziemską urodą.

Zjawisko to było średniej wysokości. Zdawało się młodem i miało urok lat dwudziestu; nie tracąc nic z swej delikatności, blask ów, przemijający w czasie, udzielał jej piętna wieczności. Co więcej, w rysach o boskich liniach, łączyły się niejako, nie kłócąc harmonii ich, wdzięki stopniowe czterech pór życia ludzkiego: niewinność dziecka, zupełna czystość dziewicy, czuła powaga najdostojniejszego wśród wszystkich macierzyństwa, mądrość wyższa od wszelkich mądrości wszystkich wieków razem, streszczały się i rozpływały, nie ujmując nic jedno drugiemu, w tej przecudnej twarzy dziewiczej. Do czegoż ją przyrównać w tym upadłym świecie, gdzie promienie piękna są rozproszone i zaćmione i nie ukazują nam się nigdy bez nieczystej domieszki? Wszelki obraz, wszelkie porównanie byłoby poniżeniem tego typu nieopisanego.

Żaden majestat świata, żadna wspaniałość, żadna prostota na ziemi nie mogą dać o tem pojęcia i dopomódz do lepszego wyobrażenia. Już sama regularność tych rysów i czystość ich idealna, w której nie było skazy, uniemożliwia ich opis.

Szaty z nieznanego materyału i tkane zapewnie w tej tajemniczej pracowni, która odziewa lilię w dolinie, były białe, jak nieskalane śniegi na górach i wspanialsze w swej prostocie, aniżeli szkarłatna szata Salomona w całym przepychu. Suknia długa i powłóczysta, spadająca w fałdach, odsłaniała stopy, które spoczywały na skale i dotykały z lekka gałązki dzikiej róży. Na każdej z tych stóp dziewiczych widniała róża mistyczna o złotej barwie.

Z przodu przepaska błękitu nieba i związana w koło ciała, spuszczała się w długich wstęgach, które dotykały prawie kończyn nóg. W tyle, ogarniając swym obszarem plecy i ramiona, biała zasłona, zadzierżgnięta w koło głowy, spływała do kraju szaty.

Nie było tam pierścieni, naszyjników, dyademów, żadnej z tych ozdób, któremi po wszystkie czasy zdobi się próżność ludzka. Różaniec, którego ziarnka były białe, jak krople mleka, nanizane na łańcuszek żółty, jak złoto kłosów, zwieszał się z rąk, złożonych pobożnie. Ziarnka różańca przesuwały się kolejno w palcach. Wszelako usta tej Królowej-Dziewicy pozostawały nieruchome. Zamiast odmawiać różaniec, słuchała może w swem własnem sercu odgłosu pozdrowienia Anielskiego i olbrzymiego szmeru modlitw, wznoszących się z ziemi. Każde ziarnko, którego dotykała, było niezawodnie deszczem łask niebieskich, które spływały na dusze, jak perły rosy do kielicha kwiatów.

Zachowywała milczenie, ale później jej słowa i cudowne czyny, o których będziemy opowiadali, miały poświadczyć, że to była niepokalana Dziewica, najdostojniejsza i najświętsza Boża Rodzicielka.

To cudowne Zjawisko spoglądało na Bernadetę, która w swem osłupieniu, nie zdając sobie z tego sprawy, padła na kolana.

IX.

Dziewczynka w swem pierwszem zdumieniu instynktowo położyła rękę na różańcu i wziąwszy go w palce, chciała zrobić znak krzyża św., lecz drżała tak silnie, że nie miała dość mocy, by podnieść rękę do czoła; ręka opadła bezwładnie na kolana.

Nolite timere, „nie lękajcie się“, mówił Jezus do Swych uczniów, kiedy przyszedł do nich po falach morza tyberyackiego.

Spojrzenie i uśmiech niezrównanéj Dziewicy zdawały się mówić to samo małej, przerażonej pasterce.

Ruchem poważnym i łagodnym, który wyglądał jak wszechmożne błogosławieństwo dla ziemi i niebios, sama, jak gdyby dla zachęty dziecka, uczyniła znak Krzyża św. A ręka Bernadety, podnosząc się zwolna, jak gdyby niewidzialnie prowadzona przez tę, którą zowią Ucieczką wiernych, nakreśliła to samo święte znamię.

Ego sum: nolite timere. To ja sam, nie lękajcie się! mówił Chrystus Pan do uczniów.

Dziecko już się nie obawiało. Olśniona, zachwycona, wątpiąca jednakże chwilami o sobie samej i przecierając oczy, z wrokiem bezustannie skierowanym ku świętemu Zjawisku, nie wiedząc, co myśleć, odmawiała pokornie różaniec: Wierzę w Boga; Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna...

Kiedy kończyła, mówiąc: Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św., teraz, zawsze i na wieki wieków, przecudna Dziewica zniknęła nagle, powracając z pewnością do Nieba, gdzie króluje Trójca Przenajświętsza.

Bernadeta doznała uczucia kogoś, który schodzi, lub spada. Spojrzała w koło siebie. Gawa biegła

ciągle z szelestem po kamykach i odłamkach skały, ale szmer ten wydał jej się ostrzejszym, niż przedtem, wody posępniejsze, krajobraz bardziej zaćmiony, światło słoneczne mniej jasne. Przed nią rozciągały się skały Massabielle, u stóp których jej towarzyszki zbierały szczątki drzewa. Ponad grotą niża z gałązką dzikiej róży była ciągle otwartą, ale nie wyglądała wcale nadzwyczajnie, żaden ślad nie pozostał na niej po cudownej wizycie i nie była już bramą niebieską.

X.

Scena, którą opisaliśmy co dopiero, trwała kwadrans blizko, nie dla tego, aby Bernadeta była posiadała świadomość czasu, lecz można obliczyć czas okolicznością, że mogła odmówić pięć dziesiątek różańca.

Ochłonąwszy całkiem z wrażenia, Bernadeta zdjęła obuwie, przeszła mały prąd wody i przyłączyła się do swych towarzyszek. Zajęta myślą o tem, co widziała, nie lękała się już zimna wody. Wszystkie siły małej dziewczynki wytężyły się w przypominaniu sobie w sercu Zjawiska cudownego.

Joasia i Marynia widziały, jak upadała na kolana i jak modliła się: ale, chwała Bogu, nie jestto niczem nadzwyczajnem wśród dzieci gór, a nadto zajęte zbieraniem gałązek, nie zwróciły na to wcale uwagi.

Bernadeta była zdziwiona zupełnym spokojem swej siostry i Joasi, które w tej chwili ukończyły swoją drobną pracę i wszedłszy do groty, zaczęły się bawić, jak gdyby nie zaszło nic nadzwyczajnego.

— Nie widziałyście nic? — odezwała się dziewczynka.

Dopiero wtenczas zauważyły, że wydawała się niespokojna i wzruszona.

— Nie — odpowiedziały. A ty widziałaś coś?

Czy dziewczynka lękała się znieważyć uczucie, przepełniające jej duszę, opowiadając o zdarzeniu? czy chciała w milczeniu niem się rozkoszować? czy powstrzymywała ją jakaś obawa? dość, że posłuchała instynktowego poruszenia serca, by ukryć jak skarb łaskę szczególną, jaką Bóg obdarza dusze pokorne.

— Jeżeli nic nie widziałyście, — rzekła, — to nie mam wam nic do powiedzenia.

Małe wiązki były ukończone. Dzieci szły z powrotem do Lourdes.

Ale Bernadeta nie umiała pokryć swego zmieszania. W drodze Marynia i Joasia męczyły ją, by się dowiedzieć, co widziała. Mała pasterka uległa ich naleganiom pod warunkiem, że zachowają tajemnicę.

— Widziałam, — rzekła, — kogoś w bieli.

I opisała swoim sposobem cudowne widzenie.

— Oto, co widziałam, — zakończyła, — ale was proszę, nic o tem nie mówcie.

Marynia i Joasia nie wątpiły wcale. Dusza w swej czystości i pierwszej niewinności, jest z natury wierzącą, a niedowierzanie nie jest wadą naiwnego dziecięctwa. Zresztą szczerość Bernadety, jeszcze wzruszonej i na wskroś przejętej tem, co widziała, działała niepokonanie. Marynia i Joasia nie wątpiły, ale były przerażone. Dzieci biedaków są zawsze lękliwe. Jestto zrozumiałem: cierpienia przychodzą na nie ze wszystkich stron.

— A może to chce nam zrobić coś złego, — rzekły. — Nie chodźmy już tam, Bernadeto.

Zaledwie powróciły do domu, powiernice małej pasterki nie umiały długo zachować tajemnicy. Marynia opowiedziała wszystko matce.

— To są dzieciństwa, — powiedziała matka.... Cóż to twoja siostra mi opowiada? — zwróciła się pytająco do Bernadety.

Dziewczynka opowiedziała całe zdarzenie.

Matka Soubirous wruszyła ramionami.

— Zdawało ci się. Nic nie było. Sądziłaś, że coś widzisz, a nie widziałaś nic. To są przywidzenia dzieciństwa.

Bernadeta obstawała przy swojem, nic nie mówiąc.

— Jakkolwiekbądź jest — mówiła matka dalej — nie powrócisz tam więcej, zakazuję ci.

Ten zakaz zasmucił serce Bernadety, od chwili bowiem, jak widzenie znikło, największem jej pragnieniem było ujrzeć je znowu.

Jednakże poddała się i nie odpowiedziała nic.

XI.

Minęły dwa dni, piątek i sobota. Nadzwyczajne zdarzenie to co chwilę powracało na myśl Bernadecie i stanowiło bezustannie przedmiot rozmowy z siostrą jej Marynią, z Joasią i kilku innemi dziećmi. Bernadeta ciągle czuła słodycz w sercu na wspomnienie niebiańskiego widzenia. Namiętność, jeżeli można użyć tego wyrażenia na określenie uczucia tak czystego, zrodziła się w niewinnem serduszku dziewczynki: gorące pragnienie ujrzenia raz jeszcze tej pani przepięknej. Nazwę „pani“ nadawała jej w swym sielskim języku. Jednakże, kiedy ją pytano, czy to zjawisko było podobne do jednej z pań, które widywała, czy to na ulicy, czy w kościele, albo do której z osób znanych w okolicy z wielkiej urody, wstrząsała przecząco głową i uśmiechała się łagodnie.

— Nic nie daje o tem pojęcia — mówiła. Ma ona piękność, którą trudno opisać słowami.

Pragnęła więc ujrzeć ją znowu. Inne dzieci przejęte były obawą i ciekawością.

XII.

W niedzielę słońce wstało promienne i pogoda była wspaniała. W dolinach pyrenejskich bywają łagodne dni wiosenne, zbłąkane wśród zimy.

Powracając ze Mszy św., Bernadeta prosiła swoją siostrę, Joasię i dwoje lub troje innych dzieci, aby wstawiły się za nią do matki, by zniosła zakaz i pozwoliła jej powrócić do skały Massabielle.

— A może to coś złego? mówiły dzieci.

Bernadeta odpowiadała, że nie sądzi, aby tak było, że nie widziała nigdy fizyonomii tak przedziwnie łagodnej.

— W każdym razie, twierdziły dziewczynki, które jako bardziej uczone od biednej pastereczki z Bartrès, znały trochę katechizm, w każdym razie trzeba je pokropić święconą wodą. Jeżeli to szatan, te sobie pójdzie. Powiesz mu: „Jeżeli przychodzisz od Boga, to zbliż się; jeżeli od szatana, odejdź!“

To nie była w istocie ścisła formuła exorcyzmów, ale małe mędrczynie z Lourdes rozumowały w tej sprawie z taką przezornością i trafnością, jaką mógł okazać uczony akademik sorboński.

Zadecydowano zatem na tej małej konferencyi dziecięcej, że się zabierze święconą wodę. Pewna obawa zresztą ogarnęła Bernadetę samą w skutek tych rozmów.

Chodziło tylko o uzyskanie pozwolenia.

Wszystkie dzieci, zebrane razem, przyszły prosić o nie po południu. Matka Soubirous z początku nie chciała pozwolić, twierdząc, że ponieważ Gawa płynie i kąpie skały Massabielle, przeto może być niebezpieczeństwo, że godzina nieszpór zbliża się i nie należy spóźnić się na nie, że to są dziecinne przywidzenia i t. d. Ale wiadomo, do jakiego stopnia nalegania niepokonanego dojść może prośba gromadki dzieci. Wszystkie przyrzekły, że będą ostrożne, grze-

czne i że się pospieszą, tak że matka w końcu pozwoliła.

Kiedy przybyły do groty, nie zauważyły nic nadzwyczajnego.

— Módlmy się — rzekła Bernadeta — i odmówmy Różaniec.

Dzieci klękają i każde z nich dla siebie rozpoczyna odmawianie różańca.

Wtem twarz Bernadety zdaje się przemieniać i przemienia się w istocie. Nadzwyczajne wzruszenie maluje się we wszystkich rysach; wzrok jej, bardziej błyszczący, zdaje się odbijać niebiańskie światło.

Oparte stopami o skałę, ubrane jak pierwszym razem, cudowne zjawisko ukazuje się jej oczom.

— Patrzcie! — zawołała. — To ona!

Niestety! wzrok drugich dzieci nie był, jak u niej, cudownie zwolniony z więzów ciała, które nie pozwalają widzieć ciał uduchowionych. Dziewczynki, nie widziały nic innego, jak opustoszoną skałę i gałązki dzikiej róży, które spadały do stóp tej tajemniczej niży, w której Bernadeta widziała nieznaną istotę.

Wszelako fizyonomia Bernadety była taka, że nie można było wątpić o niczem. Jedno z dzieci wsunęło flaszeczkę z święconą wodą w rękę małej jasnowidzącej.

Wtenczas Bernadeta, przypominając sobie, co przyrzekła, wstała i potrząsając buteleczką, pokropiła cudowną Panią, która stała w całym wdzięku o kilka kroków przed nią, w głębi niży.

— Jeżeli przybywasz w imię Boga, zbliż się — rzekła Bernadeta.

Na te słowa dziecka Dziewica skłoniła głowę kilka razy i zbliżyła się prawie nad sam rąbek skały. Zdawała się uśmiechać na te ostrożności Bernadety i w obec jej broni i na imię Boga twarz jej się rozpromieniła.

— Jeżeli przybywasz w imię Boga, zbliż się — powtarzała Bernadeta...

Ale widząc ją tak piękną; tak pełną chwały, tak promieniejącą niebiańską dobrocią, czuła, że odstępuje ją odwaga w chwili, kiedy miała dodać: „A jeżeli przychodzisz od szatana, odejdź!“ Te słowa, które jej podyktowano, wydały się potwornemi w obec niezrównanej istoty i na zawsze ulotniły się z jej myśli, nie doszedłszy wcale do ust.

Uklękła znowu i odmawiała dalej różaniec, którego Dziewica zdawała się słuchać, przesuwając swoje paciorki w palcach.

W końcu tej modlitwy widzenie zniknęło.

XIII.

Powracając do Lourdes, Bernadeta była rozpromieniona. W głębi duszy przypominała sobie te rzeczy tak nadzwyczajne. Towarzyszki jej doznawały uczucia nieokreślonej trwogi. Przemienienie twarzy Bernadety objawiło im rzeczywiste istnienie nadprzyrodzonego zjawiska. Wszystko, co przekracza naturę, przeraża.

— Lękamy się, Bernadeto. Nie powracajmy już nigdy tutaj. To, co widziałaś, chce nam może uczynić coś złego, powtarzały małej pasterce wylęknione dzieci.

Wedle przyrzeczenia, dzieci powróciły na czas na nieszpory. Po nabożeństwie piękna pogoda zwabiła na drogę część ludności, która przechadzała się, korzystając z ostatnich promieni słońca, tak łagodnych w tych wspaniałych dniach zimowych. Opowiadanie dziewczynek obiegało pojedyńcze gromadki przechadzających się; w ten sposób zaczęła się w mieście szerzyć pogłoska o rzeczach nadzwyczajnych.

Pogłoska, która z początku poruszyła tylko umysły gromadki dzieci, szerzyła się, jak wzbierająca

fala i dochodziła do wszystkich warstw ludności. Kamieniarze, liczni w tych stronach, szwaczki, robotnicy, wieśniacy, służące, biedni ludzie rozmawiali o tem, jedni wierząc, inni stwierdzając fakt, niektórzy szydząc, albo przesadzając i zmyślając bajki o zjawisku. Z jednym lub dwoma wyjątkami, mieszczanie nawet nie zadali sobie trudu, by zająć na chwilę myśl temi dzieciństwami.

Dziwna rzecz! ojciec i matka Bernadety, wierząc w zupełną szczerość dziecka, uważali zjawisko za złudzenie.

— To dziecko jeszcze, mówili między sobą. Zdawało jej się, że widziała coś, ale w istocie nic nie widziała. Są to przywidzenia dziecinne.

Jednakże zajmowała ich nadzwyczajna dokładność w opowiadaniu Bernadety. Chwilami, przejęci opowiadaniem córki, czuli, że niedowierzanie ich słabnie. Pragnąc, aby nie chodziła już do groty, nie śmieli jej jednakże zabraniać tego.

Nie powróciła ona tam przecież aż do czwartku.

XIV.

W ciągu pierwszych dni tygodnia kilka osób przyszło do Soubirousów, aby wypytywać Bernadetę. Odpowiedzi dziecka były jasne i stanowcze. Mogła się łudzić, ale wystarczało widzieć i słyszeć ją, aby być przekonanym o jej dobrej wierze. Jej nadzwyczajna prostota, wiek niewinny, głos jej, słowem w jej całej postaci jakaś zadziwiająca powaga nakazywała ufność i po większej części budziła przekonanie o prawdzie. Wszyscy, którzy ją widzieli, odchodzili po rozmowie z nią przekonani o jej prawdomowności i czuli, że coś nadzwyczajnego zaszło wśród skał Massabielle.

Opowiadanie małej, nieuczonej dziewczynki atoli nie mogło wystarczać do stwierdzenia faktu tak zupełnie znajdującego się po za zwykłym porządkiem

rzeczy. Potrzeba było innych dowodów prócz słów dziecka.

Czemże zresztą było owo zjawisko, jeżeli się przypuści, iż istniało rzeczywiście? Czy to był duch światłości, czy też anioł ciemności? Nie byłażto jaka dusza pokutująca, prosząca o modlitwę? Albo może ktoś zmarły w kraju w wielkiej pobożności, który objawiał się teraz w swej chwale? Wiara i przesąd stawiały swoje przypuszczenia.

Czy żałobne ceremonie popielcowej środy przyczyniły się do tego, by skłonić dwie osoby, młodą dziewczynę i pewną panią z Lourdes do jednego z tych zapatrywań? tego nie wiemy.

Młoda dziewczyna nazywała się Antonina Peyret i należała do dzieci Maryi, drugą była pani Millet i obie te osoby żyją dotychczas.

— To może jakaś dusza z czyśca, która prosi o odprawienie Mszy św. — pomyślały.

Poszły więc do Bernadety.

— Zapytaj tę Panią, kto ona jest i czego żąda, rzekły do niej. Niech ci to objaśni, albo lepiej jeszcze, ponieważ mogłabyś nie zrozumieć dobrze, niech ci to da na piśmie.

Bernadeta, która czuła gorące pragnienie powrócenia do groty, otrzymała od rodziców pozwolenie na to i nazajutrz rano, w czwartek 18 lutego około godziny szóstej rano, wysłuchawszy Mszy św. o wpół do szóstej, udała się z Antoniną Peyret i panią Millet w stronę groty.

XV.

Naprawę młyna pana Laffite ukończono, a kanałowi, który go obracał, przywrócono bieg swobodny, tak iż niepodobna było przejść jak przedtem wyspę pałacyku, aby się udać do celu podróży. Trzeba było iść drogą bardzo niewygodną, która prowadziła do lasu Lourdes, następnie schodzić po urwiskach skał Massabielle aż do groty.

W obec tych niespodzianych trudności obie towarzyszki Bernadety były nieco przerażone. Ona zaś, przybywszy na to miejsce, dążyła, by dojść do celu najprędzej. Zdawało jej się, że ktoś niewidzialny ją podnosi i udziela jej niezwykłej odwagi. Ona, zwykle tak wątła, czuła się silną w tej chwili. Kroki jej stały się tak szybkie przy wchodzeniu pod górę, że Antonina i pani Millet, obie młode, zaledwie mogły podążyć za nią. Zdawało się, że astma, która jej nie pozwalała na przyspieszone chodzenie, zniknęła na chwilę. Przybywszy na szczyt, nie była ani zadyszaną, ani znużoną. Podczas, gdy jej towarzyszki pokryte były potem, jej twarz wyrażała spokój i wypoczynek. Zeszła ze skał, które jednakże przebywała pierwszy raz, z tą samą swobodą przy niewidzialnej pomocy, która ją prowadziła i podtrzymywała. Na pochyłościach stromych, wśród ruchomych kamieni, nad przepaścią, chód jej był równie pewny, jak gdyby stąpała po szerokim trakcie. Pani Millet i Antonina nie próbowały podążać za nią tym samym krokiem. Zeszły wolno i z ostrożnością, jakiej wymagała droga tak niebezpieczna.

Bernadeta przybyła zatem do groty przed niemi. Uklękła, zaczęła odmawiać różaniec, spoglądając ku niży, próżnej jeszcze, którą wyścielały gałązki dzikiej róży.

Wtem wydała okrzyk. Światłość dobrze jej znanej aureoli zajaśniała w głębi wydrążenia, odzywa się głos i woła ją. Cudowne zjawisko znowu stanęło o kilka kroków przed nią wysoko. Przedziwna Dziewica pochylała ku dziecku twarz swoją, opromienioną niebiańskim spokojem i ruchem ręki robiła jej znak, by się zbliżyła.

W tej chwili po wielu usiłowaniach i trudach nadeszły obie towarzyszki Bernadety. Ujrzały rysy dziecka przemienione w zachwyceniu.

Ona je słyszy i widzi.

— Tam jest — rzekła. — Robi mi znaki, bym się zbliżyła.

— Zapytaj się, czy się nie gniewa, żeśmy z tobą przyszły tutaj. W takim bowiem razie cofnęłybyśmy się.

Bernadeta spojrzała ku Dziewicy, niewidzialnej dla każdego innego, prócz niej, słuchała przez chwilę i zwróciła się ku swym towarzyszkom.

— Możecie pozostać, — odpowiedziała im.

Obie kobiety uklękły obok dziecka i zapaliły poświęcaną gromnicę, którą przyniosły ze sobą.

Pierwszy to raz z pewnością od początku świata gorzało takie światło w tem dzikiem miejscu. Ten akt tak prosty, nosił piętno tajemniczej uroczystości. Ten płomyk zapalony przez dwie biedne kobiety ze wsi, nie zgaśnie już więcej, lecz wzrastając z dniem każdym, przejdzie długi szereg wieków. Napróżno podmuch niedowiarstwa podnosi swą siłę, nadaremnie powstaje burza prześladowania; płomień, utrzymany wiarą narodów, nie przestanie wznosić się prosto ku tronowi Przedwiecznego. Podczas kiedy spracowane ręce zapalały go w całej prostocie i pierwszy raz w tej grocie nieznanej, gdzie modliło się dziecko, zorza świtająca przybrała kolejno barwę złota i purpury, a słońce które miało niebawem pomimo chmur zalać ziemię potokiem światła, zaczynało się ukazywać z poza szczytów chmur.

Bernadeta w zachwycie wpatrywała się w piękność bez skazy.

Jej towarzyszki zagadnęły ją znowu:

— Zbliż się ku niej, skoro cię woła i daje ci znaki. Zbliż się, zapytaj, kto ona i po co przychodzi tutaj? Proś, aby na tym papierze napisała, czego sobie życzy. Czy to duszyczka z czyśca, która prosi o modlitwy? Jesteśmy gotowe uczynić wszystko, co potrzebne dla jej spokoju.

Dziecko wzięło papier, atrament i pióro, które jej podano i postąpiło ku zjawisku, którego spojrzenie macierzyńskie dodało mu otuchy.

Jednakże za każdym krokiem dziewczynki zjawisko cofało się zwolna w głąb groty. Bernadeta straciła je na chwilę z oczu i weszła pod sklepienie dolnego zagłębienia. Tam, zawsze w górze, ale znacznie bliżej, ujrzała znowu dziewicę jaśniejącą.

Bernadeta trzymając w ręku przedmioty, które jej dano, stanęła na palcach, aby drobnemi rękami dosięgnąć do wysokości, na jakiej stała Istota nadprzyrodzona.

Obiedwie jej towarzyszki zbliżyły się natychmiast, aby usłyszeć rozmowę, jaka się miała wszcząć. Ale Bernadeta nie odwracając się i jakby posłuszna znakom zjawiska, dała im poznać ruchem ręki, aby się nie zbliżały.

Zmięszane stanęły nieco na uboczu.

— Pani, — odezwało się dziecko, — jeżeli chcesz mi coś powiedzieć, zechciej mi to napisać, kto jesteś i czego pragniesz?

Boska Dziewica uśmiechnęła się na to naiwne żądanie i rzekła:

— Tego, co ci mam do powiedzenia, nie potrzeba wcale pisać. Zrób mi tylko łaskę i przychódź tutaj przez dwa tygodnie.

— Przyrzekam, — odpowiedziała Bernadeta.

Dziewica uśmiechnęła się znowu i zrobiła znak, wyrażający zadowolenie, okazując w ten sposób zupełne zaufanie do słów tej czternastoletniej wieśniaczki.

Wiedziała, że mała pasterka z Bartrès była jak owe niewinne dziatki, którym Chrystus Pan lubił głaskać jasne główki, mówiąc: Królestwo niebieskie należy do tych, którzy im są podobni.

Na te słowa Bernadety odpowiedziała również uroczystem zapewnieniem:

— A ja, rzekła, przyrzekam, że cię uczynię szczęśliwą nie w tym, lecz w przyszłym świecie.

Dziecku, które jej udzielało kilka dni, przyrzekała w zamian wieczność.

Bernadeta nie tracąc zjawiska z oczu, powróciła do swych towarzyszek.

Zauważyła, że idąc za nią wzrokiem, Dziewica przez długą chwilę i z przychylnością zatrzymała spojrzenie na Antoninie Peyert, jednej z towarzyszek, która należała do bractwa Dzieci Maryi.

Powtórzyła wszystko, co zaszło.

— Ona patrzy na ciebie, powiedziała dziewczynka do Antoniny.

Słowa te wzruszyły tę ostatnią i od owej chwili żyje ona tem wspomnieniem.

— Zapytaj się, powiedziały, czy wolnoby nam było przychodzić tu z tobą w czasie tych dwóch tygodni.

Bernadeta zwróciła się do zjawiska.

— Mogą powrócić z tobą, odpowiedziała Dziewica, one i inni jeszcze. Życzę sobie widzieć tu ludzi.

Wymówiwszy te słowa, zniknęła, pozostawiając po sobie tę świetlaną jasność, którą była otoczona i która zacierała się zwolna.

Tym razem jak i inne razy dziecko zauważyło szczegół, który zdawał się być niejako regułą owej aureoli, którą Dziewica była zawsze otoczoną.

— Kiedy widzenie się zbliża, mówiła Bernadeta, widzę najprzód światłość, a potem „Panią“; kiedy widzenie ustaje, to najprzód znika „Pani“ a światłość dopiero później.

KSIĘGA DRUGA.

I.

Powróciwszy do Lourdes, Bernadeta musiała powiedzieć rodzicom o obietnicy, jaką złożyła tajemniczej „Pani“ i o dwóch tygodniach, podczas których miała chodzić do groty. Z swej strony Antonina i pani Millet opowiedziały, co zaszło, o cudownem przemienieniu dziecka podczas zachwytu, o słowach zjawiska, o wezwaniu, by powracała przez dwa tygodnie. Pogłoska o tych nadzwyczajnych rzeczach rozeszła się niebawem i szybko wyszedłszy po za warstwy ludu, wywołała głębokie poruszenie wśród ludności. Ow czwartek 18 lutego 1858 roku był właśnie dniem targowym w Lourdes. Zjechało się tam jak zwykle, dużo ludzi, tak że wieczorem tego samego dnia wiadomość o widzeniach Bernadety, prawdziwych czy fałszywych, rozeszła się wśród gór i dolin, we wszystkich kierunkach departamentu i w miastach najbliższych. Od dnia następnego setka osób znalazła się już w grocie, w chwili, kiedy Bernadeta tam przybyła. Następnego dnia było tam już czterysta do pięciuset ludzi, w niedzielę rano można było ich naliczyć parę tysięcy.

Ale cóż widziano? co słyszano wśród tych dzikich skał? Nic, zupełnie nic, prócz modlącego się dziecka, które twierdziło, iż widzi i słyszy. Im pozornie drobniejszą była przyczyna, tem bardziej niewytłomaczonym po ludzku był skutek.

Wierzący utrzymywali, że albo blask z góry istotnie był widocznym dla dziecka, albo tchnienie Boże, które porusza serca wedle woli, przejęło owe tłumy.

Prąd elektryczny, niepokonana potęga, której nikt nie umiał się oprzeć, zdawała się pociągać ludność na słowo nieuczonej pasterki. W warsztatach, pracowniach, w rodzinach, na zebraniach, wśród świeckich i duchownych, wśród biednych i bogatych, w klubie, w kawiarniach, restauracyach, na placach i ulicach, wieczorem, rano, zwłaszcza w miejscach publicznych rozmawiano tylko o tem. Czy ktoś wierzył, czy był przeciwny, czy tylko ciekawy dowiedzieć się prawdy, nie było w całym kraju nikogo, dla któregoby te dziwne wypadki nie były w owej chwili stanowiły najwyższego, niemal wyłącznego zajęcia.

Instynkt ludu nie czekał, aż zjawisko wymieni swoje imię.

To z pewnością Najświętsza Panna, — mówiono w tłumie.

Napróżno w obec powagi, tak drobnej, małej dziewczynki trzynasto lub czternastoletniej, utrzymującej, że widzi i słyszy to, czego nikt w koło niej nie widział i nie słyszał, filozofowie miejscowi, wykarmieni prozą dzienników, oburzali się na zabobon:

— To dziecko nie ma nawet lat potrzebnych do składania przysięgi; nie słuchanoby jej nawet przed trybunałem w małoznaczącej jakiej sprawie, a tu chcą jej wierzyć, gdy chodzi o zdarzenie niemożliwe, o widzenie? . . . Czyż to nie jasne, że to prosta komedya, wymyślona przez rodzinę lub przez stronników księży w jakimś interesie pieniężnym? Wystarczy mieć dwoje oczu patrzących jasno, aby przeniknąć te nędzną intrygę.

Niektórzy z tych, co tak mówili, chcieli widzieć Bernadetę, wypytać ją, być obecnymi jej zachwyceniu. Odpowiedzi dziecka były proste, natu-

ralne, bez najmniejszego przymusu, wypowiedziane tonem prawdy, który nie mógł mylić i który budził w najbardziej uprzedzonych umysłach przekonanie o jej zupełnej szczerości. Co do zachwytów, to ci, którzy widzieli w Paryżu największe aktorki naszych czasów, oświadczyli, że sztuka nie mogła iść tak daleko.

Uczeni, ci którzy pozwolili najprzód filozofom roztrzygnąć kwestyą, teraz odezwali się sami.

— Znamy taki stan doskonale, mówili. Nic nad to naturalniejszego. Ta mała dziewczynka jest zupełnie szczerą w swych odpowiedziach, ale miewa halucynacye: zdaje jej się, że widzi, a nie widzi, zdaje jej się, że słyszy, a nie słyszy. Co do jej zachwytów, równie u niej szczerych, to nie są one komedyą, ani sztuką, lecz wchodzą w dziedzinę medycyny. Córka Soubirousów jest dotknięta chorobą, jest kataleptyczką. Zboczenie w mózgu, skomplikowane zaburzeniem muskułów i nerwów, oto całe wytłomaczenie zjawiska, z powodu którego pospólstwo robi tyle wrzawy. Nic prostszego.

Mała gazeta miejscowa „Lavedan“, tygodnik postępowy, który zwykle wychodził za późno, opóźnił swoje wydawnictwo o dzień lub dwa, aby mówić o tym wypadku i w artykule tak zjadliwym, na jaki umiał się tylko zdobyć, streścił uczone wywody filozofii i medycyny, wypracowane przez miejscowych mędrców. Od owej chwili, t. j. od piątku wieczora albo soboty, temat komedyi już porzucono w obec jasności faktów a panowie wolnomyślni nie powrócili już do niego, jak to można stwierdzić we wszystkich pismach owych czasów.

Stosownie do tradycyi wysokiej krytyki w kwestyi religii, poczciwy redaktor „Lavedana“ zaczynał od oszczerstwa i podsuwania mniemania, że Bernadeta i jej towarzyszki były złodziejkami:

„Troje dzieci bardzo młodych szło zbierać gałązki za bramami miasta. Te dziewczynki *widząc się schwytane na gorącym uczynku przez właściciela,* uciekły czemprędzej do jednej z grot, które graniczą z lasem Lourdes“. („Lavedan“ z 18 lutego 1858. Pomimo tej daty, Dziennik ukazał się dopiero 19 wieczorem albo 20 rano, jak o tem świadczy treść, same fakta i ogłoszenia, późniejsze od daty dziennika).

Zawsze w ten sposób pisywała „wolna myśl“ historyą. Po tym rzetelnym czynie, świadczącym jasno o dobrej woli i poczuciu sprawiedliwości, redaktor „Lavedana“ opowiadał fakta, które się zdarzyły w skałach Massabielle. Były zbyt podpadające i miały zbyt wielu świadków, by im można przeczyć.

„Nie będziemy opowiadali, dodał, tysiąca wersyi, jakie krążą na ten temat; powiemy tylko, że dziewczę chodzi co rano modlić się u wejścia do groty, z gromnicą w ręku, odprowadzana przez przeszło pięćset osób. Tam widzieć ją można, jak z największego skupienia przechodzi do najsłodszego uśmiechu i popada następnie w najwyraźniejszą ekstazę; łzy płyną jej z oczu nieruchomych, wpatrzonych bezustannie w to miejsce groty, w którem wydaje jej się, że widzi świętą dziewicę. Będziemy informowali czytelników o tem zajściu, które codziennie nowych znajduje zwolenników.“

O komedyi, kuglarstwie ani słowa. Czuło się, że wszystko pierzchło po pierwszej rozmowie z dzieckiem, na pierwsze spojrzenie Bernadety w zachwycie, na widok łez, które chwilami zraszały jej policzki. Znakomity redaktor, aby wmówić w czytelników, że jest chorą, udawał, że ubolewa nad nią. Mówił o niej z głębokiem politowaniem, nazywając ją „biedną wizyonerką.“ „Wszystko — pisał zaraz z góry — każe wnosić, że dziewczę jest dotknięte katalepsyą.“

„Halucynacya, katalepsya“ były to dwa wielkie wyrazy mędrców z Lourdes.

„Wiedzcie, powtarzali oni często, że nadprzyrodzone rzeczy nie istnieją wcale, że nauka wydała na nie wyrok. Nauka objaśnia wszystko, nauka tylko jest pewną. Porównuje ona, sądzi, patrzy na same tylko fakta. Nadprzyrodzone rzeczy były dobre w wiekach ciemnoty, kiedy świat był pogrążony w przesądach, kiedy nie umiano obserwować, ale teraz my jesteśmy! Oto ciemnota lu lu! Dla tego, że dziewczynka jest chora, dla tego, że w gorączce miewa przywidzenia, wszyscy ci głupcy wołają, że to cud. Głupota ludzka przekracza wszelkie granice, jeżeli widzi zjawisko w tem, co się nie ukazuje i słyszy głos, którego nikt nie słyszy. Niechaj owo mniemane zjawisko zatrzyma słońce, jak Jozue, niech uderzy w skałę, jak Mojżesz i wydobędzie z niej wodę, niech uzdrowi nieuleczalnych, niechaj w jakikolwiek sposób rozkaże naturze, a wtenczas uwierzymy. Ale któż nie wie, że podobne rzeczy nie zdarzają się ani się nie zdarzyły nigdy?“

Tego rodzaju uwagi w tych lub innych słowach wymieniano od rana do nocy między bystremi inteligencyami, jakie reprezentują w Lourdes medycynę i filozofią.

Większa część tych myślicieli widziała Bernadetę dostatecznie, aby się przekonać, że ona nie odgrywała komedyi. To wystarczało ich zmysłowi spostrzegawczemu. Że była dobrej wiary, ztąd wnoszono, że musiała być albo szaloną albo kateleptyczką. Możliwości innej nie dopuszczał ich bystry rozum. Kiedy im proponowano, aby zbadali fakta, zobaczyli dziecko, poszli do groty i aby ten zadziwiający fenomen badali w szczegółach, natenczas wzruszali ramionami, śmiali się filozoficznie i mówili: „Wiemy to wszystko na pamięć. Takie ataki są znane. Za miesiąc to dziecko będzie zupełnie obłąkane i prawdopodobnie sparaliżowane.“

Byli jednakże tacy, którzy znów inaczej rozumowali.

— Takie zjawiska są rzadkie, mówił Dr. Dozous, jeden z lekarzy najznakomitszych w mieście, i co do mnie, nie pominę sposobności, by je zbadać starannie. Zwolennicy rzeczy nadprzyrodzonych zbyt często rzucają je przed oczy medycynie, abym nie miał być ciekawym, skoro dzisiaj mogę je widzieć własnemi oczami i zbadać do głębi tę sławną kwestyą.“

Pan Dufo, adwokat i kilku członków sądu, pan Paugat, prezes trybunału, znaczna liczba innych, postanowili oddać się najściślejszym badaniom i znaleść się, o ile można, na pierwszem miejscu. W miarę jak sprawa przybierała znaczniejsze rozmiary, wzrastała liczba obserwatorów. Jak to zwykle się zdarza, fanatycy wolnego badania mieli za zasadę to, aby nie badać wcale. Z wyżyn swej nieomylnej mądrości, na progu swego magazynu, z okna kawiarni albo klubu te umysły pierwszorzędne patrzały z pogardą pobłażliwą na te niezmierzone fale ludzkie, które coś nieznanego pchało w stronę groty.

II.

Duchowieństwo było mocno uderzone temi faktami, ale z taktem wielkim od samego początku zajęło postawę wyczekującą i przezorną. Kapłani, zdziwieni tak samo jak wszyscy niezwykłem zdarzeniem, które nagle zajęło uwagę publiczną, zajęli się żywo zbadaniem natury tego faktu. Tam, gdzie w swym polocie myśli wolteryanizm miejscowy widział tylko jedno możliwe rozwiązanie, tam duchowieństwo widziało ich kilka. Fakt mógł być przyrodzony i w takim razie dokonany przez bardzo zręczną komedyą albo bardzo dziwną chorobę. Bóg ma swoje cuda, ale szatan ma swoje ułudy. Kapłani wiedzieli o tem i postanowili zbadać z nadzwyczajną ścisłością najdrobniejsze szczegóły tego wypadku. Od pierwszej chwili przyjmowali oni z wielką nieufnością

pogłoski o fakcie tak zadziwiającym. Wszelako mogło to być coś Bożego i nie chcieli wydawać lekkomyślnego sądu.

Dziecko, którego imię stało się nagle sławnem, nie było wcale znane kapłanom w mieście. Od dwóch tygodni swego pobytu u rodziców uczęszczała ona na naukę katechizmu, ale kapłan, uczący w tenczas dzieci, X. Pomian, nie zauważył jej wcale. Pyta jej się może raz lub dwa, nie znając jej imienia i nie zważając na jej osobę, ginącą wśród gromadki dzieci. Kiedy ludność zbiegała się do groty, trzeciego dnia owych dwóch tygodni, żądanych przez zjawisko tajemnicze, X. Pomian, pragnąc poznać dziecko to nadzwyczajne, o którem mówiono ze wszech stron, wywołał ją po imieniu na katechizmie, jak czynił zwykle, kiedy miał stawiać pytania.

Na imię Bernadety Soubirous powstała pokornie drobna dziewczynka, dość wątła i biednie ubrana. Kapłan zauważył u niej tylko wielką prostotę a także ogromną niewiadomość w rzeczach religii.

Parafia miała wówczas na czele kapłana, z którego osobą należy się zapoznać. Xiądz proboszcz Peyramale, liczący około pięćdziesięciu lat w tym czasie, był od dwóch lat dziekanem miasta i kantonu Lourdes. Był to człowiek z natury szorstki, gwałtowny może w swem zamiłowaniu dobrego, którego łaska Boża złagodziła, pozwalając niekiedy domyślać się pierwotnego usposobienia, nieco szorstkiego, ale z gruntu dobrego. Wrodzona gwałtowność, całkiem złagodzona we wszystkiem, co do tyczyło jego samego, zamieniła się we wielką gorliwość o chwałę Bożą.

Na kazalnicy słowo jego apostolskie było nieraz cokolwiek ostre; gromiło wszystko, co było złem i żadne nadużycie, żaden rozstrój moralny, zkądbykolwiek pochodził, nie znalazł go obojętnym lub słabym. Często towarzystwo miejscowe, schłostane za jakieś przewinienie gorącem słowem pasterza, podno-

siło głośne krzyki. To go wcale nie wzruszało i zawsze przy pomocy Bożej pozostawał zwycięzcą.

Ten kapłan, tak surowy w obyczajach, tak wymagający w swych zasadach, miał serce prawdziwie złote i cały swój dochód wydawał na spełnianie dobrych uczynków skrycie, o ile tylko mógł. Ale pokora jego nie zdołała ukryć, jakby sobie był tego życzył, życia pełnego poświęcenia: wdzięczność biedaków mówiła głośno, zresztą w małych miastach niebawem poznają wszyscy życie prywatne i stał się też przedmiotem ogólnego szacunku. Potrzeba było tylko widzieć sposób, w jaki parafianie zdejmowali kapelusz, gdy przechodził ulicą, wystarczało słyszeć ton serdeczny, jakim go pozdrawiano, a domyślić się było nietrudno, że święty węzeł spełnianego dobrego łączył pasterza z owieczkami. Wolnomyślni mawiali: Nie jest zawsze wygodny, ale jest miłosierny i nie dba o pieniądze. Jest to najlepszy z ludzi pomimo sutanny.

Ten znakomity kapłan łączył serce apostolskie z zdrowym rozumem i charakterem, którego nic w świecie nie zdołało ugiąć, kiedy chodziło o prawdę. Wypadki miały niebawem uwydatnić te jego pierwszorzędne zalety. Umieszczając go w Lourdes, Opatrzność miała swoje zamiary. Pokonując swą mało cierpliwą naturę, X. proboszcz Peyramale, zanim pozwolił swemu duchowieństwu uczynić jeden krok i ukazać się w grocie i zanim pozwolił tego samemu sobie, postanowił odczekać, dopóki wypadki nie przybiorą charakteru wyraźnie określonego, dopóki nie będzie dowodów w jednym lub drugim kierunku i dopóki władza duchowna nie wyrzecze sądu.

Zlecił on kilku inteligentnym i zaufanym osobom świeckim, aby się udały do skał Massabielle za każdym razem, ilekroć tam dotąd pójdzie Bernadeta i tłumy i aby mu zdawały sprawę dzień po dniu i godzina po godzinie, co się tam będzie działo; równocześnie atoli, starając się o dokładne informacye,

dbał także o to, aby w niczem nie skompromitować duchowieństwa w sprawie, której istotna natura była jeszcze wątpliwą.

— Czekajmy — mówił do niecierpliwych. Jeżeli z jednej strony jesteśmy zobowiązani zbadać z największą dokładnością wypadki, które się odbywają w tej chwili, to z drugiej strony najprostsza przezorność zakazuje nam mieszać się osobiście do tłumu, który biegnie ku grocie, śpiewając pieśni pobożne. Powstrzymajmy się i nie wystawiajmy się na to, by naszą obecnością uświęcać podstęp lub złudę, albo przedwczesnym wyrokiem lub nieprzychylną postawą zwalczać dzieło, które może pochodzi od Boga. Ludność, widząc kapłana wśród siebie, skupiłaby się w około niego, prosząc, aby szedł na jej czele i intonował pieśni. Gdyby ustąpił naleganiu publiczności albo nierozmyślnemu zapałowi własnemu i gdyby później pokazało się, że owe zjawiska były tylko złudzeniem lub kłamstwem, do jakiegoż stopnia naraziłby na szwank religią w osobie kapłana? Gdyby natomiast oparł się, a dzieło Boże stało się później widocznem, czyżby ten opór nie pociągnął za sobą takich samych przykrych następstw?

Niektórzy nalegali na niego w swej gorliwości, lecz on odpowiadał stanowczo:

— Nie, wmieszalibyśmy się tylko w takim razie, gdyby ztąd miała zrodzić się jakaś herezya, jakiś zabobon i zamieszanie. Wtenczas obowiązek nasz byłby jasno nakreślony przez same fakta. Z złych owoców osądzilibyśmy złe drzewo i musielibyśmy pospieszyć z pomocą na pierwszy objaw złego, aby obronić nasze owieczki. Ale dotychczas nic podobnego się nie stało, przeciwnie tłumy w największem skupieniu modlą się do Najświętszej Panny i pobożność zdaje się wzrastać. Umiejmy zatem czekać, oddając się ścisłemu badaniu, na najwyższą decyzyą mądrości biskupiej w tej sprawie. Jeżeli wypadki

te pochodzą od Boga, to nas wcale nie potrzebują i Wszechmocny bez naszej słabej pomocy pokona przeszkody i pokieruje rzeczami wedle swego zamiaru. Słowem pozwólmy działać Opatrzności!

Jak głębokiemi były przyczyny, rozumne względy, które skłoniły w tych okolicznościach X. proboszcza Peyramale do zakazania wszystkim podwładnym sobie księżom ukazywania się w grocie Massabielle i powstrzymania się samemu od tego!

X. Biskup z Tarbes pochwalił tę rozumną przezorność i rozciągnął ten zakaz na całe duchowieństwo swej dyecezyi, zabraniając wszelkiego mieszania się do wypadków w Lourdes. Bóg, który kierował niewidomie wszystkiemi temi sprawami, udzielił swym kapłanom dość siły, by nie ustąpili ogólnemu prądowi i pozostali niewzruszeni wśród tego nadzwyczajnego ruchu. Ta wielka wstrzemięźliwość ze strony duchowieństwa miała okazać jawnie, że ręka i przyczyna ludzka nic nie zdziałały w tych wypadkach i że trzeba szukać ich przyczyny gdzieindziej, tj. wyżej.

III.

Podczas gdy władza kościelna, uosobiona w duchowieństwie, zachowała rozumną powciągliwość, zaleconą przez dziekana z Lourdes, władza świecka także zajęła się niezwykłym ruchem, jaki powstał w mieście i okolicy i ogarniał dalsze przestrzenie. Jakkolwiek nie zachodził żaden nieporządek, to owe pielgrzymki, to dziecko w zachwyceniu zaniepokoiły ten świat podejrzliwy.

W imię wolności sumienia poszukiwano, czy nie było sposobu, by przeszkodzić tym ludziom w modleniu się zwłaszcza w oddawaniu się modlitwie tam, gdzie im się podobało? To było zadaniem, jakie zaczął sobie stawiać liberalizm urzędowy.

W różnych odstępach czasu prokurator cesarski, sędzia pokoju, mer, komisarz policyi i wielu innych jeszcze uderzyli na trwogę. Cud w pełni dziewiętnastego wieku, zdarzający się nagle, bez zapytania o pozwolenie, wydawał się niektórym z nich zniewagą dla cywilizacyi, zamachem na bezpieczeństwo państwa i trzeba było dla ocalenia honoru naszej światłej epoki zaprowadzić porządek. Większa część tych panów nie wierzyła zresztą w możliwość objawów nadprzyrodzonych i upatrywali w tem wszystkiem tylko oszukaństwo albo chorobę. W każdym razie kilku z nich powstawało przeciwko wszelkiemu zdarzeniu, które mogłoby bezpośrednio lub pośrednio podnieść wpływ religii, przeciwko której żywili albo uprzedzenie skryte, albo jawną nienawiść.

Najrozsądniejszym z małego szeregu urzędników owego czasu w Lourdes był bez wątpienia p. Jacomet, jakkolwiek był hierarchicznie ostatnim ze wszystkich, skoro zajmował skromny urząd komisarza policyi. Był młody, bardzo bystry w pewnych okolicznościach i obdarzony wymową, rzadką u jemu podobnych. Przebiegłość jego była nadzwyczajna. Nikt lepiej od niego nie znał nicponiów. Umiał znakomicie omylić ich wybiegi i pod tym względem opowiadają o nim zadziwiające rzeczy. Daleko mniej rozumiał ludzi uczciwych. Swobodny wobec spraw zawikłanych, mieszał się w obec prostoty. Prawda zbijała go z tropu i wydawała mu się podejrzaną; bezinteresowność budziła w nim nieufność, szczerość sprawiała męczarnie jego umysłowi, żądnemu odkrycia wszędzie wykrętów i podstępu. Z powodu tej monomanii świętość byłaby mu się wydała najpotworniejszym z wybiegów i byłaby go uczyniła nieubłaganym. Tego rodzaju zboczenia trafiają się często u ludzi tego zawodu, przywykłych przez sam swój urząd szukać winowajców i odkrywać zbrodnie. Z czasem stają się oni podejrzliwymi i miewają genialne po-

mysły, gdy mają do czynienia z przestępcami, a popełniają wielkie głupstwa, gdy chodzi o ludzi uczciwych. Jakkolwiek młody, Jacomet podlegał chorobie starych policyantów. Był zatem, jak te konie pyrenejskie, których noga stąpa pewno na ścieżkach kamienistych i stromych górach, a które potykają się co chwilę na drodze gładkiej i szerokiej.

Zadowolony ze swej osoby, był niezadowolonym ze swego stanowiska, od którego był wyższy swoją inteligencyą. Ztąd pochodziła pewna duma i gorące pragnienie odznaczenia się. Miał on wpływ wielki na swych szefów i udawał, że traktuje jako swego równego prokuratora cesarskiego i innych urzędników. Mieszał się do wszystkiego, rządził prawie wszystkimi i niemal kierował sprawami miasta. We wszystkiem, co dotyczyło kantonu Lourdes, prefekt departamentu, baron Massy, patrzał oczami Jacometa.

Takim był komisarz policyi, osobistość ważna w Lourdes, kiedy ukazało się zjawisko w grocie Massabielle.

IV.

Było to czwartego dnia owych dwóch tygodni, 21 lutego, w pierwszą niedzielę wielkiego postu.

Przed wschodem słońca olbrzymie tłumy, złożone z kilku tysięcy osób, były już zebrane przed grotą, nad brzegami Gawy i na łące. Była to godzina, w której Bernadeta zwykle przychodziła. Przyszła otulona w biały swój kapiszon, w towarzystwie kogoś z rodziny, matki czy siostry. Rodzice byli obecni jej zachwytowi dnia poprzedniego, widzieli, jak się przemieniała i uwierzyli.

Dziecko z prostotą, bez pewności siebie, ale i bez zakłopotania przeszło wśród tłumu, który się rozstąpił przed niem z szacunkiem, pozostawiając dla niego wolne przejście, i nie zdając się zważać na ogólne zajęcie, szło, jak gdyby spełniało coś bardzo prostego,

uklękło i modliło się pod niżą, gdzie się wiła gałązka głogu.

W kilka chwil później czoło dziewczynki się rozpromieniło. Krew jednak nie uderzyła jej do twarzy, przeciwnie zbladła ona lekko, rysy jej zmieniały się i jak gdyby wznosiła się do sfer wyższych, pełnych chwały, tchnęły uczuciami nieziemskiemi bynajmniej. Usta na wpół otwarte wyrażały podziw i zdawały się wzywać nieba. Oczy, wpatrzone i błyszczące, przypatrywały się niewidzialnej piękności, której żaden inny wzrok nie oglądał, lecz której obecność czuli wszyscy, którą wszyscy niejako widzieli w odblasku na twarzy dziecka. Ta biedna mała wieśniaczka, tak pospolita w swem biednem ubraniu, zdawała się nie należeć już więcej do tej ziemi.

Był to anioł niewinności, porzucający na chwilę ziemię i wpadający w zachwyt w chwili, gdy otwiera bramy niebieskie, gdzie spostrzega raj.

Wszyscy ci, co widzieli Bernadetę podczas zachwytu, mówią o tym widoku, jak o rzeczy, która nie ma sobie równej na ziemi. Wrażenie ich po dziesięciu latach jest równie żywe, jak pierwszego dnia.

Rzecz godna zaznaczenia! Jakkolwiek uwagę jej pochłaniało zupełnie wpatrywanie się w Dziewicę, miała ona po części świadomość tego, co się działo w koło niej. Ktoś chciał dotknąć laską gałązki dzikiej róży, wtenczas zrobiła znak, by tego zaniechał i twarz jej wyrażała obawę.

— Lękałam się, rzekła później naiwnie, aby nie dotknięto „Pani“ i nie wyrządzono jej krzywdy.

Jeden z widzów, którego nazwisko już wymieniliśmy, dr. Dozous, stał obok niej.

— To nie jest, pomyślał sobie, katalepsya z swą sztywnością, ani bezprzytomna ekstaza osób halucynowanych; to jest coś nadzwyczajnego, nieznanego sztuce lekarskiej.

Wziął rękę dziecka i schwycił za puls. Zdawała się nie zważać na to wcale. Puls zupełnie spokojny uderzał regularnie, jak w zdrowym stanie.

— Nie ma tu zatem chorobliwego podniecenia, powiedział sobie uczony lekarz, coraz więcej zakłopotany.

W tej chwili dziewczynka posunęła się na kolanach dalej ku grocie. Zjawisko zmieniło miejsce i Bernadeta mogła je widzieć przez wewnętrzny otwór.

Wzrok świętej Dziewicy zdawał się przez chwilę ogarniać całą ziemię, poczem zwróciła go z wyrazem boleści ku klęczącej Bernadecie.

— Co pani jest? co trzeba zrobić? szepnęło dziecko.

— Modlić się za grzeszników, odpowiedziało Zjawisko.

Widząc, że boleść, jak obłok zaćmiewa pogodę błogosławionej Dziewicy, mała pasterka uczuła dotkliwy ból w sercu. Niewymowny smutek wyraził się w jej rysach. Z oczu otwartych szeroko i zwróconych ku Zjawisku, popłynęły dwie łzy na policzki i zatrzymały się, nie spadając.

Promień radości rozjaśnił jej twarzyczkę, gdyż Dziewica sama zwróciła z pewnością swe spojrzenie ku źródłu niewyczerpanemu nieskończonego miłosierdzia, spływającego na świat w imię Jezusa i przez ręce Kościoła.

W tej chwili widzenie znikło. Królowa Niebios powróciła do Swego królestwa.

Aureola, jak zwykle, pozostała widoczną jeszcze przez chwil kilka, potem zatarła się zwolna, jak mgła błyszcząca, która rozprasza się i ginie w przestworzu.

Rysy Bernadety powoli powracały do zwykłego stanu. Zdawało się, że z sfer słonecznych wstępuje w regiony cienia i ziemskość odbiła się na twarzyczce, przemienionej krótko przedtem. Była to znowu po-

korna pastuszka, mała wieśniaczka, której na pozór nic nie odróżniało od reszty dzieci.

W koło niej cisnął się tłum wzruszony, przejęty, skupiony. Będziemy mieli jeszcze sposobność opisać jego zachowanie się.

V.

Przez cały poranek, po mszy św., aż do nieszpór, nie mówiono w Lourdes o niczem innem, jak o tych dziwnych wypadkach, które tłomaczono naturalnie w sposób najrozmaitszy. Tym, którzy widzieli Bernadetę w zachwycie, dowód wydawał się niezbitym. Niektórzy wyrażali swą myśl przez porównania dość szczęśliwe: „W naszych dolinach słońce ukazuje się późno, zakryte od wschodu szczytami gór. Zanim je atoli spostrzegamy, możemy zauważyć na zachodzie odblask jego promieni na stoku gór, które błyszczą, podczas kiedy my jeszcze jesteśmy pogrążeni w cieniach; i wtenczas, jakkolwiek nie widzimy słońca bezpośrednio, ale tylko w odblasku na pochyłościach, wiemy o jego obecności za olbrzymemi górami z przeciwległej strony. Widzą one słońce, mówimy, i gdybyśmy stali na wysokości tych gór, widzielibyśmy je także. Tak samo rzeczy się mają, kiedy się spojrzy na Bernadetę, rozpromienioną z powodu niewidzialnego zjawiska: pewność jest ta sama, dowody podobne. Twarz małej jasnowidzącej staje się nagle tak rozjaśnioną, tak przemienioną, tak promieniejącą i tak oświeconą boskim promieniem, że ten odblask cudowny, który widzimy, daje nam zupełną pewność co do istnienia świetlanego ogniska, którego nie widzimy. A gdybyśmy nie mieli całej góry błędów, niedostatków, zajęć materyalnych, żądz cielesnych, gdybyśmy byli na wysokości tej niewinności dziecka, tych śniegów odwiecznych, których nie skalała stopa ludzka, to i my także widzielibyśmy nie z odblasku, ale bezpośrednio to, co ogląda Berna-

deta, zachwycona, co błyszczy na jej rysach rozpromienionych.“

Takie rozumowania, doskonałe same w sobie i przekonywające dla tych, którzy byli świadkami tego niesłychanego widowiska, nie mogły wystarczyć tym, co nic nie widzieli. Opatrzność, jeśli była w tem wszystkiem, powinna była, zdawało się, potwierdzić swoje działanie dowodami, jeśli nie lepszemi, to przynajmniej bardziej materyalnemi, bardziej ciągłemi i niejako więcej namacalnemi. Może w tem był głęboki zamiar Boga i wzywał On tłumy na to, aby o pewnej godzinie mieć niezliczonych i wiarogodnych świadków.

Po skończonych nieszporach Bernadeta wyszła z kościoła z gromadką wiernych. Stała się ona, jak to sobie można wyobrazić, przedmiotem ogólnego zaciekawienia. Badano ją i otaczano. Biedne dziecko, zakłopotane tem zbiegowiskiem, odpowiadało z prostotą i starało się przedostać przez tłumy, aby wrócić do domu.

W tej chwili człowiek, przybrany w oznaki bezpieczeństwa publicznego, zbliżył się do niej i dotknął jej ramienia.

— W imieniu prawa — rzekł.

— Czego pan chcesz odemnie? — zapytało dziecko.

— Mam rozkaz zabrać cię ze sobą.

— Dokąd?

— Do komisarza policyi. Chodź za mną.

VI.

Szmer groźby przebiegł tłumy. Wielu z tych, którzy tam byli, widziało pokorne dziecko przemienione rano boskim zachwytem, rozpromienione światłem niebiańskiem. To też, kiedy zobaczyli, jak stróż bezpieczeństwa publicznego dotknął ręką jej ramienia,

zadrżeli z oburzenia i chcieli się wmieszać. Ale ksiądz, który w tej chwili wychodził z kościoła, dał znak zebranym, aby się uspokoili, mówiąc:

— Pozwólcie działać władzy.

Szczególnem zrządzeniem, jakie się spotyka nieraz w dziejach wypadków nadprzyrodzonych, kiedy się sobie zadaje trud a raczej sprawia się sobie przyjemność badania ich, Kościół śpiewał w owym dniu, w pierwszą niedzielę Wielkiego postu, nieśmiertelne słowa, przeznaczone na to, by pocieszyć i pokrzepić niewinnych i słabych w obec prześladowania: „Aniołom swoim każę cię pilnować, gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować na ręku będą, abyś idąc drogą, na ostry kamień nie ugodził nogą... W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie, pod Jego pióry uciężysz bezpiecznie. Stateczność Jego tarcz i puklerz mocny, za którym stojąc, na żaden strach nocny, na żadną trwogę, ani dbaj na strzały, któremi sieje przygoda w dzień biały...“

Ewangelia tego dnia opowiadała, jak do Zbawiciela, tego odwiecznego przykładu sprawiedliwego człowieka na ziemi, w początkach Jego posłannictwa boskiego znalazła przystęp pokusa i jaki przebieg miała walka i zwycięstwo nad duchem ciemności wśród samotności puszczy.

Taką była treść słowa Bożego, tak pocieszająca dla słabych, niewinnych i prześladowanych, takie wspomnienia wzbudzał Kościół i święcił ich pamiątkę dnia tego, w małem miasteczku wśród gór, kiedy stróż bezpieczeństwa publicznego w imieniu prawa aresztował małą dziewczynkę niewinną, by ją zaprowadzić przed najzręczniejszego i najprzebieglejszego przedstawiciela władzy.

Tłum wzruszony i zaniepokojony szedł za Bernadetą, prowadzoną przez policyanta. Komisaryat znajdował się niedaleko. Policyant wszedł z dzie-

ckiem i pozostawiając je na korytarzu, powrócił, by zamknąć drzwi na klucz i na rygiel.

W chwilę później Bernadeta znalazła się w obecności pana Jacomet.

Ogromne tłumy stały na dworze.

VII.

Człowiek bystry, który miał badać Bernadetę, był pewnym łatwego tryumfu i cieszył się naprzód na niego.

Należał do tych, którzy uporczywie odrzucali tłomaczenie mędrców miejscowych. Nie wierzył ani w katalepsyą, ani w halucynacyą, ani w różne złudzenia chorobliwe. Dokładność opowiadania dziecka, uwagi doktora Dozous i kilku innych świadków zajść w grocie, wydawały mu się niezgodnemi z takiem przypuszczeniem. Co do faktu samego Zjawiska, to nie wierzył on, jak mówiono, w możliwości widzeń „ultramontańskich", a jego zmysł policyjny, skory do śledzenia przystępców za czyn nie odpowiadający prawu, nie szedł może tak daleko, by odkryć Boga za faktem nadprzyrodzonym. Przeświadczony też, że musiały tam być fałszywe zjawiska, postanowił podstępnie lub siłą odkryć oszukaństwo i oddać wolnym myślicielom tę przysługę, by mogli objaw nadprzyrodzony schwycić na gorącym uczynku jako oszukaństwo. Znalazł znakomitą sposobność do zadania śmiertelnego ciosu rzekomej powadze wszystkich widzeń w przeszłości, zwłaszcza jeżeliby mu się udało odkryć i wykazać, że duchowieństwo, które tak starannie usuwało się od tej sprawy, kierowało nią lub wyzyskiwało ją potajemnie.

W tem usposobieniu umysłu pan Jacomet zaraz od pierwszych dni kazał śledzić Bernadetę, aby zobaczyć, czy nie spostrzeże jakiegoś tajemnego porozumienia się między małą jasnowidzącą a jednym

z członków duchowieństwa, czy to z Lourdes, czy z okolicy. Posunął on nawet, jak się zdaje, gorliwość swoją tak daleko, że umieścił w kościele indywiduum jakieś, któreby miało baczenie nad konfesyonałem. Ale dzieci, które chodziły na katechizm, spowiadały się kolejno co dwa tygodnie lub co miesiąc, a kolej Bernadety nie nadeszła jeszcze w owym czasie. Wszystkie te staranne zabiegi nie przyczyniły się do odkrycia żadnego wspólnictwa w oszukaństwie, jakie przypisywał Bernadecie. Wysnuł ztąd wniosek, że prawdopodobnie działała sama, nie pozbywając się atoli całkiem swoich podejrzeń, gdyż prawdziwy policyant podejrzywa zawsze, nawet bez dowodów i to stanowi jego właściwość odrębną.

Kiedy Bernadeta weszła, zatrzymał na niej przez chwilę spojrzenie badawcze i przeszywające, któremu umiał doskonale nadać w jednej chwili wyraz poczciwości i obojętności. On, który zwykle był szorstkim wobec wszystkich, okazał się więcej, niż grzecznym; dla biednej córki młynarza Soubirous był łagodny i uprzejmy. Kazał jej usiąść i pytając, przybierał ton przychylny i przyjacielski.

— Zdaje się, że widujesz piękną jakąś panią w grocie Massabielle? Opowiedz mi wszystko.

Kiedy wymawiał te słowo, otworzyły się drzwi sali z cicha i wszedł pan Estrade, jeneralny pobórca podatkowy, jeden z ludzi najwybitniejszych i najinteligentniejszych w Lourdes. Urzędnik ten zajmował jednę część domu, w którym mieszkał Jacomet i poinformowany o przybyciu Bernadety przez szmer tłumu na ulicy, pragnął być obecnym przy badaniu. Dzielił on odnośnie do zjawisk przekonanie Jacometa i tak jak on wierzył w kłamstwo ze strony dziewczynki. Wzruszał ramionami, gdy mu udzielano objaśnień innych. Uważał te rzeczy za tak niedorzeczne, że nie raczył nawet iść do groty, by zobaczyć te dziwne zajścia, o jakich mu opowiadano. Filozof

ten usiadł nieco na uboczu, zrobiwszy komisarzowi znak, by sobie nie przerywał. Wszystko to stało się bez wzbudzenia, jak się zdawało, uwagi Bernadety.

Scena i dyalog między dwoma stronami miały zatem świadka.

Na pytanie Jacometa dziecko podniosło na policyanta swój wzrok niewinny i zaczęło w swojem narzeczu ludowem, z nieśmiałością, która dodawała jeszcze siły jej opowiadaniu, kreślić wypadki nadzwyczajne, jakie wypełniały jej życie od dni kilku.

Jacomet słuchał z uwagą, nie przestając okazywać przychylności. Od czasu do czasu zapisywał coś na papierze, który miał przed sobą.

Dziecko zauważyło to, ale nie zajmowało się tem wcale.

Kiedy skończyła opowiadanie, komisarz coraz słodszy i bardziej uprzedzający, zaczął stawiać jej pytania bez liku, jak gdyby jego pobożna gorliwość interesowała się boskiemi cudami.

Zadawał te pytania szybko jedno po drugiem, bez ładu, w zdaniach krótkich i szybko następujących po sobie, aby nie zostawić dziecku czasu do namysłu.

Na te różne pytania Bernadeta odpowiadała bez żadnej obawy, bez najmniejszego wahania się, z spokojną pewnością osoby, którą pytają o zdanie o jakimś widoku lub obrazie, który ma przed sobą. Niekiedy, aby być lepiej zrozumianą, dodawała jakiś ruch wymowny, jak gdyby chciała nim uzupełnić swoją opowieść.

Szybkie pióro Jacometa zapisywało od czasu do czasu wszystkie jej odpowiedzi.

Dopiero wtenczas, umęczywszy ją do pewnego stopnia i zaćmiwszy umysł dziecka nieskończoną drobiazgowością szczegółów, przybrał agent policyjny groźny wyraz twarzy i zmienił ton nagle:

— Kłamiesz, — zawołał gwałtownie i jakby zdjęty nagłym gniewem; oszukujesz wszystkich i jeżeli nie wyznasz prawdy, natychmiast każę żandarmom cię zabrać.

Biedna Bernadeta była tak zaskoczoną tą nagłą zmianą, jak gdyby trzymając gałązkę, uczuła, że się ona zmieniła w jej ręku w żmiję. Skamieniała z trwogi; ale wbrew wyrachowaniu Jacometa, pozostała spokojną, jak gdyby moc jakaś niewidzialna zasłaniała ją przed tą niespodziewaną napaścią.

Komisarz wstał, spoglądając na drzwi, jakby chciał jej pokazać, że potrzebuje dać znak tylko, a ukażą się policyanci, by ją zaprowadzić do więzienia.

— Panie, — odezwała się Bernadeta z możliwą stanowczością, która w małej wieśniaczce podniosła się do niezrównanej wielkości. — Panie, możesz mię kazać wziąć żandarmom, gdyż nie mogę powiedzieć czegoś innego nad to, com już powiedziała. To było prawdą.

— Zobaczymy, — rzekł komisarz, siadając znowu, poznawszy wprawnem okiem, że groźba nie wywarła żadnego wrażenia na tem dziecku nadzwyczajnem.

Pan Estrade, niemy i bezstronny świadek tej sceny, był przejęty zdumieniem, jakie wzbudzał w nim ton przekonywujący Bernadety, oraz podziwem mimowolnym dla zręcznego manewru Jacometa, którego całe znaczenie pojął w toku badania.

Walka przybierała charakter zupełnie niespodziewany, walka między tą siłą popartą przebiegłością a tą słabością dziecięcą, nie mającą innej obrony nad swą prostotę.

Jacomet jednakże, uzbrojony zapiskami, które robił od trzech kwadransy, rozpoczął na nowo śledztwo, wedle swej metody zadając szybko pytania i wymagając natychmiastowej odpowiedzi. Nie wątpił ani

na chwilę, że schwyci w ten sposób jakąś sprzeczność w szczegółach.

Gdy to nastąpi, oszukaństwo zostanie odkrytem, on zaś będzie panem położenia. Ale na próżno wywysilał całą swoją przebiegłość i zręczność w najrozmaitszych manewrach. Dziecko nie powiedziało nic sprzecznego. Na te same pytania, jakiekolwiek były ich słowa, odpowiadała, jeśli nie takiemi samemi wyrazami, to zawsze to samo. Jacomet jednakże obstawał przy swojem, choćby dla tego, aby coraz więcej zmęczyć umysł dziecka, które chciał schwycić na jakiej sprzeczności. Obracał i przewracał na wszystkie strony opowiadanie o zjawisku.

— To dobrze, — rzekł wreszcie do Bernadety, — spiszę protokół i odczytam ci go.

Zapisał szybko dwie lub trzy strony, zaglądając do zapisków. Umyślnie wprowadził nieznaczne zmiany w szczegółach n. p. co do kształtu szaty, długości lub ułożenia welonu Dziewicy. Była to nowa zasadzka, lecz równie bezskuteczna jak inne. Przy każdej z tych nieznacznych zmian w swem opowiadaniu, Bernadeta w czasie czytania odpowiadała od czasu do czasu na jego pytanie: „Tak było, nieprawdaż?“ pokornie ale z niewzruszoną stanowczością:

— Nie, ja tego wcale nie powiedziałam! i poprawiała niedokładny szczegół.

— Ależ powiedziałaś to! — Pisałem to natychmiast!... Opowiadałaś w ten sam sposób kilku osobom w mieście itd. itd.

Bernadeta odpowiadała:

— Nie, nie mówiłam w ten sposób i nie mogłam tak mówić, gdyż to nie jest prawdą.

Komisarz był zmuszonym ustąpić naleganiom dziecka.

Dziwną była ta skromna i niepokonana pewność małej dziewczynki. Pan Estrade przypatrywał jej się z wzrastającem zdumieniem. Bernadeta była

i zdawała się nadzwyczaj nieśmiałą; postawa jej była pokorna, trochę zakłopotana w obec każdej nieznajomej jej osoby. A jednakże we wszystkiem, co się odnosiło do zjawiska, okazywała niezwykłą siłę ducha i stanowczość twierdzenia. Ale i wtenczas łatwo było odgadnąć tę dziewiczą niewinność duszy, któraby była chętnie skryła się przed każdem spojrzeniem. Widocznem było, że tylko z szacunku dla prawdy, z miłości dla „Pani“ widzianej w grocie, pokonywała ona zwykłą nieśmiałość.

Komisarz powrócił na nowo do groźby:

— Jeżeli nie przestaniesz chodzić do groty, każę cię wziąć do więzienia i nie wyjdziesz ztąd prędzej, dopóki mi nie przyrzekniesz, iż zaprzestaniesz tam chodzić.

— Przyrzekłam zjawisku, że tam będę chodziła, — rzekło dziecko. — A zresztą, gdy się zbliża ta chwila, coś we mnie mię tam popycha i wzywa.

Przesłuchiwanie dobiegało do końca. Trwało co najmniej godzinę. Na ulicy tłum czekał, nie bez niecierpliwego niepokoju, na wyjście dziecka, które tego samego poranku widziano opromienione niebiańskim blaskiem. Wtem powstało poruszenie wśród tłumu, jak gdyby nadszedł ktoś oczekiwany i upragniony.

W tej chwili odezwało się głośne stukanie do drzwi wchodowych.

Komisarz zdawał się nie zważać na to.

Uderzenia stały się gwałtowniejsze. Ten, który uderzał, wstrząsał zarazem drzwiami i próbował je wysadzić. Jacomet rozgniewany poszedł sam otworzyć.

— Nie wolno wchodzić, — rzekł ze złością. — Czego chcecie?

— Chcę zabrać moją córkę! — odpowiedział Soubirous, wchodząc przemocą i udając się za komisarzem do izby, w której znajdowała się Bernadeta.

Widok pogodnej twarzyczki córki uspokoił wzburzenie ojca i stał tam tylko biedny człowiek z ludu, drżący nieco przed osobistością, której się najwięcej obawiano.

Franciszek Soubirous zdjął swoją czapeczkę bearneńską i obracał ją w ręku. Jacomet, którego uwagi nic nigdy nie uszło, domyślił się uczucia obawy u młynarza.

Przybrał więc minę pełną serdeczności i współczucia, poklepał go poufale po ramieniu i rzekł:

— Ojcze Soubirous, strzeżcie się! strzeżcie się! Wasza córka jest na dobrej drodze do zrobienia głupstwa, wchodzi na drogę, prowadzącą prosto do więzienia. Tym razem tam jej jeszcze nie poślę, ale pod warunkiem, że jej zakażecie chodzić do groty, gdzie odgrywa komedyą. Za pierwszem powtórzeniem tego będę nieubłagany, a zresztą wiecie dobrze, że pan prokurator cesarski nie żartuje.

— Skoro tak pan chcesz, panie Jacomet, — odpowiedział biedny ojciec przerażony, — zakażę jej tego i matka także, a ponieważ nas słuchała zawsze, przeto z pewnością nie pójdzie.

— W każdym razie, jeżeli tam pójdzie i to zgorszenie potrwa dalej, zabiorę się nie tylko do niej, ale i do was — rzekł okrutny komisarz, stając się znowu groźnym i odprawiając go ruchem ręki.

W chwili, kiedy Bernadeta i jej ojciec ukazali się we drzwiach domu, wśród tłumu rozległ się okrzyk zadowolenia. Kiedy powrócili do domu, tłumy rozpierzchły się.

Komisarz policyi i pobórca, zostawszy sam na sam, zaczęli sobie udzielać nawzajem wrażeń, odniesionych z śledztwa.

— Co za niewzruszona stałość usposobienia! — zawołał pan Estrade, głębokim przejęty podziwem.

— Co za upór niepokonany w kłamstwie! — odpowiedział Jacomet, zdumiony swoją porażką.

— Jaki przekonywający ton prawdy! — mówił dalej pobórca. Nic w mowie ani w postawie nie zadawało sobie kłamu ani razu. Widoczna, że wierzy, iż miała widzenie.

— Co za giętkość umysłu! — prawił komisarz. Nie powikłała się ani razu mimo moich starań. Umie swoją bajeczkę dobrze na pamięć.

Komisarz i pan Estrade obstawali jeden i drugi w swem niedowierzaniu co do faktu samego zjawiska. Ale pewien odcień dzielił ich zaprzeczenia a ten odcień był przepaścią. Jeden uważał Bernadetę za zręczną kłamczynię, drugi widział dobrą wiarę w jej złudzeniu.

— Jest zręczna — mówił pierwszy.

— Jest szczera — twierdził drugi.

VIII.

Jakkolwiek był bezsilnym w obec odpowiedzi prostych, jasnych i dokładnych Bernadety, pan Jacomet w końcu tej długiej walki odniósł stanowczą korzyść. Zastraszył bardzo ojca dziewczynki i czuł, że z tej strony, chwilowo przynajmniej, był panem położenia.

Franciszek Soubirous był poczciwym człowiekiem, ale nie był wcale bohaterem. W obec władzy urzędowej był nieśmiały, jak wszyscy prości ludzie. W głębi duszy wierzył on w zjawisko, ale nie pojmując, co to było, doznając nawet pewnej obawy przed rzeczami nadzwyczajnemi, nie widział przeszkody w zabronieniu Bernadecie powrócenia do groty. Być może, iż doznawał niejasnego uczucia trwogi, aby nie narazić się niewidzialnej „pani“, która się objawiała jego dziecku, ale obawa rozgniewania człowieka żyjącego, rozpoczynania walki z osobistością równie groźną, jak komisarz, obchodziła go bliżej i działała potężniej na jego umysł.

— Widzisz, że ci panowie są przeciwko nam — odezwał się do Bernadety — i że jeżeli powrócisz do groty, to pan Jacomet każe ciebie i mnie wziąść do więzienia. Nie wracaj tam już więcej.

— Ojcze — mówiła Bernadeta — kiedy tam idę, to nie zupełnie sama z siebie. W pewnej chwili coś mię tam popycha i ciągnie.

— Jakkolwiekbądź jest — rzekł ojciec — zakazuję ci stanowczo chodzić tam odtąd. Z pewnością nie będziesz mi nieposłuszną pierwszy raz w życiu.

Biedne dziecko, mając przed sobą przyrzeczenie, uczynione zjawisku i wyraźny zakaz władzy ojcowskiej, odpowiedziało:

— Uczynię więc wszystko, co tylko w mej mocy, aby się powstrzymać od pójścia tam dotąd.

Wieczór tej niedzieli, która rozpoczęła się tak pięknie, zeszedł smutno.

IX.

Nazajutrz rano, 22 lutego, o zwykłej godzinie objawień napróżno czekały tłumy nad brzegami Gawy na dziewczynkę. Rodzice zaraz po wschodzie słońca posłali ją do szkółki, a Bernadeta, przyzwyczajona słuchać, poszła tam, choć z ciężkiem sercem i ze łzami w oczach.

Siostry, zajęte dziełami miłosierdzia i nauczaniem a może ostrzeżone przez X. proboszcza z Lourdes, nie widziały nigdy zachwytów Bernadety i nie wierzyły w zjawiska. Jedna z nich, podejrzywając kłamstwo w rzeczach tak poważnych i świętych, okazała się nawet dość szorstką.

— Niedobre dziecko — rzekła do Bernadety — urządzasz prawdziwy karnawał w świętym czasie postu.

Inne osoby, które ją widziały podczas rekreacyi, oskarżały ją, że chce uchodzić za świętą i odgrywa bezbożną komedyą. Szyderstwo kilkorga dzieci ze

szkoły łączyło się do tych gorżkich wymówek i upokorzeń, które znosiła.

Bóg chciał doświadczyć Bernadetę. Obdarzywszy ją poprzednio łaskami, chciał w Swej mądrości pozostawić ją przez pewien czas w zupełnem opuszczeniu, wystawioną na pośmiewisko i zniewagi. Biedna dziewczyna cierpiała niewymownie, nie tylko z powodu przeciwności zewnętrznych, ale więcej jeszcze wskutek utrapień duszy.

Ta mała pastuszka, która w swem krótkiem życiu nie zaznała innych cierpień prócz fizycznych, wstępowała na drogę wyższą i zaczynała odczuwać inne męczarnie i utrapienia. Z jednej strony nie chciała być nieposłuszną ani ojcu, ani zakonnicom, z drugiej zaś nie mogła znieść myśli, iż nie dotrzyma przyrzeczenia, jakie złożyła niebiańskiemu zjawisku w grocie. W tej dziecięcej duszyczce, tak spokojnej dotąd, toczyła się okrutna walka. Zdawało jej się, że się unosi nad dwoma przepaściami równie głębokiemi: iść do groty, znaczyło to zgrzeszyć przeciw ojcu, nie iść, było grzechem przeciw zjawisku, przybywającemu z góry. W obydwóch przypadkach było to w jej oczach grzechem przeciwko Bogu. A jednak trzeba było obrać jedno; środkowej drogi tutaj nie było.

Poranek zeszedł w tych trwogach tem przykrzejszych, że ogarniały duszę w tym wieku. zwykle pogodną i czystą, w której wrażenia są tak żywe: przywyknięcie do boleści ludzkich jeszcze nie utworzyło jakby siatki w koło delikatnych drgnień serca.

Około południa dzieci wracały do domu na obiad.

Bernadeta szła smutno i z ciężkiem sercem ku domowi. Dzwon kościoła w Lourdes zaczął wygłaszać Anioł Pański.

W tej chwili jakaś moc ją dotknęła nagle, działając nie na jej umysł, lecz na ciało, jakby to uczy-

nić mogła dłoń niewidzialna i sprowadziła ją z drogi, którą szła, aby ją skierować w stronę ścieżki, znajdującej się na prawo. Nie mogła powstrzymać się od posuwania się najprzód, jak gdyby schodziła nagle z pochyłości. Cała jej istota fizyczna uczuła się nagle pociągniętą ku grocie, do której wiodła owa ścieżka. Musiała iść, musiała biedz.

A jednakże ruch, który ją unosił, nie był ani nagły, ani gwałtowny. Opatrzność, która rządzi wszystkiem, rozwiązała tutaj zawikłane zadanie. Dziecko posłuszne ojcu, nie szło do groty, dokąd je ciągnęło serce, i oto pchane siłą niebiańską, przybyło tam jednakże, wedle obietnicy udzielonej „Pani“, chociaż jej wola nie przekroczyła zakazu ojcowskiego.

Pokorne serce Bernardety przepełniało się już nadzieją w miarę, jak się zbliżało do groty.

— Tam — mówiła do siebie — zobaczę ukochane zjawisko, tam znajdę pociechę, tam wpatrywać się będę w to oblicze, którego widok napełnia mię szczęściem. Po tych mękach nastąpi radość bez granic, gdyż „Pani“ mię nie opuści.

X.

Zanim przybyła do groty, siła tajemnicza, która uniosła dziecko. zdawała się zmniejszać. Bernadeta kroczyła mniej szybko i ze zmęczeniem, jakiego nie doznawała zwykle. Nie uczuwała tego pociągu wewnętrznego, ani owej tajemniczej podpory, co w inne dni. Siła, która ją uniosła, wskazała jej drogę obowiązku i to, że przedewszystkiem należy dotrzymać obietnicy, uczynionej Zjawisku; ale dziecko nie słyszało, jak inne razy, wewnętrznego głosu. Kto przyzwyczajony do badań, ten zrozumie odcienia, łatwiejsze do pojęcia, niż do opisania.

Jakkolwiek wielkie tłumy, które rano napróżno czekały na Bernadetę, rozpierzchły się już, mimo to

spora gromadka znajdowała się jeszcze przy grocie. Jedni przyszli modlić się, inni z prostej ciekawości. Wiele osób, widząc Bernadetę, podążającą w tym kierunku, przybiegło za nią.

Dziecko, jak zwykle, uklękło pokornie i zaczęło odmawiać różaniec, spoglądając ku grocie, wysłanej mchem i dzikiemi gałązkami, gdzie dziewica już sześć razy objawiła się jej oczom.

Tłum ciekawy, skupiony, spodziewał się każdej chwili ujrzeć twarzyczkę dziecka rozpromienioną światłem niebiańskiem.

Minęła długa chwila.

Bernadeta modliła się gorąco, ale nic w jej rysach nie odzwierciadlało Boskiego promienia. Cudowne zjawisko nie ukazywało się jej oczom i dziecko modliło się, nie otrzymując urzeczywistnienia swych nadziei. Niebo zdawało sie opuszczać ją tak samo, jak ziemia i pozostawać głuchem na jej prośby i nieczułem na jej łzy.

Ze wszystkich utrapień, jakich doznała od dnia poprzedniego, to doświadczenie wydało jej się najbardziej gorżkiem.

— Czemu pani zniknęłaś? — mówiło dziecko. Dla czego mię opuszczasz?

Tłum zaniepokojony zarzucał ją tysiącami pytań.

— Dzisiaj — odpowiadało dziecko z oczami łez pełnemi — „Pani“ nie ukazała mi się. Nic nie widziałam.

— Teraz musisz zrozumieć, biedne dziecko — odzywali się niektórzy — że to było złudzenie i że ci się wszystko przywidziało.

— Istotnie — dodawali inni — czemuż skoro „Pani“ ukazała się wczoraj, nie miałaby objawić się także dzisiaj?

— W inne dni widziałam ją, jak was widzę — mówiło dziecko — i rozmawiała ona ze mną. Ale dziś jej nie ma i nie wiem, dla czego.

— Ba! — mówił jakiś niedowiarek — komisarz policyi zrobił swoje i zobaczycie, że wszystko tutaj skończone, w imieniu prawa zakazano tu cudu.

Co do Bernadety, pewnej samej siebie i pewnej przeszłości, ta nie miała wątpliwości najmniejszej. Ale pogrążona była w smutku głębokim i powróciwszy do domu, wylewała łzy gorzkie, modląc się.

Przypisywała nieobecność Zjawiska jakiemu niezadowoleniu. „Czy popełniła coś złego?“ badała sama siebie. Ale sumienie nic jej nie wyrzucało. W głębi jej zbolałej duszyczki tkwiła skryta nadzieja.

— Zkąd wracasz? — zapytał ją ojciec w chwili, gdy wchodziła.

Opowiedziała mu, co zaszło.

— I mówisz, — zaczęli rodzice znowu, — że moc jakaś uniosła cię mimo twej woli?

— Tak jest, odpowiedziała Bernadeta.

— To prawda, pomyśleli, gdyż dziecko nie kłamie nigdy.

Ojciec Soubirous zamyślił się przez chwilę. Zdawało się, że stacza wewnętrzną walkę ze sobą. Wreszcie podniósł głowę i rzekł:

— A zatem, skoro tak się rzeczy mają, skoro moc wyższa zniosła się do groty, pozwalam ci tam chodzić i daję ci swobodę zupełną.

XI.

To, co opowiedzieliśmy co dopiero, stało się po południu i pogłoska o tem rozeszła się po mieście szybko.

Nagła przerwa w zjawiskach nadprzyrodzonych dawała powód do najsprzeczniejszych komentarzy.

Komisarz dowiedziawszy się o przekroczeniu swego zakazu z dnia poprzedniego, zawezwał rodziców i dziecko do siebie i ponowił swoje groźby. Znowu

udało mu się ich zatrwożyć, ale mimo obawy, jaką w nich budził, nie znalazł, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, we Franciszku Soubirous téj saméj uległości czy słabości, co dnia poprzedniego.

— Panie Jacomet, mówił biedny człowiek, Bernadeta nie skłamała jeszcze nigdy, a jeżeli Pan Bóg, Najświętsza Panna lub jakaś Święta Pańska ją wzywa, nie możemy sprzeciwiać się temu. Postaw się pan komisarz w naszem miejscu, Pan Bóg ukarałby nas za to!

— Zresztą sama mówisz, że zjawiska nie było, dowodził Jacomet, zwracając się do dziecka. Nie masz tam już co robić.

— Przyrzekłam tam chodzić codziennie przez dwa tygodnie, odpowiedziała Bernadeta.

— To wszystko bajki! zawołał komisarz zniecierpliwiony. Każę was wszystkich zaprowadzić do więzienia, jeżeli ta dziewczyna nie przestanie bałamucić tłumów swojemi niedorzecznościami.

— Mój Boże, mówiło dziecko, chodzę sama jedna modlić się, nie wzywam nikogo. A jeżeli tyle ludzi idzie tam przedemną i ze mną razem, to nie moja w tem wina. Bo mówiono, że to jest Najśw. Panna; ale ja nie wiem, co to jest.

Przyzwyczajony do wybiegów i wykrętów, policyant był zbity z tropu w obec tej głębokiej prostoty. Jego przebiegłość, nadzwyczajna zręczność, pytania, groźby, wszelkie sztuczki jego rzemiosła na nic mu się nie zdały. Nie przypuszczając ani na chwilę, aby nie miał mieć słuszności, nie mógł pojąć przyczyny swej zupełnej bezsilności. To też nie zrzekając się oporu, postanowił wezwać innych sił na pomoc.

— Doprawdy, zawołał, uderzając nogą w ziemię, to głupia sprawa!

Pozwalając Soubirousom wrócić spokojnie do domu, pobiegł czemprędzéj do prokuratora cesarskiego.

Pan Dutour, mimo swego wstrętu do zabobonów, nie mógł nigdzie znaleźć w kodeksach żadnego ustępu, któryby pozwolił małą jasnowidzącą traktować jak zbrodniarkę. Bernadeta nadto nie powiedziała nic sprzecznego, trudno jej było udowodnić, że kłamała. Aby módz ją ścigać, potrzeba było koniecznie, aby sama zadała przez jakąś sprzeczność kłam swoim słowom, albo aby jej rodzice ciągnęli korzyści z tego, co się działo, lub też aby zachodziły jakieś nieporządki w tłumach. Wszystko to się mogło zdarzyć.

XII.

Nazajutrz rano, 23 lutego, tłum znalazł się przed grotą już przed wschodem słońca. Bernadeta przyszła z tą spokojną prostotą, której nie zakłócała nieprzychylność jednych, ani zapał drugich. Smutek i trwogi dnia poprzedniego pozostawiły ślady na jej twarzyczce. Lękała się, że nie ujrzy znowu Zjawiska i jakkolwiek miała jakąś nadzieję, nie śmiała jej się oddawać.

Uklękła pokornie, opierając jednę rękę na poświęconej gromnicy, którą przyniosła lub którą jej podano, w drugiej trzymając różaniec.

Powietrze było spokojne i płomień świecy wznosił się prosto ku niebu jak modlitwa tej czystej duszyczki ku sferom niewidzialnym, z których Zjawisko zwykło było zstępować. Zaledwie dziecko uklękło, a już cudowne zjawienie ukazało się jej oczom. Królowa rajska zatrzymała na dziecku tej ziemi spojrzenie pełne niewysłowionej słodyczy. Wymówiła jej imię tym głosem harmonijnym, który zachwyca aniołów.

— Bernadeto! — rzekła do niej.

— Jestem — odpowiedziało dziecko.

— Powiem ci coś, co dotyczy ciebie samej. Czy przyrzekasz mi, że nie powtórzysz tego nigdy nikomu na świecie?

— Przyrzekam — rzekła Bernadeta.

Rozmowa trwała dalej i niepodobna ani wolno nam badać jej tajemnicy głębokiej.

— A teraz — odezwało się Zjawisko do Bernadety — idź i powiedz kapłanom, że chcę, aby mi tutaj wzniesiono kaplicę.

Wymówiwszy te słowa, zniknęła „Pani“; twarz Bernadety pokrył cień, jaki zalega wieczorem ziemię, kiedy słońce znika zwolna na widnokręgu.

Tłumy cisnęły się do dziecka. Wszystkie twarze wyrażały wzruszenie. Zadawano jej pytania ze wszystkich stron. Nie pytano jej wcale, czy miała widzenie, ponieważ widziano ją w zachwycie, ale chciano usłyszeć słowa, jakie wypowiedziało do niej Boskie Zjawisko. Każdy usiłował zbliżyć się do dziecka, by głos jej usłyszeć.

— Co ci powiedziało Zjawisko? — To pytanie było na ustach wszystkich.

— Powiedziało mi dwie rzeczy, jedną dla mnie samej, drugą dla naszych księży, i zaraz też idę do nich — odpowiada Bernadeta, której spiesznno było powrocać do Lourdes, by spełnić posłannictwo.

Dziwiła się, że nikt nie słyszał jej rozmowy i nie widział „Pani“. Zjawisko mówi dość głośno, by je słyszeć, mówiła, i ja także podnoszę głos, jak zwykle. W czasie zachwytu zauważono, iż usta dziecka się poruszają, ale to było wszystko, nie rozróżniano ani jednego wyrazu.

KSIĘGA TRZECIA.

I.

Kiedy Bernadeta przyszła do miasta, fale ludu popłynęły naprzód, aby zobaczyć, co będzie robiła.

Dziecko przeszło ulicę, która przerzyna Lourdes i stanowi główną zarazem drogę, następnie, zatrzymawszy się w niższej części miasta przed murem ogrodu, otworzyło furtkę i weszło do domu, do którego należał ów ogród.

Tłumy, powstrzymane uczuciem szacunku, nie udały się za Bernadetą i pozostały na ulicy.

Pokorna i skromna, ubrana w biedne sukienki, łatane we wielu miejscach, okryta na głowie i ramionach kapiszonem białym z grubej tkaniny i nie mająca innego znaku zewnętrznego posłannictwa z góry, krom może królewskiego płaszcza ubóstwa, jaki nosił Chrystus Pan, — posłanniczka Najświętszej Panny weszła do domu czcigodnego męża, który uosabiał w tym zakątku ziemi i dla tego dziecka całą powagę Kościoła katolickiego.

X. proboszcz Peyramale, jakkolwiek przekonany o możliwości ukazywania się zjawisk, nie mógł uwierzyć w rzeczywistość tego nadprzyrodzonego widzenia, które, jak twierdziło dziecko, objawiło się nad brzegami Gawy w grocie nieznanej dawniej skał

Massabielle. Widok zachwytu byłby go niezawodnie przekonał, ale nie widział nic i miał wielkie wątpliwości najprzód co do istnienia samego zjawiska a powtóre co do boskości jego charakteru. Anioł ciemności przemienia się niekiedy w Anioła jasności i pewna wątpliwość w tych rzeczach jest dozwoloną. Zresztą uważał za potrzebne doświadczyć samemu szczerości dziecka. Dla tego przyjął on Bernadetę z nieufnością dość szorstką a nawet do pewnego stopnia z surowością.

Jakkolwiek trzymał się zdala od owych wydarzeń i chociaż w swojem życiu nie mówił z Bernadetą, tak nową zresztą wśród jego owieczek — znał ją jednakże z widzenia, ponieważ mu ją pokazano dzień lub dwa dni przedtem, gdy szła na ulicy.

— Jesteś Bernadetą, córką młynarza Soubirous, nieprawdaż? — zapytał, gdy stanęła przed nim, przeszedłszy ogród.

— Tak, to ja, Xięże proboszczu — odpowiedziała pokorna służebniczka Najśw. Panny.

— I czego żądasz Bernadeto odemnie?... Po co przyszłaś? — rzekł nie bez szorstkości w głosie i zatrzymując na dziecku wzrok badawczy.

— Xięże proboszczu, przychodzę w imieniu „Pani“, która mi się ukazuje w grocie Masabielle...

— A! tak! — zauważył kapłan, przerywając jej. — Twierdzisz, że miewasz widzenia i sprowadzasz ludzi twoją historyjką. Co to wszystko znaczy? Co to są za nadzwyczajne rzeczy, o których twierdzisz, a na które nie ma żadnego dowodu?

Bernadeta była dotkniętą, zdziwioną może w swej niewinności surowem odezwaniem się i niemal szorstkim tonem, jakim przemówił do niej X. proboszcz Peyramale, zwykle tak dobry, tak łagodny i ojcowski dla swych parafian, a zwłaszcza biednych i małych.

Bernadeta z ciężkiem nieco sercem, ale bez trwogi i z spokojnem przeświadczeniem o prawdzie opowiedziała to, co już znamy.

Sługa Boży umiał być wyższym nad uprzedzenia osobiste. Przyzwyczajony czytać w głębi serc, podziwiał w duszy podczas, gdy mówiła, szczerość téj małéj wieśniaczki, opowiadającéj swym językiem tak cudowne wydarzenia. W jej pogodnych oczach, na twarzyczce łagodnej spostrzegał głęboką niewinność tej duszy uprzywilejowanej. Niepodobną dla jego szlachetnej i prawej natury było rzeczą słyszeć słowa tak tchnące prawdą i patrzeć na te rysy łagodne i harmonijne, aby w głębi duszy nie czuć się skłonnym do wierzenia słowom dziecka. Ale żaden muskuł w twarzy jego nie zdradził wewnętrznego wzruszenia. Zapanował nad sobą, aby wobec dziewczynki okazać się surowym.

— I ty nie wiesz imienia tej pani? zapytał.

— Nie, odpowiedziała Bernadeta. Nie powiedziała mi swego imienia.

— Ci, którzy ci wierzą, mówił kapłan dalej, wystawiają sobie, że to Najświętsza Panna Marya. Ale czy ty wiesz, dodał głosem poważnym i nieco groźnym, że jeżeli fałszywie utrzymujesz, iż widzisz ją w grocie, to nie zobaczysz jej w niebie? Tutaj ty sama twierdzisz, że ją widzisz. Tam u góry, jeśli kłamiesz tu na ziemi, to inni ją tam zobaczą, a ty za kłamstwo pozostaniesz zawsze zdala od niej.

— Ja wcale nie wiem, czy to jest Najświętsza Panna, Xięże proboszczu, odpowiedziało dziecko, ale widzę to zjawisko tak, jak teraz patrzę na Xiędza Proboszcza i ono do mnie przemawia, jak Xiądz Dobrodziej do mnie mówi. I przychodzę z jej polecenia, aby powiedzieć, iż żąda, aby jej zbudowano kaplicę na skałach Massabielle, gdzie mi się ukazuje.

Proboszcz patrzał na dziewczynkę przedkładającą mu z taką pewnością siebie to formalne żądanie i mimo

poprzedniego wzruszenia, nie mógł na widok tej dziecięcej posłanniczki nieba powstrzymać uśmiechu na to żądanie. Myśl, że to dziecko podlegało złudzeniu, zastąpiła niebawem miejsce wzruszenia i powątpiewanie wzięło górę.

Kazał Bernadecie powtórzyć słowa, jakich użyła „Pani“ w grocie.

— Powierzywszy mi tajemnicę, która dotyczy mnie samej i której mi nie wolno wyjawiać, dodała: „A teraz idź do kapłanów i powiedz im, że chcę, aby mi tutaj zbudowano kaplicę.“

— Jeżeli „Pani“, o której mówisz mi, jest istotnie Królową Niebios — odpowiedział — byłbym szczęśliwym, gdybym mógł przyczynić się do wybudowania dla Niej kaplicy, ale twoje słowa nie stanowią pewności. Nic nie zobowięzuje mnie do wierzenia im. Nie wiem, kto jest owa „Pani“ i zanim się zajmę tem, czego sobie życzy, muszę wiedzieć, czy ona ma prawo do tego. Żądaj od Niej zatem, aby mi dała jakiś dowód swej potęgi.

Okno było otwarte i kapłan, zwróciwszy oczy w stronę ogrodu, widział przyrodę obumarłą.

— Zjawisko, jak mi powiadasz, ma pod stopami gałązkę dzikiej róży, która wyrasta pośród skał. Jesteśmy teraz w miesiącu lutym. Odpowiedz Jej ode mnie, że jeżeli chce kaplicy, to niechaj zakwitnie owa dzika róża.

Temi słowy pożegnał dziewczynkę.

Niebawem dowiedziano się o szczegółach rozmowy dziecka z kapłanem, szanowanym przez wszystkich.

— Źle ją przyjął — mówili z radością mędrkowie i filozofowie, ma zbyt wiele rozumu, aby wierzyć w złudzenia i bardzo mądrze wykręcił się z tej całej historyi.

Jacomet, pan Dutour i ich przyjaciele cieszyli

się z tego obrotu rzeczy. „Zjawisko ma pokazać pasport“, powtarzano w kołach urzędowych.

— Róża zakwitnie, — mówili najsilniej wierzący, ci którzy byli jeszcze pod wrażeniem widoku Bernadety w zachwycie.

Znaczna liczba osób, wierząc w Zjawisko, lękała się doświadczenia. Jedni i drudzy oczekiwali z niecierpliwością dnia następnego.

II.

Pomiędzy tymi, których wzgarda dla zabobonu powstrzymywała dotąd od mieszania się z tłumem, aby zbadać rzecz naocznie, kilku postanowiło udać się teraz do groty, aby zobaczyć rozczarowanie tłumów. Jednym z nich był pan Estrade, pobórca podatków, który to był obecnym u Jacometa przy badaniu dziewczynki. Był on wówczas zaskoczony tonem przekonania i szczerości Bernadety i nie powątpiewając o dobrej wierze dziecka, przypisywał jej opowiadanie następstwom jakiegoś złudzenia. Chwilami jednak skłaniał się ku zapatrywaniu Jacometa, który nie przestawał upatrywać w tem wszystkiem zręcznej komedyi. Postanowił zatem udać się do skał Massabielle, trochę dla tego, aby być obecnym na widowisku, trochę aby obserwować, trochę też z uprzejmości, aby towarzyszyć swej siostrze, bardzo wzruszonej temi opowiadaniami i kilku paniom z sąsiedztwa. Autorowi niniejszego opowiadania sam zakomunikował swoje wrażenia mało podejrzane.

— Przebyłem — mówił — usposobiony do badania i prawdę mówiąc, z zamiarem śmiania się; spodziewałem się bowiem jakiej komedyi lub dziwactwa. Ogromne tłumy zbierały się zwolna w koło tych skał dzikich. Podziwiałem prostotę tylu nieznających i uśmiechałem się sam do siebie z łatwowierności gromady kobiet, które klęczały przed skałami. O zwy-

kłej godzinie, około wschodu słońca, przyszła Bernadeta. Stałem obok niej. Zauważyłem w jej rysach dziecięcych wyraz łagodności, niewinności i głębokiego spokoju, który mię uderzył kilka dni przedtem u komisarza. Padła na kolana, całkiem naturalnie, bez ostentacyi i bez zakłopotania, nie zważając na tłum, który ją otaczał, zupełnie tak samo, jak gdyby znajdowała się w kościele albo w odludnym lesie, zdala od ludzkiego oka. Wyjęła różaniec i zaczęła się modlić. Niebawem wzrok jej zdawał się odbijać jakąś jasność nieznaną, stał się nieruchomy i zatrzymał się rozpromieniony, błyszczący szczęściem, na otworze skały. Podniosłem także zaraz oczy, lecz nie widziałem nic innego, jak ogołoconą gałązkę dzikiej róży. A jednak, co powiecie? w obec zachwytu dziecka wszystkie poprzednie moje uprzedzenia, wszelkie wywody filozoficzne ustąpiły nagle miejsca nadzwyczajnemu uczuciu, które mię ogarnęło mimowolnie. Miałem przekonanie i pewność, że jakaś istota nadprzyrodzona tam się znajduje. Oczy moje jej nie widziały, ale dusza moja i dusza niezliczonych widzów w tej uroczystej chwili widziała to. Tak jest, powtarzam, że jakaś istota boska tam była. Nagle i zupełnie przemieniona, Bernadeta nie była już Bernadetą. Był to anioł przejęty zachwytem. Nie miała tej samej fizyonomii, malowała się w niej inna inteligencya, inne życie, powiedziałbym inna dusza. Nie była podobną wcale do siebie samej, zdawała się być kimś innym. Jej postawa, najmniejsze ruchy, sposób n. p. robienia znaku Krzyża św. odznaczał się szlachetnością, godnością i podniosłością więcej, niż ludzką.

Uśmiechała się do tej niewidzialnej istoty i zdawało się, że lęka się spuścić powieki, by na chwilę nie stracić z oczu cudownego widoku. Byłem nie mniej wzruszony od innych obecnych. Jak oni powstrzymywałem oddech, aby módz usłyszeć rozmowę między zjawiskiem a dzieckiem. Dziewczynka słu-

chała z wyrazem uszanowania najgłębszego, albo raczej najzupełniejszego uwielbienia. Czasami jednakże obłoczek smutku zaćmiewał jej twarzyczkę, ale ogólny wyraz świadczył o radości wielkiej. Zauważyłem, że chwilami nie oddychała wcale. Przez cały ten czas trzymała różaniec w ręku, czasem nieruchomo, czasem przesuwając go w palcach w nieregularnych odstępach. Każdy jej ruch odpowiadał fizyonomii, która wyrażała kolejno zachwyt, modlitwę, radość. Jeżeli w niebie robią znak krzyża św., to z pewnością jest on podobny do tego, który robiła Bernadeta w zachwycie. Ten gest dziecka, tak nieśmiały, jakim był, zdawał się ogarniać nieskończoność. — Naraz Bernadeta posunęła się na kolanach z miejsca, w którem się modliła, w głąb groty, może o piętnaście metrów. Podczas kiedy posuwała się na tę nieco spadzistą pochyłość, kilka osób słyszało wyraźnie, jak wymawiała słowa: „Pokuta! pokuta! pokuta!“

W kilka chwil później wstała z miejsca i poszła ku miastu wśród tłumu. Było to biedne dziecko w łachmanach, które zdawało się nie mieć nic wspólnego z tem zadziwiającem widowiskiem.

W czasie tej sceny jednakże dzika róża nie zakwitnęła. Nagie jej gałązki wiły się wzdłuż skały i napróżno tłum czekał na cud, jakiego żądał pasterz miejscowy. Okoliczność godna uwagi! wiara wierzących zachwiała się nieco, ale mimo tego pozornego oporu martwej przyrody w obec potęgi nadprzyrodzonej, kilka znaczniejszych osób, między niemi ten, o którym mówiliśmy co dopiero, nawróciło się do wiary na widok niebywały zachwytu dziecka.

Tłum, jak zawsze, badał grotę we wszystkich kierunkach po odejściu dziecka. Pan Estrade zwiedził ją tak samo, jak inni, bardzo dokładnie. Każdy spodziewał się zobaczyć tam coś nadzwyczajnego, ale nic nie podpadało oczom. Było to pospolite wy-

drążenie w twardej skale, z ziemią całkiem suchą, z wyjątkiem wschodniej strony, gdzie w czasie słotnym wiatr napędzał nieco przemijającej wilgoci.

III.

— I cóż, widziałaś ją dzisiaj i co ci powiedziała? — zapytał się proboszcz z Lourdes, kiedy Bernadeta przybyła do niego, powracając z groty.

— Widziałam Zjawisko — odpowiedziało dziecko — i powiedziałam mu: „X. Proboszcz prosi Panią, abyś mu dała jakie dowody, aby n. p. zakwitnęła gałązka róży pod twemi stopami, ponieważ słowo moje nie wystarcza księżom i nie chcą mi uwierzyć“. Wtem zaś uśmiechnęła się, nic nie mówiąc jednakże. Potem mówiła mi, abym się modliła za grzeszników i kazała mi wejść do wnętrza groty i zawołała trzy razy: „Pokuta! pokuta! pokuta!“ które powtórzyłam, czołgając się ku grocie na kolanach. Powiedziała mi drugą tajemnicę, moją osobistą, poczem zniknęła.

— I cóż znalazłeś w grocie?

— Patrzałam na Nią tylko a potem nie widziałam nic innego, jak skałę, a na ziemi źdźbła trawy, które rosły wśród piasku.

Proboszcz zamyślił się.

— Czekajmy — powiedział do siebie.

Wieczorem X. Peyramale opowiadał o tej rozmowie wikaryuszom i kilku kapłanom z okolicy. Żartowali z tak niewielkiego skutku jego żądania.

— Jeżeli to Najświętsza Panna, drogi mistrzu, — mówiono mu — to uśmiech, gdy słyszała żądanie, wydaje nam się niepochlebnym dla księdza proboszcza.

Kapłan argument ten pobił z zwykłą przytomnością umysłu.

— Uśmiech ten jest na moją korzyść — odpowiedział. — Najświętsza Panna nie jest szyderczą. Jeżeli źle mówiłem, to nie byłaby się uśmiechnęła, byłaby się litowała nad mojemi rozumowaniami. Uśmiechnęła się, a zatem pochwala.

IV.

Zacny pan Jacomet gniewał się na siebie, że nie schwycił oszusta na gorącym uczynku i nie zniszczył sam w zarodku zabobonu. Łamał sobie głowę nad wyszukaniem klucza zagadki, ponieważ zaczął teraz widzieć jasno, że duchowieństwo nie odgrywało żadnej roli w tej sprawie. Miał zatem do czynienia tylko z dziewczynką i jej rodzicami. Nie wątpił też, że tym lub owym sposobem dojdzie do końca.

Kiedy przypadkiem Bernadeta wychodziła na ulicę, zaraz gromadzono się w koło niej; zatrzymywano ją co chwilę, każdy chciał słyszeć szczegóły z jej ust. Kilka osób, między innemi p. Dufo, adwokat, wezwały ją do siebie i wypytywały. — Wiele osób udało się w ciągu dnia do domu Soubirousów, aby usłyszeć opowiadanie Bernadety. Ona z uprzejmością poddawała się tym nieustannym pytaniom.

W jednem kąciku izby, do której wchodzono, kapliczka ozdobiona kwiatami, medalionikami i pobożnemi obrazkami w koło małej figury Najświętszej Panny, przedstawiała jakiś pozór zbytku i świadczyła o pobożności rodziny. Reszta pokoju dawała świadectwo smutnemu niedostatkowi; posłanie, kilka lichych stołków, stół kulawy tworzyły całe umeblowanie tego miejsca, do którego przybywano dowiadywać się o tajemnicach nieba. Większa część odwiedzających czuła się wzruszoną widokiem tego niedostatku, przebijającego się we wszystkiem

i nie mogła oprzeć się pokusie, by nie ofiarować jakiejś pamiątki albo jałmużny tym biednym ludziom. Ale dziecko i rodzice odmawiali zawsze przyjęcia czegośkolwiek i to tak stanowczo, żo nie można było nalegać.

Między tymi odwiedzającymi było też kilku, którzy przybyli do miasta zkądinąd. Jeden z nich przyszedł pewnego wieczora, kiedy nie było już nikogo więcej, jak sąsiadka lub krewna jaka, siedząca przy kominku. Wypytał Bernadetę bardzo szczegółowo, żądając, aby nie pominęła żadnego szczegółu i zdradzając niezwykłe zajęcie się opowiadaniem dziecka. Jego zapał i żywa wiara objawiały się co chwilę okrzykami rozczulenia pełnemi. Winszował Bernadecie, że otrzymała tak wielką łaskę nieba, potem litował się nad niedostatkiem, którego ślady widział w koło siebie.

— Jestem bogaty — rzekł — pozwólcie mi przyjść sobie w pomoc.

Mówiąc to, złożył na stole sakiewkę, którą uchylił, aby ukazać w niej złoto.

Rumieniec oburzenia wystąpił na twarzyczkę Bernadety.

— Nie chcę nic, panie — odezwała się szybko. — Zabierz pan to.

I odsunęła ku nieznajomemu sakiewkę, złożoną na stole.

— To nie dla ciebie, moje dziecko, to dla twoich rodziców, którzy znajdują się w potrzebie i którym chciałem dopomódz.

— Ani Bernadeta, ani my nie chcemy niczego, odezwali się ojciec i matka.

— Jesteście biedni — mówił obcy przybysz dalej, nalegając. — Budzicie we mnie współczucie. Więc z dumy nie chcecie nic przyjąć?

— Nie panie, nie chcemy nic, zupełnie nic. Zabierz pan swoje złoto.

Cudzoziemiec zabrał sakiewkę i wyszedł, nie umiejąc już ukryć niezadowolenia.

Zkąd przybywał ów człowiek i kim był? Czy to był miłosierny dobroczyńca? czy też zręczny kusiciel? Nie wiemy tego. Policya była w Lourdes tak dobrze zorganizowana, że pan Jacomet, szczęśliwszy od nas, wiedział może tajemnicę i lepiej, niż ktokolwiek inny znał słowo zagadki.

Jeżeli zatem przypadkiem, który się nieraz zdarza w sprawach policyjnych, przebiegły komisarz dowiedział się jeszcze tego samego wieczora o szczegółach sceny między Bernadetą a tajemniczą osobistością, musiał sobie powiedzieć, że zasadzki i pokusy były w obec tego nadzwyczajnego dziecka równie daremnemi, jak słodkie słówka i gwałtowne groźby. Węzeł stawał się coraz bardziej zawikłany dla tej osobistości, tak jednakże zręcznej i tak biegłej w sprawach czysto ludzkich. Jeżeli niemożliwość wywołania najmniejszej sprzeczności w opowiadaniu Bernadety zdziwiła go, to czuł się zdumiony jej zupełną bezinteresownością i stałością przy odrzuceniu sakiewki pełnej złota.

Ale pan Jacomet nie był człowiekiem, któryby się cofał przed zawikłanemi przeszkodami, czekał też z ufnością na zdarzenia, nie wątpiąc, że one mu przyniosą tryumf tem świetniejszy, im więcej miał do pokonania przeszkód i przeciwności.

V.

Noc położyła koniec niepokojom tylu umysłów. Jutrzenka miała się ukazać i Bernadeta przybyła już do skał Massabielle, gdzie uklękła pobożnie.

Niezliczone tłumy wyprzedziły ją do groty i cisnęły się koło niej. Jakkolwiek nie brakło tam niedowiarków i ciekawych jedynie, zapanowała uroczysta cisza, skoro tylko się dziecko ukazało. Wszyscy je-

dnomyślnie, niedowiarkowie i wierzący, odkryli głowę. Wiele osób uklękło razem z córką młynarza.

W tej chwili cudowne zjawisko ukazywało się oczom Bernadety, przejętej głębokim zachwytem. Jak zawsze, promienna dziewica stała w owalnem wydrążeniu skały, a stopy jej dotykały gałązki głogu.

Bernadeta wpatrywała się w nią z uczuciem nieokreślonej miłości, duszyczka jej rozpływała się w szczęściu.

— Moja córko — rzekła do niej Dziewica — powierzę ci ostatnią tajemnicę, której, jak tamtych dwóch, nie powiesz nikomu na świecie.

Bernadeta w radości serca słuchała tych słów tak słodkich, tak macierzyńskich i czułych, jak te które przed ośmnastu wiekami zachwycały Dzieciątko Boże.

— A teraz — mówiła Dziewica po chwili milczenia — idź napić się i obmyć u źródła i zjedz trawkę, która rośnie przy niem.

Na wyraz „źródło“ Bernadeta spojrzała w koło siebie. Nie było tam żadnego źródła i żadne tam nigdy nie istniało w tem miejscu. Nie tracąc Dziewicy z oczu, dziecko skierowało się w stronę Gawy, której szumiące wody biegły z hałasem po kamyczkach i odłamkach skał.

Słowo i gest Zjawiska powstrzymały ją.

— Nie tam — mówiła Dziewica: — nie chciałam, abyś piła z Gawy; idź do źródła — ono jest tutaj.

Wyciągając rękę, wskazała dziecku prawą stronę groty, ów suchy kąt, ku któremu dnia poprzedniego kazała jej czołgać się na kolanach.

Jakkolwiek nie widziała w miejscu wskazanem nic, coby mogło mieć związek ze słowami cudownej istoty, Bernadeta usłuchała rozkazu Zjawiska. Sklepienie groty pochyliło się w tem miejscu. Przybywszy tam, nie spostrzegła ani śladu źródła. Tuż pod skałą rosły tu i owdzie kępy trawy.

Na nowy znak Zjawiska, Bernadeta z tą prostą wiarą, która tak się podoba Bogu, schyliła się i drapiąc swemi drobnemi rączkami ziemię, zaczęła ją rozkopywać.

Liczni widzowie, nie słysząc i nie widząc Zjawiska, nie wiedzieli, co myśleć o dziwnem zajęciu dziecka. Kilka osób już zaczęło się uśmiechać, sądząc, iż zaszło jakieś zboczenie umysłowe u biednej pasterki. Jakżeż mało potrzeba, by zachwiać wiarę!

Nagle głąb otworu, zrobionego przez dziecko zaczął się robić wilgny. Przybywając z nieznanych głębin wśród skał i ziemi, tajemnicza woda zaczęła sączyć kropla po kropli pod rękami Bernadety i zapełniać ów otwór, wielkości szklanki, który utworzyła co dopiero.

Ta woda, łącząc się z ziemią, rozrzuconą rękami Bernadety, z początku była tylko błotem. Trzy razy Bernadeta niosła do ust ten płyn błotnisty, ale trzy razy obrzydzenie jej było tak wielkie, że nie miała siły połknąć go. Jednakże przedewszystkiem chciała być posłuszną Zjawisku i za czwartym razem z największym wysiłkiem pokonała wstręt swój. Napiła się, obmyła i zjadła źdźbło trawy, która rosła u stóp skały.

W tej chwili woda źródła przepełniła brzegi małego zbiorowiska, zrobionego przez dziecko i zaczęła płynąć cienkiem strumieniem, jak słomka, w stronę tłumu, który się cisnął do groty.

Kiedy Bernadeta spełniła, jak to widzieliśmy, wszystkie zlecenia, jakie otrzymała, Dziewica zatrzymała na niej spojrzenie, wyrażające zadowolenie i chwilę później zniknęła z jej oczu.

Wzruszenie tłumów na widok tego cudu było wielkie. Skoro tylko skończył się zachwyt Bernadety, rzucono się ku grocie. Każdy chciał własnemi oczami widzieć wyżłobienie, z którego wydobyła się woda pod dłonią dziecka. Każdy chciał w niej za-

nurzyć chusteczkę i zanieść kroplę do ust. W ten sposób źródełko, którego zaczynek pokazano zwolna zamieniało się niebawem w rodzaj kałuży. W miarę, jak czerpano, źródło stawało się coraz obfitszem.

— To woda, która przypadkiem sączy ze skały w czasie słotnym i która również przypadkiem utworzyła pod ziemią wielki zbiornik, odkryty przez dziecko, gdy drapało ziemię, mówili mędrkowie z Lourdes.

I filozofowie zadowolnili się tem wytłomaczeniem.

Nazajutrz źródło wypchnięte nieznaną siłą z tajemniczych głębin i powiększając się w oczach, wystąpiło z ziemi silniejszą smugą. Wszelako praca wewnętrzna, by sobie utworzyć drogę przez ziemię, czyniła je jeszcze błotnistem. Dopiero po upływie kilku dni przestało zwiększać się i stało się całkiem przezroczyste. Wówczas wytrysnęło z ziemi w znacznem promieniu, objętości małej więcej ręki dziecka.

VI.

W dniu 24-go lutego, około godziny siódmej, w chwili właśnie, kiedy źródło, jako pierwsze świadectwo boskie wypływało nieśmiało, lecz trwale pod palcami dziecka, filozofowie z Lourdes zamieszczali nowy artykuł o wypadkach w grocie w miejscowym dzienniku liberalnym.

„Lavedan," o którym już wspomnieliśmy, wychodził z pod prasy i rozchodził się po mieście w tej samej chwili, kiedy olśnione tłumy powracały od skał Massabielle.

W owym artykule nie było wcale mowy o tem, aby jakieś źródło istniało w grocie. W ten sposób niedowiarstwo paraliżowało naprzód zuchwałe twierdzenie, na którem po pewnym czasie mogłyby się oprzeć wolne umysły, mówiąc, że źródło istniało zawsze. Opatrzność chciała, aby po za świadectwem

publicznem można im było przeciwstawić własne ich artykuły, własne ich wywody drukowane, opatrzone data, autentyczne, niezbite. Jeżeli przed 25 lutym, przed sceną, którą opowiedzieliśmy co dopiero, przed rozkazem i wskazówką, udzieloną Bernadecie przez Dziewicę, były tam owe piękne wody, które istnieją dzisiaj, dla czegoż wasze pisma, których oczy tak szeroko były otwarte, których szczegóły tak nieraz były drobnostkowe, nie dostrzegły owego źródła potężnego i nie wspomniały o niem nigdy? Wzywamy „wolne umysły," aby przedłożyły choćby jeden jedyny dokument, któryby wspomniał o źródle, a nawet tylko o wodzie przed czasem, w którym Dziewica rozkazała a przyroda usłuchała.

VII.

Wzruszenie ogółu przybrało wielkie rozmiary. Podnoszono okrzyki na cześć Bernadety, gdy przechodziła ulicą i biedne dziecko wracało czemprędzej do domu, aby uniknąć owacyi. Ta pokorna dusza, która do owego czasu żyła nieznana, w zaciszu i samotności, znalazła się nagle wśród tłumów i wrzawy, na jakiemś wywyższeniu. Ta sława, której poszukuje tylu innych, była dla niej straszliwą męczarnią. Powtarzano najdrobniejsze jej słowo, podziwiano, rzucano na pastwę sporów ludzkich.

Jak to opowiedzieliśmy wyżej, źródło ukazało się około wschodu słońca w obecności ogromnego tłumu ludzi. Było to 25 lutego, w czwartek trzeci miesiąca w dniu wielkiego targu w Tarbes. Wiadomość o cudownem zdarzeniu rozniosły tłumy świadków naocznych i tego samego wieczora wiedziano o niem w całym departamencie i w najbliższych miejscowościach sąsiednich powiatów. Nadzwyczajne poruszenie, które od tygodnia ściągało do Lourdes tylu pątników i ciekawych, wzrosło od owej chwili w sposób niesłychany.

Wielka liczba osób przybywała na noc do Lourdes, aby się znaleźć rano u skały, inne szły przez noc całą i o brzasku dnia, kiedy Bernadeta zwykła była przychodzić, pięć do sześciu tysięcy osób zalegało brzegi Gawy naprzeciwko groty. Źródło obfitsze, niż dnia poprzedniego, było już znacznem.

Kiedy dziewczynka pokorna, spokojna i skromna wśród tego poruszenia przybyła modlić się, tłumy zawołały: „Oto święta! oto święta!“ Kilka osób starało się dotknąć jej sukni, uważając niejako za święty każdy przedmiot, należący do tej uprzywilejowanej przez Pana istoty.

Matka pokornych i maluczkich nie chciała jednakże, aby to serce niewinne uległo pokusie próżnej chwały i aby Bernadeta mogła stać się dumną z szczególnych łask, jakich doznawała. Potrzeba by dziecko czuło, iż jest niczem i przekonało się, jak jest bezsilne, kiedy samo z siebie wzywa niebiańskiego zjawiska. Modliła się napróżno i kiedy po długiej modlitwie wstała z miejsca, odpowiedziała na zadawane jej pytania ze smutkiem, że Zjawisko nie ukazało się wcale.

VIII.

Myśl, że źródło w grocie mogło uzdrawiać chorych, zajęła głowy wielu osób. Tego samego dnia też zaczęła się rozchodzić pogłoska o kilku cudownych uzdrowieniach. W Lourdes wrzało, jak w mrowisku.

W mieście żył jeszcze biedny robotnik, znany wszystkim, który od długich lat nędzne wiódł życie. Nazywał się Ludwik Bouriette. Kilkanaście lat przedtem dotknęło go wielkie nieszczęście. Kiedy wraz z bratem swoim Józefem pracował w pobliżu Lourdes, rozsadzając kamienie, wybuchnęła obok nich mina, którą źle podłożono. Ludwik, o którym mó-

wimy, miał twarz poszarpaną odłamkami skały a prawe oko na wpół zmiażdżone. Ocalono go z największym trudem. Straszliwe cierpienia, które nastąpiły po tym przypadku, były tak wielkie, że wywiązała się tak silna gorączka, iż w pierwszych dniach musiano go gwałtem trzymać w łóżku. Zwolna jednakże, dzięki troskliwym staraniom, powrócił do zdrowia. Jednakże sztuka lekarska, mimo najzręczniejszych operacyi, nie zdołała uleczyć prawego oka. Człowiek ten powrócił do swej pracy jako kamieniarz, ale mógł tylko wykonywać grubsze roboty, ponieważ zranionem okiem widział przedmioty tylko jakby za mgłą.

Czas nie przyniósł żadnej ulgi; przeciwnie, wzrok Bourietta pogarszał się z każdym rokiem. To stopniowe osłabienie stało się dotkliwszem w ostatnim czasie i w chwili, do której doszliśmy w opowiadaniu, słabość tak się wzmogła, że prawe oko było prawie stracone. Kiedy zamknął lewe oko, nie mógł już rozróżnić człowieka od drzewa.

Większa część mieszkańców dawała Bouriettowi jakieśkolwiek zajęcie. Stan jego wzbudzał litość i lubiono go bardzo w cechu kamieniarzy, bardzo licznych w tej okolicy.

Kiedy nieszczęśliwy usłyszał o cudownem źródełku w grocie, zawołał do siebie córkę.

— Idź mi po tę wodę, — rzekł do niej. — Jeżeli to Najświętsza Panna, to mię uzdrowi, skoro zechce.

W pół godziny później dziecko przyniosło nieco wody, jeszcze trochę mętnej i błotnistej, jak to zaznaczyliśmy wyżej.

— Ojcze, — odezwało się dziecko, — to tylko taka mętna woda.

— Nic nie szkodzi! — odpowiedział ojciec i zaczął się modlić.

Przemył tą wodą chore oko, które uważał za stracone kilka chwil przedtem.

Niemal równocześnie wydał okrzyk i zaczął drżeć cały, tak wielkiem było jego wzruszenie. Cud nagły dokonał się w jego oczach. Już w koło niego powietrze stawało się przezroczystem i skąpanem w świetle. Jednakże przedmioty wydawały mu się jeszcze jakby powleczone lekką gazą, która mu nie pozwalała widzieć dokładnie szczegółów.

Bouriette modlił się dalej i nie przestawał przemywać prawego oka dobroczynną wodą. Dzień stawał się coraz jaśniejszy w oczach, które rozróżniały przedmioty wyraźnie.

Nazajutrz czy też następnego po nim dnia spotyka na ulicy w Lourdes doktora Dozous, który nie przestawał go leczyć od początku choroby. Biegnie do niego, wołając:

— Jestem uleczony!

— Niepodobna! — odpowiada lekarz. — Macie uszkodzenie organiczne i dla tego uzdrowienie oka jest niemożliwe. Lekarstwa moje mogą tylko łagodzić ból, ale nie przywrócą wam wzroku nigdy.

— To nie pan doktór mię uleczyłeś — odpowiada kamieniarz wzruszony — lecz Najświętsza Panna z groty.

Lekarz wzrusza ramionami.

— Że Bernadeta miewa niewytłomaczone zachwyty, to jest rzeczą pewną, gdyż badałem to z niestrudzoną uwagą. Ale aby woda, wypływająca z groty, nie wiadomo z jakiej przyczyny, uzdrawiała nagle nieuleczalne cierpienia, to jest rzeczą niemożliwą.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni książeczkę z zapiskami i nakreślił w niej słów kilka ołówkiem.

Następnie jedną ręką przykrywszy lewe oko Bourietta, tj. oko zdrowe, którem tenże mógł jeszcze widzieć, przedłożył prawemu oku, o którem wiedział, że jest całkiem wzroku pozbawione, zdanie, które nakreślił co dopiero.

— Jeżeli zdołacie przeczytać to tutaj, uwierzę wam — rzekł tryumfująco znakomity lekarz, który był pewnym swej głębokiej nauki i wielkiego doświadczenia medycznego.

Ludzie przechodzący tamtędy skupili się w koło nich.

Bouriette spojrzał wzrokiem dotąd martwem już okiem na papier i przeczytał natychmiast głośno i bez najmniejszego wahania:

„Bouriette ma chorobę nieuleczalną i nie wyzdrowieje nigdy.“

Grom spadający u stóp uczonego lekarza, nie byłby go przeraził więcej, jak głos Bouriette, czytającego spokojnie, bez wysiłku jedyną linią drobnego pisma, nakreśloną lekko ołówkiem na karcie notesu.

Pan doktor Dezous był czemś więcej, niż mężem nauki, był mężem sumienia. Uznał otwarcie i bez wahania w tem nagłem uzdrowieniu nieuleczalnej choroby działanie wyższej potęgi.

— Nie mogę temu zaprzeczyć — rzekł — to jest cud, cud prawdziwy, nie ubliżając mnie samemu i moim kolegom. To mię zdumiewa, ale trzeba się poddać prawu faktu tak widocznego i stojącego po za wszystkiem, do czego zdolna biedna wiedza ludzka.

Dr. Vergez z Tarbes, profesor fakultetu z Montpellier, lekarz kąpielowy w Barèges, powołany do wydania sądu o tem zdarzeniu, nie mógł powstrzymać się od stwierdzenia w nim w sposób najbardziej stanowczy charakteru nadrzyrodzonego.

Wspomnieliśmy, że stan Bouriette był smutny od lat dwudziestu i biedaka tego znali wszyscy. Cudowne uzdrowienie zresztą nie usunęło ani śladów, ani blizn, tak że każdy mógł przekonać się o cudzie, jaki się dokonał. Kamieniarz upojony szczęściem, opowiadał szczegóły każdemu, kto go chciał słuchać.

Nie on sam zresztą złożył świadectwo niespodziewanego szczęścia; zdarzenia podobne zaszły w innych

jeszcze domach w mieście. Kilka osób opuściło nagle łoże boleści, do którego przykuwała je niemoc nieuleczalna i przypisywało swoje uzdrowienie cudownej wodzie z groty.

Ręka Joanny Crassus, sparaliżowana od lat dziesięciu, odzyskała zupełną władzę w cudownej wodzie.

Dokładności faktów ustępowały niejasne szepty pierwszej chwili. Zapał ludności był nadzwyczajny i objawiał się w kościele przez gorące modlitwy, przez hymny dziękczynne przy grocie, wznoszące się z piersi uradowanych pątników.

Ku wieczorowi znaczna liczba robotników z stowarzyszenia kamieniarzy, do których należał Bouriette, udała się do skał Massabielle i wykuła w twardej skale ścieżkę dla odwiedzających grotę. Przed otworem, z którego płynęło źródło już bardzo znaczne, umieścili oni ściek drewniany, poniżej niego zaś wykopali zbiornik podłużny, mający około pół metra głębokości.

Zapał wzrastał z każdą chwilą. Tłumy roiły się na drodze do cudownego źródła. Po zachodzie słońca, kiedy na ziemię spadały pierwsze cienie nocy, grota zajaśniała nagle tysiącami świateł. Biedni, bogaci, dzieci, kobiety, mężczyzni, jednomyślnie przynosili świece lub gromnice. Przez noc całą można było widzieć z drugiego brzegu Gawy łagodne światło tysiąca owych małych pochodni, migające w różnych miejscach i odpowiadające na ziemi światłu gwiazd, posianych po niebie.

Wśród tych ludzi nie było ani księży, ani jakichkolwiek kierowników, a jednak bez żadnego znaku w chwili, w której zajaśniała grota światełkami, odbijającemi się drżąco w małym zbiorniku źródła, wszystkie głosy odzywały się równocześnie, łącząc się we wspólnej pieśni. Litanie do Najświętszej Panny przerywały ciszę wieczorną, aby wielbić

Matkę przedziwną i napełnić niewysłowioną radością serca chrześcian.

X.

Była to godzina, w której odpoczynek wieczorny zgromadził w klubie i kawiarniach nieprzyjaciół „zabobonu.“ Zamieszanie zapanowało wielkie.

— Nie było tam nigdy źródła w tem miejscu, — zawołał ktoś odważniejszy. — To kałuża, utworzona nie wiadomo jakim sposobem i odkryta przypadkiem, kiedy Bernadeta rozgrzebywała ziemię. Nic naturalniejszego.

— Jednakże — zauważył ktoś — mówią, że woda płynie.

— To nieprawda, — odezwało się kilka głosów razem. Byliśmy tam, to po prostu kałuża.

Te oświadczenia wystarczyły i przyjęto je za oświadczenia urzędowe, pewne, niezaprzeczone.

Tak samo jak istnieniu źródła, zaprzeczano także cudownym uzdrowieniom; zbywano wiadomość o nich wzruszaniem ramion i głośnym śmiechem.

— Bouriette nie jest wcale wyleczony — mówił jeden.

— Nigdy nie był chory — twierdził inny.

— Wydaje mu się, że wyzdrowiał, przyśniło mu się, że widzi — podsuwał trzeci.

— Wyobraźnia wywiera nieraz wpływ zadziwiający na nerwy — odezwał się niedowiarek.

— Bouriette nie istnieje wcale — wołał nowy przybysz.

Dziwiono się, że ludzie poważni i uczeni, jak p. Dufo, adwokat, jak dr. Dozous, jak p. Estrade, jak dowódzca załogi, jak pozasłużbowy intendent wojskowy, pan Lafitte, mogli być tyle słabymi, by pozwolić się otumanić tem, co się działo.

W ciągu tego dnia, tak pełnego wypadków, Bernadeta została zawezwana przed trybunał, lecz

cała wymowa prokuratora cesarskiego nie zdołała tak samo zachwiać jej, jak nie zdołał uczynić tego policyjny geniusz pana Jacometa.

Przeciwnicy „zabobonu“ nagli mera z Lourdes, aby swoim rozporządzeniem zabrali wszystkiego przystępu do skał Massabielle, które tworzyły część posiadłości gminy. Pan Lacadé burmistrz miasta, który był uczciwym i powszechnego szacunku zażywającym człowiekiem, nie mógł wydać takiego rozporządzenia.

W grocie tymczasem, pomimo ogromnego napływu ludzi, wszystko odbywało się w największym porządku. Czerpano ze źródła, śpiewano pieśni pobożne, modlono się.

Minęło kilka dni, w czasie których zjawisko ukazywało się bez nowych szczegółów, źródło powiększało się ciągle i mnożyły się cudowne uzdrowienia.

CZWARTA KSIĘGA.

I.

Dnia 2 marca Bernadeta udała się znowu do proboszcza w Lourdes i po raz drugi przemówiła do niego w imieniu Zjawiska.

— Pani żąda, aby wybudowano kaplicę i odprawiano procesyo do groty — rzekło dziecko.

Fakta były jawne, źródło wytrysnęło, uzdrowienia cudowne świadczyły o prawdomówności Bernadety. Kapłan nie mógł już domagać się dowodów, nie żądał ich też więcej. Wątpliwość nie mąciła jego wiary.

Niewidzialna „Pani“ z groty nie powiedziała swego imienia. Ale sługa Boży rozpoznał ją już po jej macierzyńskich dobrodziejstwach i może już dodawał do swej litanii: „Najświętsza Panno z Lourdes, módl się za nami!“

Jednakże pomimo zapału, ożywiającego jego serce na widok tych wielkich rzeczy, umiał z rzadką przezornością powstrzymać przedwczesne wyrażenie głębokich i słodkich uczuć na myśl, że Królowa Niebios zstąpiła między skromne jego owieczki.

— Wierzę ci, — rzekł do Bernadety, kiedy przybyła do niego znowu. — Ale to, czego żądasz w imieniu Zjawiska, nie zależy odemnie. To zależy od X. Biskupa, którego już zawiadomiłem o tem, co się dzieje. Pójdę do niego i opowiem mu o tem nowem żądaniu. On sam może coś zdziałać.

II.

X. Biskup z Tarbes był dzieckiem dyecezyi; urodził się w niej, wychował i wzrósł tam także. Wyniesiony swemi zasługami osobistemi do najwyższych urzędów kościelnych, był on kolejno przełożonym seminaryum i jeneralnym wikaryuszem.

Prawie wszyscy kapłani dyecezyi byli jego wychowańcami. Był ich mistrzem, zanim został ich Biskupem i kierował nimi od lat blisko czterdziestu. Obdarzony rzadkim zmysłem spostrzegawczym, Biskup Wawrzyniec znał ludzi i w wysokim stopniu posiadał sztukę kierowania nimi. Znakomity administrator, miłujący karność i porządek, łączył w swej osobie prostotę apostoła, przezorność dyplomaty obok serca przepełnionego miłością bliźnich.

X. proboszcz Peyramal przedstawił Biskupowi nadzwyczajne zdarzenia w grocie, opowiedział o zachwytach i widzeniach Bernadety, o słowach Zjawiska, o wytryskaniu źródła, o nagłych uzdrowieniach i ogólnem poruszeniu.

Opowiadanie jego bardzo ożywione, bardzo malownicze zapewne, musiało uderzyć czcigodnego Biskupa, lecz nie wzbudziło natychmiastowego przekonania. Nie orzekł on też swego zdania. Jako Biskup, potrzebował on świadectw i dokumentów najwiarygodniejszych, a dowody z drugiej ręki nie wydały mu się wystarczającemi.

— Nie nadeszła jeszcze chwila, by władza biskupia zajęła się tą sprawą — powiedział. — Aby wydać sąd, jakiego oczekują od nas, należy postępować z roztropną powolnością, nie opierać się na zapale pierwszych dni, zostawić czas do namysłu i śledzić sprawę z uwagą i roztropnością.

Zadecydował atoli, aby mu osoby, będące naocznymi świadkami, a znane z wypróbowanej rzetelności, zdawały codziennie sprawę z tego, co się dzieje

w skałach Massabielle i donosiły o wszelkich uzdrowieniach rzekomych, czy prawdziwych, jakie mogły nastąpić.

III.

Tymczasem władza cywilna była wielce zaniepokojoną wobec tego, co się działo w Lourdes. Pan Massy, prefekt z Tarbes, informowany o zajściach w Lourdes przez sprawozdania znanego nam Jacometa, nie naśladował przezornego umiarkowania Biskupa i postanowił stłumić w zarodku „zabobon,“ który groził dalszem szerzeniem się.

Nie czekając na orzeczenie powagi duchownej, jako jedynie kompetentnej, uznał on za stósowne sam ująć w rękę śledztwo w tej sprawie niezwykłej. Rozpoczął od tego, że nakazał pilnować grotę potajemnie we dnie i w nocy.

W dniu 3 marca, stósownie do rozkazu, nadesłanego z prefektury, burmistrz Lourdes, pan Lacadé, napisał do dowódzcy fortecy, aby miał w pogotowiu załogę do jego dyspozycyi. Żołnierze uzbrojeni mieli zająć drogę i wstęp do groty. Podobny rozkaz otrzymała żandarmerya miejscowa i wszyscy oficerowie policyi.

Pomimo nieprzychylnego stanowiska, jakie zajął świat urzędowy, sława cudownych wypadków rozeszła się po całej okolicy z błyskawiczną szybkością. Wszystkie drogi departamentu roiły się od podróżnych. Noc nawet nie powstrzymywała tego ruchu. Spędzano noce na modlitwie przy oświetlonej grocie. Malarz, jak Rafael lub Michał Anioł, byłby znalazł tam przedmiot do wspaniałego obrazu.

Wiara, modlitwa, ciekawość, niedowiarstwo malowały się na tych twarzach. Wszystkie klasy, wszystkie zapatrywania i uczucia były reprezentowane w tym olbrzymim tłumie. Był tam prosty chrześcianin pierwszych czasów, który wie, że u Boga nie jest nic

niepodobnem. Był tam obrześciaan d[illegible] zwątpieniem i przychodzący szukać n[illegible] tych skał dzikich [illegible] swej w[illegible]. Widziałeś tam kobietę wierzącą, proszącą Bożej Rodzicielki o uzdrowienie ukochanego chorego, lub nawrócenie jakiej drugiej serca [illegible]. Nie brakło tam także niedowiarka, mającego oczy, by nie widzieć, i uszy, by nie słyszeć. Był tam i lekkodenh, zapominający o swej duszy, żądny jakiegoś cudawego widowiska.

W koło tego tłumu i na drodze krążyli policyanci i żandarmi w jakimś niepokoju. Na małem wywyższeniu stał pan Jacomet i prokurator cesarski. Głośny szmer, składający się z tysiąca różnych głosów, słów, rozmów, modlitw unosił się z pośród tego tłumu i był podobny do szumu fali.

Wtem odzywa się okrzyk: „Oto święta! oto święta!“ Wszystkie serca, najobojętniejsze nawet, uderzają w tej chwili silniej, wszystkie głowy odwracają się, wszystkie oczy zwracają się w jedną stronę i wszystkie czoła odkrywają się mimowolnie.

Bernadeta ukazała się w towarzystwie swej matki na ścieżce, którą wykuło bractwo kamieniarzy w dniach poprzednich. Nadbiegli żandarmi i roztrącając tłumy przed Bernadetą, tworzyli eskortę dla dziecka i torowali drogę do groty.

Zwolna szmer się uspokoił i zapanowało głębokie milczenie. Kiedy Bernadeta uklękła, wszyscy padli na kolana równocześnie.

Niebawem zachwyt rozpromienił rysy dziecka. Zjawisko, jak dni poprzednich, kazało dziecku pić i umyć się w źródle, następnie udać się znowu do kapłanów i powiedzieć im, iż żąda kaplicy i procesyi do tego miejsca.

Dziewczynka prosiła, aby Zjawisko powiedziało jej swoje imię. Ale promienna „Pani“ nie odpowiedziała na to pytanie. Chwila jeszcze nie nadeszła. Imię to miało najprzód zapisać się na ziemi i wyryć w sercach niezliczonemi łaskami.

IV.

Jakkolwiek tłum był ogromny, zwłaszcza rano w chwili przybycia Bernadety, to jednakże nie należy sądzić, iż w ciągu dnia szeregi Masabielle były ozaludnione. Przez całe popołudnie rzadki nie utrwał na drodze do groty. W owym dniu było jeszcze pięć do sześciu set osób nad brzegami Gavy.

W tej samej chwili odbywała się rozdzierająca scena przy kolysce chorego dziecka w biednym domku w Lourdes, gdzie mieszkała rodzina wyrobnika.

W kolysce spoczywało dziecko przeszło rok mające, chore, osłabione, które dotąd nie chodziło jeszcze z powodu gruźlicy trawiącej, której żaden środek nie zdołał usunąć. Mimo troskliwych starań lekarza, dziecko umierało. Już śmierć rozpościerała swe cienie na twarzyczce wyniszczonej długiem cierpieniem.

Ojciec spokojny w swym bólu, matka w rozpaczy patrzała na jego konanie.

Sąsiadka ich, Franciszka Gozos, już przygotowywała całun do spowicia zwłok, udzielając równocześnie zbolałej matce słów pociechy.

Oko dziecka stawało się już szklanem, członki spoczywały nieruchomo, oddech był coraz słabszym.

— Umarł? — odezwał się ojciec.

— Jeśli nie umarł, — rzekła sąsiadka — to zaraz umrze. Idźcie do komina, a ja ciało przykryję.

Matka zdawała się nie słyszeć tych słów. Wtem jakaś myśl natchnęła jej duszę i łzy zatrzymały się.

— Nie umarł! — zawołała — i Najświętsza Panna z groty mi go uleczy!

— Traci rozum z rozpaczy! — zauważył mąż posępnie.

Naprożno sąsiadka i mąż starali się odwieść ją

od tego zamiaru. Wyjęła z kołyski sztywne już prawie ciałko i owinęła w swój fartuch.

— Biegnę do Najświętszej Dziewicy! — zawołała, zwracając się ku drzwiom.

— Ależ, moja droga — mówili jej mąż i Franciszka — jeżeli nasz Justynek jeszcze nie umarł zupełnie, to ty go dobijesz.

Matka nie chciała nic słuchać.

— Czy umrze tutaj, czy też umrze w grocie, to wszystko jedno. Pozwólcie mi prosić Najświętszą Pannę.

Wyszła, zabierając dziecko. Biegła szybko, modląc się głośno, wzywając Maryi i w przechodniach budząc przekonanie, że jest szaloną.

Była blizko piąta godzina. Kilkaset osób otaczało skały Massabielle. Biedna matka przecisnęła się przez tłum z swym drogim ciężarem. Zimno było mroźne.

— Co ona robi? — pytano się.

Kobieta wyjmuje z fartucha nagie ciałko konającego dziecka, robi znak Krzyża św.

Następnie bez wahania, ruchem szybkim i stanowczym zanurza całe dziecko z wyjątkiem główki w lodowatą wodę źródła.

Okrzyk zgrozy, szmer oburzenia podnosi się wśród tłumu.

— Ta kobieta jest szaloną! — wołają ze wszech stron i wszyscy cisną się do niej, by ją powstrzymać od dalszego zanurzania.

— Chcecie zabić swoje dziecko, kobieto? — odzywa się ktoś ostro.

Zdawało się, że była głuchą. Była martwą, jak posąg boleści, modlitwy i wiary.

Jeden z obecnych dotknął jej ramienia. Odwróciła się, trzymając dziecko ciągle we wodzie basenu.

— Zostawcie mię! — rzekła głosem stanowczym

i błagalnym zarazem. Uczynię, co będę mogła, a litościwy Bóg i Najsłodsza Panienka dokonają reszty.

Kilka osób zauważyło zupełną nieruchomość dziecka i trupią jego twarzyczkę.

— Dziecko już nie żyje — mówiono. — Boleść matce odejmuje zmysły.

Nie! boleść jej nie pozbawiła zmysłów! Wspaniały to obraz wiary katolickiej!

Ta kobieta rzuca swego syna w niebezpieczeństwo, aby w niem w imię Najświętszej Panny szukać dla niego uzdrowienia z nieba.

Wobec takiego aktu wiary, tak prostego i wielkiego, serce Boże nie mogło się nie wzruszyć.

W czasie tej długiej kąpieli dziecko zachowało nieruchomość trupa. Matka zawinęła je znowu we fartuch i biegła do domu.

Ciałko było lodowate.

— Widzisz, że nie żyje — rzekł ojciec.

— Nie, nie umarł! Matka Boska go uzdrowi!

Biedna kobieta złożyła dziecko do kołyski. Przez kilka chwil baczne ucho matki pochylonej nad kołyską śledziło oddech dziecka.

— Oddycha! — zawołała.

Mąż słuchał także. Młody Justynek w istocie oddychał. Oczki miał zamknięte i spał snem głębokim i spokojnym.

Przez cały wieczór i w nocy matka co chwilę przychodziła słuchać oddechu, który stawał się coraz regularniejszym i z trwogą oczekiwała obudzenia się dziecka. Nastąpiło ono z brzaskiem dnia.

Ciało było jakby wyschłe, ale cera zabarwiła się rumieńcem i w oczach uśmiechniętych, zwróconych ku matce, błyszczały promienie życia.

Dziecko zapragnęło piersi matczynej i piło długo. Chłopiec, który nie chodził jeszcze, chciał wstać i przechadzać się po izbie. Ale matka, tak odważna i pełna wiary dnia poprzedniego, nie śmiała

uwierzyć w zupełne wyzdrowienie i drżała na myśl o minionem niebezpieczeństwie. Odmówiła prośbom dziecka i nie chciała go wyjąć z łóżeczka.

Tak minął dzień cały. Co chwilę dziecko żądało pokarmu. Noc była równie spokojną, jak poprzednia. Ojciec i matka wyszli o świcie do pracy, a ich mały Justynek spał jeszcze w kołysce.

Kiedy matka powróciwszy, drzwi otworzyła, ujrzała widok, który ją przeraził. Kołyska była próżna. Dziecko wstało samo z łóżeczka i chodziło o własnej mocy po izbie, odsuwając krzesła i dotykając sprzętów.

Mały paralityk chodził!

Jaki okrzyk wydała kobieta, zrozumieją to tylko serca matek. Chciała ruszyć się z miejsca, ale nie mogła, nogi drżały pod nią i bezsilna oparła się o drzwi.

— Był uzdrowiony wczoraj — myślała — skoro chciał wstać i chodzić, a ja, jak bezbożnik jaki, w braku wiary, nie pozwoliłam na to!

— Widzisz, że nie umarł i że Najświętsza Panna nam go uzdrowiła! — rzekła do męża, gdy wrócił do domu.

Franciszka Gozos, która już przygotowywała śmiertelny całun dla małego Justynka, nie chciała wierzyć swoim oczom.

— Toż to on! — zawołała. — To on, biedny Justynek!

Wszyscy padli na kolana, matka złożyła rączki dziecka i wszyscy składali wspólne dzięki Matce miłosierdzia.

Choroba nie powróciła. Justyn wzrastał i nie popadł w nią więcej. Minęło już przeszło dziesięć lat. Jest zdrów i silny.

Pan Peyrus, lekarz, który leczył dziecko, przyznał z całą szczerością, iż medycyna nie jest zdolną wytłomaczyć nadzwyczajnego tego wypadku. Dr. Ver-

gez i Dozous badali fakt każdy z osobna i również nie znaleźli nic innego, prócz cudu Boga Wszechmocnego. Cudowne uzdrowienia mnożyły się z dniem każdym. Bóg dokonywał swego dzieła. Najświętsza Panna objawiała swoją potęgę.

IV.

Od ostatniego dnia owych dwóch tygodni Bernadeta powróciła kilka razy do groty, ale mniej więcej jak wszyscy inni, tj. nie słysząc wewnętrznego głosu, który ją powoływał bez oporu.

Głos ten usłyszała znowu 25 marca rano i natychmiast pospieszyła do skał Massabielle. Twarz jej promieniała nadzieją, czuła, że zobaczy znowu Zjawisko i że przed jej zachwyconemi oczami raj otworzy na chwilę swe wrota.

Jak to łatwo zrozumieć, stała się ona w mieście Lourdes przedmiotem ogólnej uwagi i nie mogła zrobić jednego kroku, by nie ściągnąć na siebie wszystkich spojrzeń.

— Bernadeta idzie do groty! — wołano, widząc ją przechodzącą.

Za chwilę zebrał się tłum, podążając w tę samą stronę i przybył na miejsce równocześnie z dzieckiem.

Radosne przeczucie, jakiego doznała Bernadeta, nie omyliło jej: głos, który ją powołał, był głosem Dziewicy.

Skoro dziecko upadło na kolana, Zjawisko się ukazało. Jak zawsze, błyszczała aureola świetlana, zasłona i szata była lśniącej białości.

Bernadeta zachwycona zapomniała o ziemi wobec tej piękności bez skazy.

— O, Pani moja! — rzekła — zechciej mi powiedzieć, kim jesteś i jakie Twoje imię?

Królewskie Zjawisko uśmiechnęło się i nie odpowiedziało nic. Bernadeta po trzykroć ponawiała swoję prośbę.

Na ostatnie pytanie dziecka Zjawisko rozpostarło ręce, pochylając się ku ziemi, a następnie złożywszy ręce, spojrzało z wyrazem niewysłowione wdzięczności ku niebu i rzekło:

— *Jestem Niepokalanem Poczęciem!*

Wymówiwszy te słowa, „Pani“ zniknęła i dziecko znalazło się, jak reszta tłumu, wobec próżnej skały.

Matka Pana naszego nie powiedziała: Jestem niepokalanie poczęta, lecz rzekła: „Jestem Niepokalanem Poczęciem!“ Rzecz biała może nią przestać być, ale białość jest zawsze białą. Jest to jej treścią samą a nie właściwością.

KSIĘGA PIĄTA.

I.

Kwestya, która przeszła od Jacometa do prefekta, posuwała się dalej i doszła do ministra.

W dniu 12 i 16 marca prefekt zdał raport Jego Ekscelencyi. Dawniejszy prokurator jeneralny, a obecnie minister oświaty publicznej, pan Rouland, zachował tradycyjny formalizm dawnych parlamentaryuszy. Przekonany o swej ważności, fanatycznie zaślepiony w swojej mądrości, gniewający się na wszystko, co nie wchodziło w obręb jego pojęć systematycznych, pan Rouland ani na chwilę nie przypuszczał prawdziwości widzeń i cudów w Lourdes. Zdaleka od miejsca wypadku, bez innych dokumentów jak dwa listy prefekta, rozstrzygnął kwestyą krótko. Napisał do pana Massy pod dniem 12 kwietnia list następujący:

„Szanowny Panie Prefekcie! Zbadałem obydwa raporty, które mi Pan przesłałeś 12 i 16 marca o rzekomem zjawieniu się Dziewicy w grocie blisko miasta Lourdes.

Trzeba, zdaniem mojem, położyć koniec zajściom, któreby ostatecznie skończyły się szkodą prawdziwych interesów katolicyzmu i osłabieniem poczucia religijnego w ludności.

Wedle prawa nie wolno nikomu urządzać miejsca publicznego nabożeństwa bez podwójnego upowa-

żnienia władzy świeckiej i władzy duchownej. Ściśle rzecz biorąc, miałoby się prawo zamknąć natychmiast grotę, którą zamieniono w rodzaj kaplicy.

Ale prawdopodobnie zachodziłyby trudności, gdyby się chciało nagle korzystać z tego prawa. Wystarczy ograniczyć się na powstrzymaniu dziewczynki, miewającej widzenia, od uczęszczania do groty i przedsięwziąć środki, któreby nieznacznie odwróciły uwagę publiczną, czyniąc codzienne wizyty coraz rzadszemi. Nie mogę, panie prefekcie, dać w tej chwili jaśniejszych wskazówek; jest to przedewszystkiem rzeczą taktu, przezorności i stanowczości, a pod tym względem życzenia moje były zbyteczne.

Konieczną jest rzeczą, abyś się pan porozumiał z duchowieństwem; ale polecam panu przedewszystkiem rozmówić się w tej sprawie delikatnej bezpośrednio z X. Biskupem z Tarbes i upoważniam pana, abyś mu powiedział w mojem imieniu, że jestem tego zdania, iżby nie zostawiać wolnego biegu rzeczom, któreby nie omieszkały posłużyć za pozór do nowych zaczepek przeciwko duchowieństwu i religii.“

Otrzymawszy list ten, pan Massy zwrócił się do Biskupa, prosząc, aby zakazał Bernadecie wszelkiego chodzenia do groty. Wysunął naturalnie naprzód interes religii, której uwłaczają takie złudzenia lub udawanie i opłakane skutki, jakie wywierają podobne rzeczy na wszystkie umysły poważne, które w dobrej wierze starają się pogodzić katolicyzm z zdrową filozofią i nowoczesnemi ideami.

Prefekt był zręczny, ale Biskup rozumny i rozróżnił jasno dwie rzeczy. Pierwszą było to, że władza była bardzo zadowolona, wysuwając naprzód duchowieństwo, któremu dyktowała swoje uchwały. X. Biskup zbyt wielkie miał poczucie swoich obowiązków biskupich, aby stawać się narzędziem.

Po drugie, minister i prefekt z pewnością mieli ochotę użyć gwałtu, a X. Biskup zbyt był przezor-

nym, by nie uczynić wszystkiego w celu zapobieżenia podobnemu nieszczęściu.

Z jednej strony zatem należało oprzeć się stanowczo naciskowi ze strony władzy świeckiej, z drugiej zaś nie drażnić jej, odrzucić jej nieuprawnione wymagania, lecz równocześnie utrzymać harmonię. Między temi trudnościami X. Biskup Wawrzyniec umiał utrzymać rozumną miarę.

Zakazać Bernadecie formalnie chodzenia do groty, skoro ją powoływał głos jakiś z góry, znaczyłoby to naruszać wolność najświętszą duszy, ale Biskup uznał za odpowiednie nakazać proboszczowi z Lourdes, iżby swoją radą zachęcił Bernadetę do tego, by po za chwilami nieprzepartej owej dążności nie uczęszczała wcale do groty.

II.

Nadeszły święta wielkanocne. Mimo pobożnych obaw pana ministra wyznań, cuda dokonywające się w Lourdes, wcale nie „osłabiły poczucia religijnego w ludności.“ Nastąpiło mnóstwo nawróceń, konfesyonały były oblężone. Lichwiarze i złodzieje powracali szkody, ustało wiele zgorszeń. Wierni cisnęli się do Stołu Pańskiego.

W środę po Wielkanocy, dnia 7 kwietnia, nazajutrz po wizycie prefekta u Jego Biskupiej Mości, córeczka młynarza znów usłyszała głos wewnętrzny i otoczona niebawem olbrzymim tłumem, udała się do groty, gdzie, jak przedtem, ujrzała Dziewicę w chwale.

Tego dnia w oczach olśnionej rzeszy zdarzył się szczególny wypadek.

Świeca, którą Bernadeta przyniosła, lub którą jej podano, była bardzo wysoka. Oparła ją o ziemię, trzymając ją ku górze w złożonych rękach. Dziewica objawiła się. Dziewczynka w zachwycie przed

niepokalaną pięknością podniosła nieco ręce i oparła je na wierzchu świecy. Płomień zaczął przechodzić między jej palcami rozwartemi lekko, chwiejąc się za najmniejszym podmuchem wiatru. Bernadeta atoli pozostała nieruchomą i zapatrzoną w niebiańskie widzenie, nie spostrzegając wcale zdumienia tłumów. Obecni cisnęli się, aby lepiej widzieć. Pan Dozous od pierwszej chwili wyjął zegarek i przekonał się, że to nadzwyczajne zjawisko trwało przeszło kwadrans.

Wtem lekki dreszcz przebiegł ciało Bernadety. Widzenie ustało i dziecko powróciło do swego stanu normalnego. Oglądano jej rękę, była normalną. Płomień oszczędził ciała małej jasnowidzącej w zachwycie przed Maryą. Tłumy podziwiały cud. Jeden z obecnych, chcąc zrobić próbę przeciwną, wziął świecę jeszcze palącą się i zbliżył ją niespodzianie do ręki Bernadety.

— Ależ panie — zawołała, cofając się szybko — pan mię palisz.

Wypadki w Lourdes takiego nabrały rozgłosu i napływ podróżnych tak był wielki, że dnia tego rzesze, zebrane w jednej chwili w koło Bernadety, liczyć mogły z dziesięć tysięcy osób.

Ruch nie ustawał na drodze do skał Massabielle. Nie było tam gwaru wśród tej ciżby, ani niepokoju i nieporządku wśród tych fal głów ludzkich. Pieśni, litanie, okrzyki na cześć Najśw.Panny, oto wszystko, co słyszano, wszystko, co Jacomet i jego policya mogli zapisać w raportach swoich.

Robotnicy z Lourdes rozszerzyli ścieżkę, wykutą przez kamieniarzy, co było pracą znaczną, wymagającą trudu, czasu i nakładu. Ci dzielni ludzie pracowali wieczorami, powróciwszy z warsztatów, gdzie byli zajęci od rana do wieczora.

— Kto wam zapłaci? — pytano ich się.

— Najświętsza Panna! — odpowiadali.

Przed pójściem na spoczynek wchodzili wszyscy do groty i odmawiali wspólne modlitwy.

Grota zmieniała zwolna swą powierzchowność. Ustawiono wazony z kwiatami świeżemi lub wykonanemi przez pobożne ręce figury Najśw. Panny i zawieszano rozmaite wota na znak wdzięczności. Robotnicy umieścili małą balustradę dla ochrony tych przedmiotów. Kilka osób, doznawszy szczególnej jakiej łaski, zawiesiło swoje krzyżyki na złotych łańcuszkach, powierzając straż nad swym pobożnym darem opiece publicznej. Ponieważ wszyscy uznawali, iż należy być posłusznym Zjawisku i zbudować kaplicę, przeto poczęto wrzucać także pieniądze do groty. Znaczne sumy, kilkanaście tysięcy franków, spoczywało w ten sposób na otwartem miejscu, bez żadnej straży zewnętrznej w dzień i w nocy; a takim był dla tych miejsc szacunek, że nie znalazł się ani jeden złoczyńca w całej okolicy, by się dopuścić świętokradzkiej kradzieży. Było to tem bardziej zadziwiającem, że kilka miesięcy przedtem zrabowano parę kościołów w tych stronach.

Jeszcze jedna okoliczność w owym czasie uderzyła kilka osób. Przez te dwa kwartały nie popełniono w całym departamencie ani jednego występku, nie skazano ani jednego złoczyńcy. Sądy przysięgłych w marcu miały tylko do sądzenia jednę sprawę, która się ukończyła uniewinnieniem skazanego, następna sesya tych sądów zajmowała się dwoma sprawami, które atoli odnosiły się do dawniejszych wypadków. Królowa nieba zjawiła się, Królowa nieba pobłogosławiła.

III.

Bernadetę odwiedzało ciągle mnóstwo cudzoziemców, których sprowadzała do Lourdes pobożność lub ciekawość. Pochodzili oni z różnych sfer spo-

łecznych, różnych zawodów. Nikt atoli, zobaczywszy i usłyszawszy Bernadetę, nie byłby ośmielił się twierdzić, że kłamie. Wśród wzburzenia i rozpraw bez liku ta drobna dziewczynka niepojętym przywilejem wzbudziła we wszystkich szacunek i nie stała się ani razu przedmiotem oszczerstwa żadnego. Blask jej niewinności był tak wielki, że jej osoba nie była wystawioną na żadną zaczepkę; czuwała nad nią niewidzialna opieka.

Obdarzona umysłem zwyczajnym we wszystkiem, Bernadeta okazywała wielką bystrość, ilekroć miała zdać świadectwo o Zjawisku. Nic jej nie przestraszało. Odpowiedzi jej były głębokie.

Przybył ją zobaczyć między innymi także pan Rességuier, jeneralny radzca i dawniejszy deputowany z obwodu niższych Pyrenejów. Towarzyszyło mu kilka pań z rodziny. Kazał sobie opowiedzieć widzenia z najdrobniejszemi szczegółami. Kiedy Bernadeta powiedziała mu, że Zjawisko przemawiało w ludowem narzeczu bearneńskiem, zawołał:

— Nie mówisz prawdy, moje dziecko! Pan Bóg i Matka Boska nie rozumieją twojej gwary i nie znają tego nędznego narzecza.

— Jeżeliby go nie znali, proszę pana, — odpowiedziała — to zkądże wiedzielibyśmy o tem? A jeżeliby go nie rozumieli, to któżby nas samych tak uzdolnił, iżbyśmy je rozumieli?

Odpowiedzi bywały dowcipne niekiedy.

— Jakże Najświętsza Panna mogła ci kazać gryźć trawę? Uważała cię więc za zwierzątko? — powiedział jej razu pewnego jakiś niedowiarek.

— Czy pan tak samo myślisz o sobie, jedząc sałatę? — odpowiedziała, uśmiechając się dowcipnie.

Niekiedy odpowiadała naiwnie. Ten sam pan Rességuier, mówiąc o piękności Zjawiska w grocie, zapytał:

— Czy ta pani była taka ładna, jak osoby tutaj obecne?

Bernadeta powiodła wzrokiem po zebranych ślicznych pannach i paniach, które towarzyszyły jeneralnemu radzcy, następnie skrzywiwszy usta pogardliwie, odrzekła:

— O! to było całkiem coś innego, aniżeli to wszystko tutaj!

Owo „to wszystko," był to dobór towarzystwa najlepszego z pań.

Zawstydzały one wszelkie wybiegi, zmierzające do tego, by ją wprowadzić w zakłopotania.

— Gdyby X. Proboszcz zakazał ci stanowczo chodzić do groty? — zapytano ją.

— Usłuchałabym go.

— Ale gdybyś równocześnie otrzymała od Zjawiska rozkaz pójścia tam, co zrobiłabyś?

Dziecko odpowiedziało bez wahania:

— Poszłabym do X. Proboszcza prosić o pozwolenie.

A.

Nie tylko w samem Lourdes zdarzyły się cudowne uzdrowienia. Chorzy, którzy nie mogli przybyć do groty, sprowadzali sobie wodę, która leczyła ich cierpienia.

W Nay, w niższych Pyrenejach, mieszkał piętnastoletni chłopiec, nazwiskiem Henryk Busquet, który w 1856 roku przeszedł ciężki tyfus. Wskutek tej choroby utworzył mu się na prawej stronie szyi wrzód, który nieznacznie spuścił się na górną część piersi i ogarniał dolną część twarzy. Wrzód ten był wielki jak pięść. Dziecko cierpiało straszliwe męczarnie. Dr. Suberville, cieszący się sławą znakomitego lekarza w tej okolicy, przeciął ów wrzód w cztery blisko miesiące po utworzeniu się go. Wyszło mnóstwo gryzącej materyi, ale Henryk nie

wyzdrowiał wcale. Po użyciu kilku lekarstw, które nic nie pomogły, lekarz wysłał go do Cauterets, miejsca kąpielowego. W 1857 r. w październiku, kiedy zamożni goście kąpielowi opuścili już to miejsce i biednym wolno było korzystać wtenczas z sławnych wód, młody Busquet wziął tam około piętnaście kąpieli. Zaszkodziły mu one więcej, niż pomogły i odnowiły jego rany. Choroba stawała się groźniejszą, nieszczęśliwe dziecko miało na szyi ranę otwartą, ciekącą, a na domiar złego dwa nowe gruczoły, bardzo wydatne już, utworzyły się obok rany.

Takim był stan biednego chłopca, kiedy usłyszawszy o cudownych skutkach wody z groty, pomyślał, by jej użyć. Chciał odbyć pieszo pielgrzymkę do skał Massabielle, ale zbyt ufał swym siłom i rodzice mu nie pozwolili na to.

Henryk, który był bardzo pobożny, nie mógł się pozbyć myśli, że Matka Boska, która się objawiła Bernadecie, go uzdrowi. Prosił sąsiadki, która wybierała się do Lourdes, aby zaczerpnęła dla niego wody. Przyniosła mu buteleczkę wieczorem w środę 28 kwietnia. Około godz. 8, w chwili udania się na spoczynek, chłopczyk ukląkł i modlił się do Najświętszej Panny. Rodzina cała modliła się z nim razem, ojciec, matka, bracia i siostry. Byli to zacni ludzie, prostego serca i głębokiej wiary; jedna z córek jest dziś zakonnicą u Sióstr św. Andrzeja.

Henryk położył się do łóżka. Lekarz często zalecał mu, aby nigdy nie używał zimnej wody, ale w tej chwili mały Henryk nie myślał wcale o przepisach medycyny. Zdjął bandaż i szarpie, które pokrywały ranę i za pomocą płatka obmył chore miejsca cudowną wodą. Wiary nie brakło.

— Niepodobna — myślał sobie — aby Najśw. Panna nie miała mię uzdrowić. Z tą nadzieją w sercu zasnął głęboko i spokojnie.

Gdy się obudził, nadzieja jego stała się rzeczywistością: wszystkie boleści ustały, wszystkie rany były zabliźnione, gruczoły zniknęły. Odwieczna potęga uleczyła w jednej chwili chorobę, na której leczenie składały się długie miesiące.

Lekarz chorego, dr. Suberville, uznał to uzdrowienie cudownem i boskiem, ale dodał z niedowierzaniem:

— Kto wie, czy w ośmnastym roku choroba nie powróci? Do tego czasu będę zawsze niespokojny.

Znakomity lekarz atoli nie doczekał się tej chwili, umarł bowiem wkrótce potem. Autor niniejszego opowiadania widział sam Henryka Busquet, który dziś ma przeszło 50 lat, czuje się zdrowym i silnym.

VI.

Podczas gdy wszystkie te cuda dokonywały się w różnych stronach, zdarzył się przypadek, na pozór nie mający związku z przedmiotem tej historyi, ale który, jakkolwiek mało znaczący, miał wywołać ważny wpływ na bieg wypadków.

Pan prefekt wyższych Pyrenejów zauważył w tym czasie, że jego konie cugowe i wierzchowce nie mają odpowiedniego pomieszczenia i że powinienby zbudować dla nich obszerne i wykwintne stajnie. Na nieszczęście nie było dostatecznego miejsca. Panu prefektowi chodziło przytem, aby nie oszpecić tą budową dziedzińca lub ogrodu.

Prefektura znajdowała się w najbliższem sąsiedztwie katedry, w środku zaś leżał stary cmentarz, gdzie chowano dawniej kapłanów i kanoników katedry. Pan prefekt powiedział sobie, że to miejsce byłoby znakomite dla jego stajni i remiz. Od pomysłu do wykonania nie było nigdy daleko u pana barona Massy. Kazał więc kopać fundamenta wśród gruzów i kości i niebawem zaczęły się wznosić na tym cmentarzu budynki dla koni urzędowych.

Podobne zapomnienie musiało zasmucić głęboko stolicę biskupią. Biskup Wawrzyniec napróżno usiłował wytłomaczyć prefektowi, że to ziemia poświęcana, że należy do kościoła i że hałas kopyt końskich nie powinien zakłócać spokoju umarłych, ani przeszkadzać modlitwom żyjących. Wobec tego pogwałcania grobów Biskup założył stanowczy protest. Zwrócił się wprost do ministerstwa, aby zakazano dalszej budowy.

Prefekt czuł się dotkniętym do żywego tem bardzo stanowczem i poważnem wystąpieniem X. Biskupa. Wedle swego zwyczaju upierał się coraz bardziej. Pojechał do Paryża, aby rzecz przedstawić ministrowi, poruszył niebo i ziemię, by postawić na swojem. Sprawa ta toczyła się przez kilka miesięcy, aż ostatecznie zakończyła się stosownie do słusznych żądań Biskupa. Na miejscu, gdzie zaczęto budować stajnie, rośnie trawa.

Od dnia, w którym Biskup podniósł protest, ustały też dobre stosunki, jakie istniały do owego czasu między naczelnikiem departamentu a najwyższą władzą dyecezalną. Tak samo, jak chciał zagarnąć grunt kościelny, tak też postanowił w kwestyi Zjawisk wtargnąć w duchową dziedzinę Biskupa.

VII.

Dowiedziawszy się, że Zjawisko ukazało się Bernadecie znowu, pan prefekt posłał do Soubirousów komisyą, złożoną z dwóch lekarzy. Wybrał ich z rzędu tych, którzy nie mniej jak on sam, nie wierzyli w zjawiska nadprzyrodzone. Dwaj ci lekarze, mieszkający w Lourdes, z których jeden był przyjacielem prokuratora, od trzech tygodni łamali sobie głowę nad uzasadnieniem teoryi o widzeniach, halucynacyach i walczyli zrozpaczeni przeciwko faktom

wytryśnięcia źródła i uzdrowień cudownych, które co chwilę robiły wyłom w ich teoryach

Tym ludziom uznał prefekt w swej mądrości za odpowiednie powierzyć zbadanie Bernadety. Dotykali oni głowy dziecka, lecz nie znaleźli nic nienormalnego. Odpowiedzi dziecka były rozsądne. W ustroju nerwowym także nie zauważyli żadnych wstrząśnień i zaburzeń, przeciwnie, znaleźli zupełną równowagę i głęboki spokój. Niekiedy astma tłoczyła oddech dziecka, ale to niedomaganie nie miało nic wspólnego z mózgowem zboczeniem.

Dwaj ci lekarze, bardzo zresztą sumienni, mimo swych uprzedzeń, zaznaczyli to wszystko w raporcie i stwierdzili stan normalny dziecka. Jednakże, ponieważ w sprawie zjawisk obstawała stale przy swem opowiadaniu, przeto ci panowie, którzy nie wierzyli wcale w możliwość podobnych widzeń, oparli się na tem i orzekli, że Bernadeta mogłaby miewać halucynacye.

Raport ten wystarczał panu prefektowi. Uzbrojony w ów dokument i na mocy ustawy z dnia 30 czerwca 1838 r. postanowił uwięzić Bernadetę, kazać ją odprowadzić do Tarbes, tymczasowo do szpitala, a następnie do domu obłąkanych.

Nie wystarczyło jeszcze uwięzienie dziecka, należało położyć ostateczną tamę temu nadzwyczajnemu ruchowi ludności. W tym celu trzeba było uważać grotę za zakazne miejsce do odprawiania nabożeństwa i ogołocić ją z darów i wotów.

Gdyby wierni opierali się temu, natenczas szwadron konnicy z Tarbes miał stać w pogotowiu. Rozruch jakiś byłby spełnił skryte życzenie.

Pozostawało wykonanie przeciw Bernadecie i przeciw ludności tych różnych środków, które nieomylność prefekta uznała za konieczne, aby nie dopuścić szerzenia się „zabobonu.“.

VIII.

Burmistrzowi i komisarzowi policyi w Lourdes zlecono spełnienie woli prefekta.

Pierwszy z nich miał rozkaz aresztować Bernadetę, drugi zaś miał udać się do groty i ogołocić ją ze wszystkiego, co złożyła w niej pobożność lub wdzięczność wiernych.

Jakkolwiek pan Lacedé, burmistrz miasta Lourdes, nie wypowiedział swego zdania o nadzwyczajnych wypadkach, jakie się zdarzyły, to jednakże wywarły one na nim wielkie wrażenie i nie bez uczucia obawy patrzał na to, iż administracya wstąpiła na drogę gwałtów. Był bardzo zaniepokojony. Nie wiedział, jak wobec tego zachowa się ludność. To prawda, że pan prefekt przyrzekł w danym razie przysłać szwadron wojska, aby utrzymać pokój w Lourdes, ale to właśnie nie przestawało go niepokoić mocno. Nie wiedział, co ma począć z rozkazem prefekta wobec siły ludu i potęgi z góry. Byłby chciał oszczędzić i niebo i ziemię. Aby dodać sobie otuchy, zwrócił się do cesarskiego prokuratora, pana Dutour i obydwaj udali się razem do X. proboszcza z Lourdes, aby mu oznajmić o rozkazie aresztowania Bernadety, wydanym w prefekturze. Wytłómaczyli X. Peyramale, że wedle ustawy z 30 czerwca 1838 r. prefekt działał zupełnie prawnie.

Kapłan nie umiał powstrzymać swego oburzenia wobec niegodziwości takiego rozporządzenia.

— To dziecko jest niewinne! a dowodem tego, panie prokuratorze, iż pomimo krzyżowych pytań, nie mogłeś pan znaleść żadnego pozoru do najmniejszej kary. Wiesz pan dobrze, że nie ma w całej Francyi trybunału, któryby nie uznał niewinności, bijącej tu w oczy, jak słońce, że nie znajdzie się żaden prokurator jeneralny, któryby w tym przypadku nie uznał za potworne i nie kazał powstrzymać nietylko aresz-

towania, ale jakiejbądź najprostszej czynności sądowej.

— To też magistrat nie działa tutaj — odpowiedział pan Dutour. — Pan prefekt na podstawie raportu lekarzy każe zamknąć Bernadetę, jako dotkniętą obłąkaniem i to w jej własnym interesie, aby ją uleczyć. Jestto proste rozporządzenie administracyjne, które w niczem nie dotyka religii, skoro ani biskup, ani duchowieństwo nie orzekło nic o tych faktach.

— Takie rozporządzenie — mówił kapłan dalej, zapalając się coraz bardziej — byłoby najohydniejszem prześladowaniem, tem wstrętniejszem, że przybiera maskę obłudy, że udaje chęć opieki, że się kryje pod płaszczykiem prawa i że za przedmiot wybiera biedną, bezbronną istotę. Jeżeli X. Biskup, jeżeli duchowieństwo i ja sam czekamy na dokładniejsze wyjaśnienie wypadków, aby orzec o ich nadprzyrodzonym charakterze, to w każdym razie wiemy dosyć, aby osądzić szczerość Bernadety i stan normalny jej władz umysłowych. A skoro wasi lekarze nie stwierdzają żadnego zboczenia umysłowego, to w czemże mieliby oni być kompetentniejszymi, aby sądzić o obłąkaniu lub zdrowym umyśle, aniżeli którykolwiek z tysiąca tych, co wypytywali dziecko i podziwiali zupełną jasność umysłu dziecka? Wasi lekarze sami nie ośmielają się twierdzić, lecz stawiają tylko przypuszczenie. Pan prefekt nie może żadną miarą kazać aresztować Bernadety.

— Jest w swojem prawie.

— To jest bezprawiem. Jako kapłan, proboszcz i dziekan miasta Lourdes, należę do wszystkich, a w szczególności do najsłabszych. Gdybym widział, jak człowiek uzbrojony rzuca się na dziecko, broniłbym dziecka z narażeniem własnego życia, ponieważ znam obowiązki, jakie powinien spełniać dobry pasterz. Powiedzcie panowie zatem panu Massy, że jego żandarmi znajdą mnie na progu domu tej biednej ro-

dziny i że dopiero po mojem ciele przejdą, zanim włos spadnie z głowy tej biednej dziewczynki.

— Jednakże...

— Nie ma tu żadnego „jednakże". Badajcie, wytaczajcie śledztwa, to wam wolno. Ale jeśli zamiast tego chcecie prześladować, jeżeli chcecie uderzać niewinnych, to wiedzcie, że zanim dosięgniecie najostatniejszego z mojej trzódki, rozpocząć musicie wpierw odemnie.

Kapłan powstał z miejsca. Wysoka postać, twarz o wyrazistych rysach, stanowcze ruchy, wyraz wzruszenia w oczach uzupełniały jego słowa i nadawały im całe znaczenie.

Prokurator i mer zamilkli na chwilę. Następnie zaczęli mówić o przepisach, odnoszących się do groty.

— Co do groty — mówił proboszcz znowu — jeżeli pan prefekt chce w imieniu narodu i w imieniu swej prywatnej pobożności ograbić ją z przedmiotów, jakie liczni pątnicy złożyli tam ku czci Najświętszej Panny, to niech to uczyni. Wierni będą zasmuceni, a nawet oburzeni. Ale niech się uspokoi; mieszkańcy tego kraju umieją szanować władzę, nawet wtenczas, gdy ona błądzi. Mówią, że w Tarbes szwadron stoi na pogotowiu, czekając na sygnał, wzywający do Lourdes. Niechaj szwadron zsiądzie z koni. Jakkolwiek głowy są pełne zapału, a serca zranione, słuchają tu mego głosu i bez siły zbrojnej odpowiadam za spokój mego ludu. Przy sile zbrojnej nie ręczę za niego.

IX.

Energiczne wystąpienie X. proboszcza w Lourdes, o którym wiedziano, że jest nieugiętym we wszystkiem, co uważa za swój obowiązek, wprowadzało nowy do tej sprawy żywioł, jakkolwiek łatwo to było przewidzieć.

Prokurator cesarski, gdy chodziło o przepis administracyjny, nie miał nic do czynienia i tylko w charakterze półurzędowym towarzyszył panu Lacade na probostwo. Cały ciężar decyzyi zatem spadał na tego ostatniego.

Pan Lacade miał pewność, że proboszcz z Lourdes uczyni tak, jak mówił. Aby aresztować Bernadetę nagle, bez wiedzy pasterza, o tem nie można było wcale myśleć, kiedy X. Peyrmale był o wszystkiem uprzedzony i widział rzecz całą jasno.

Burmistrz opowiedział prefektowi o rozmowie, jaką pan Dutour i on mieli z księdzem dziekanem i o stanowisku, jakie zajął ten sługa Boży. Aresztowanie Bernadety, dodał, mogłoby nadto zbuntować miasto przeciwko władzom. Co do niego samego, to w obec decyzyi X. proboszcza, wyrażonej tak stanowczo i w obec tak groźnych ewentualności widział się zmuszonym — choćby mu przyszło zrzec się urzędu — odmówić wykonania podobnego rozporządzenia. Jeżeli prefekt uznał to za stósowne, niechby działał osobiście i wydawał bezpośrednio rozkazy swoje żandarmeryi.

X.

Podczas kiedy los i wolność Bernadety poddawano tej niepewności, Jacomet w urzędowym stroju, ozdobiony szarfą przygotowywał się do wykonania rozporządzeń, przepisanych przez pana Massy, w skałach Massabielle.

Pogłoska, iż prefekt wydał rozkaz ogołocenia groty ze wszystkiego, rozeszła się w mgnieniu oka i wywołała wzburzenie w całem mieście. Cała ludność była przerażoną, jak w obec potwornego świętokradztwa.

— Najświętsza Panna raczyła zstąpić do nas — mówiono — i czynić cuda, a otóż, jak Ją przyjmują! To musi ściągnąć karę niebios!

Najobojętniejsi czuli się wzruszeni, głuchy szmer niezadowolenia podnosił się wśród ludności i wzmagał się. Od pierwszej chwili X. proboszcz i inni kapłani w mieście starali się uspakajać umysły.

Powaga X. proboszcza była wielka, ale głowy były zapalone, a serca oburzone.

Przedmioty i wota, złożone w grocie, stanowiły sporą ilość i nie mogły ich przenieść ręce jednego człowieka. Jacomet udał się na pocztę, aby zażądać wozu i koni.

— Nie mam koni dla podobnych rzeczy — odpowiedział pocztmistrz.

— Ale nie możecie odmawiać koni temu, co za nie płaci! — zawołał Jacomet.

— Moje konie są na usługi poczty, a nie do podobnej roboty. Nie chcę należeć w niczem do tego, co zamyślacie popełniać. Wytoczcie mi proces, jeśli wam się podoba. Koni nie daję.

Komisarz poszedł gdzieindziej. We wszystkich hotelach, u wszystkich wynajmujących konie, dość licznych w Lourdes z powodu pobliża miejsc kąpielowych, u osób prywatnych, do których zwrócił się w rozpaczy, wszędzie znalazł samą odmowę. Położenie jego było nadzwyczaj przykre. Ludność przerażona widziała, jak chodził od domu do domu w towarzystwie policyantów i wszędzie doznawał zawodu. Słyszał szepty, śmiechy, ostre słowa tłumu. Wszystkie spojrzenia były skierowane na niego w czasie tego przykrego pochodu przez ulice miasta. Naprożno podwajał sumę pieniężną, którą ofiarował za wynajęcie koni, najbiedniejsi odmawiali, chociaż doszedł już do trzydziestu franków.

Tłum, słysząc o trzydziestu frankach, porównywał je do judaszowskich trzydziestu srebrników.

Wreszcie u jakiegoś kowala dziewczę wynajęło, czego żądał, za trzydzieści franków.

Kiedy ujrzano go z wózikiem zaprzężonym, tłum oburzył się tem bardziej, że nędza nie skłoniła właścicieli wozu do tej uprzejmości. Ludzie ci wcale nie byli biedni.

Jacomet skierował się w stronę groty. Policyanci jechali na wózku. Tłumy ogromne szły za nim w milczeniu, ponure, zaniepokojone, przeczuwające burzę.

W ten sposób doszli do skał Massabielle. Pod sklepieniem groty migały tu i owdzie światełka świec, osadzonych w lichtarzach, które ozdobiono mchem i wstążkami. Krzyże, posążki Matki Boskiej, obrazy święte, różańce, naszyjniki, kosztowności leżały na ziemi lub w zagłębieniu skały. W niektórych miejscach rozłożono dywany pod obrazy Matki Bożej, pobożne ręce zniosły tysiące bukietów na cześć Maryi.

W jednym lub dwóch kościanych koszyczkach i na ziemi połyskiwały pieniądze miedziane, srebrne i złote, pierwszy dar wiernych na wybudowanie w tem miejscu świątyni pod wezwaniem Niepokalanej Dziewicy, pobożne ofiary, na które nie pokusiła się nawet ręka złoczyńcy, mimo samotności miejsca i nocy.

Jacomet przekroczył baryerę, zrobioną przez robotników i wszedł do groty. Zdawał się zaniepokojony i zmieszany. Policyanci stali obok niego. Tłum, który śledził go wzrokiem, zachowywał przerażające milczenie.

Komisarz rozpoczął od zabezpieczenia pieniędzy. Następnie zgasiwszy światła jedno po drugiem, zbierał różańce, krzyżyki, różne przedmioty, zapełniające grotę i oddawał je policyantom, by odnosili na wóz. Ci biedni ludzie zdawali się cierpieć z powodu zajęcia, jakie im przeznaczono i z widocznem uczuciem smutku i szacunku składali na wozie rzeczy, z których komisarz ogałacał grotę, zaszczyconą i uświęconą obecnością Najświętszej Dziewicy, wytryśnięciem źródła, uzdrowieniem tylu chorych.

Z powodu oddalenia od wozu wszystko postępowało wolno. Jacomet zawołał małego chłopca, stojącego na czele tłumu i rzekł do niego:

— Weź ten obraz i zanieś go na wóz.

Chłopiec już wyciągnął rękę, gdy wtem inne dziecko obok niego zawołało:

— Nieszczęśliwy! co ty robisz? Pan Bóg cię ukarze!

Chłopczyk przerażony cofnął się i nawoływanie komisarza nie zdołało go już skłonić do postąpienia jednego kroku naprzód.

Ruchy komisarza miały w sobie coś konwulsyjnego. Kiedy podniósł pierwszy bukiet, chciał go rzucić do Gawy, uważając go za rzecz bez wartości; ale głuchy szmer wśród tłumu powstrzymał go. Zdawał się pojmować, iż cierpliwość publiczności zaczynała się wyczerpywać i że najmniejsze zdarzenie mogło przebrać jej miarę. Bukiety zatem przeniesiono wraz z resztą rzeczy na wózek.

W chwilę później posążek Matki Boskiej prysnął w rękach komisarza i fakt ten wywołał znowu złowrogie poruszenie w tłumie.

Kiedy grotę ogołocono ze wszystkiego, Jacomet chciał jeszcze zdjąć baryerę. Brakło mu siekiery. Ludzie, którzy niedaleko ztamtąd ścinali drzewo, odmawiali mu kolejno siekier swoich. Inny robotnik pracujący na uboczu, nie śmiał mu odmówić i udzielił swojej.

Jacomet sam przyłożył ręki do dzieła i kilku uderzeniami siekiery zgruchotał baryerę, która nie była silną.

Widok tego gwałtu, tego człowieka, rozbijającego baryerę siekierą, większe wywarł na tłumie wrażenie, aniżeli reszta i nastąpił groźny wybuch. O mało nie rzucono nieszczęsnego komisarza do Gawy, płynącej wartko opodal.

Jacomet odwrócił się i ukazał twarz bladą i zmienioną.

— To, co czynię — rzekł z pozornym smutkiem — nie czynię tego sam z siebie i z największą przykrością widzę się zmuszonym to wykonywać. Działam wedle rozkazów pana prefekta. Muszę słuchać wyższej władzy, chociaż mię to wiele kosztuje. Nie jestem wcale odpowiedzialnym i nie trzeba się czepiać mojej osoby.

Odezwały się w tłumie głosy:

— Bądźmy spokojni, żadnych gwałtów! Pozostawmy wszystko Bogu!

Rady duchowieństwa wydały owoce i nie było żadnego rozruchu. Komisarz i policyanci bez przeszkody odwieźli wóz do burmistrza, u którego złożono przedmioty i któremu wręczono pieniądze.

Wieczorem, chcąc zaprotestować przeciw przepisom prefekta, ogromne tłumy udały się do groty, która w mgnieniu oka zapełniła się kwiatami i światłem. Tylko, aby uniknąć zabrania świec przez policyą, każdy trzymał swoją świecę w ręku i zabierał ją do domu napowrót.

Nazajutrz dwa zdarzenia wywarły wielkie wrażenie wśród ludności.

Dziewczę, które wypożyczyło Jacomotowi wózka i konia, spadło z poddasza z sianem i złamało sobie żebro.

Tego samego dnia człowiek, który użyczył komisarzowi siekiery do porąbania baryery w grocie, złamał obydwie nogi.

Liberałowie upatrywali w tem niemiły i nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Publiczność uznała obydwa te wypadki za karę Bożą.

XI.

Pan prefekt Massy nie czuł się zaniepokojony owemi drobnemi zajściami. Nie wierzył on ani w choroby, ani w uzdrowienia, pochodzące z nieba.

Postawa, nie groźna, lecz niewzruszona X. proboszcza Peyaramala, postanowienie jego wystąpienia osobiście w obronie Bernadety w razie aresztowania zaprojektowanego, wszystko to obchodziło go więcej, aniżeli objawy gniewu Bożego. Słowem, Pan Bóg mniej go niepokoił, aniżeli proboszcz. Uznał też za stosowne nie posuwać się dalej w swoich rozporządzeniach. Bernadetę pozostawiono na wolności i dziewczynka nie wiedziała nawet pewno, jaka burza przeszła nad jej głową.

Pan Massy nie tracił jednakże nadziei. Miał pewność — jak mówił głośno — iż niebawem pokona wszystkie trudności. Być zwyciężonym! on prefekt, baron Massy, bajkami zmyślonemi przez dziecko! nie — tego nie zniosłaby jego duma i to było niepodobnem dla jego geniuszu.

Jeżeli zatem zrzekł się pierwotnego zamiaru zamknięcia Bernadety jako obłąkanej, nie mniej jednak postanowił w jakibądź sposób położyć tamę „fanatyzmowi.“

SZOSTA KSIĘGA.

I.

Większa część uzdrowień za pomocą wody ze skał Massabielle odbywała się szybko i nagle, inne przypadki znowu nie miały tego piętna tak wybitnie nadprzyrodzonego. Dokonywały się zwolna w pewnym przeciągu czasu.

Uczeni i lekarze z okolicy, zaniechawszy już upatrywać przyczyny tych uzdrowień w bujnej wyobraźni osób uleczonych wodą z źródła w grocie, zaczęli przypisywać własności lecznicze wodzie, która „przypadkiem“ pojawiła się wśród skał. Tłomacząc rzecz w ten sposób jednakże, uznawali oni fakt uzdrawiania.

Prefekt powziął teraz myśl, aby kazać zbadać składniki wody w grocie chemikowi i zamiar ten wykonał niezwłocznie.

Urzędowy chemik stwierdził, że woda jest bardzo czysta, pozbawiona wszelkiej woni i wybitnego smaku, że ciężkość jej równa się mniej więcej ciężkości wody destylowanej i temperatura wynosi 15 stopni.

Sprawdziwszy składniki wody, dodał ów chemik, że prawdopodobnie medycyna nie omieszka uznać właściwości jej mineralnych, które pozwolą postawić ją na równi z innemi źródłami leczniczemi okolicy.

Uzbrojony w ten ważny dokument, pan prefekt czekał na dalsze wypadki. Co się będzie działo w Lourdes? w grocie? Co zrobi Bernadeta, której najmniejsze poruszenie śledził argusowem okiem Jacomet i jego agenci? Czy wraz z nastającemi upałami nie wyschnie źródło w grocie i tem samem nie zakończy całej sprawy? Jakie stanowisko zajmie ludność? Takie były myśli, oczekiwania i obawy pana Massy, prefekta cesarskiego.

W grocie tymczasem cudowne źródło płynęło iągle obfite i czyste.

Zjawisko nadprzyrodzone nie przestawało objawiać się w dobrodziejstwach.

O kilka kilometrów od Lourdes żyła poczciwa wieściaczka, którą nieszczęśliwy przypadek skazał od ośmnastu miesięcy na bezczynność zupełną. Spadła ona z dębu, na który weszła, aby zbierać żołędzie, i wskutek tego wypadku straciła władzę w ręku. Nie mogła ani szyć, ani robić pończochy, ani prząść, ani też pracować przy gospodarstwie domowem. Lekarz oświadczył jej, że stan jej jest nieuleczalny i że już nie odzyska władzy w ręku.

Pewnej nocy przyszła jej nagle myśl, aby pójść do groty. Wcześnie rano zabrała dwoje dzieci i przybywszy na miejsce, padła na kolana, pogrążona w serdecznej modlitwie. Następnie zamoczyła chorą rękę w cudownej wodzie źródła. I oto natychmiast palce jej wyprostowały się, uczuła w ręku władzę. Najświętsza Panna uleczyła niemoc.

W tym samym czasie Maryanna Garrot, obmywszy twarz wodą z źródła, uleczyła zjadliwy liszaj, który od dwóch lat pokrywał jej policzki, opierając się wszelkim środkom lekarskim. Lekarz jej, dr. Amadou, stwierdził fakt i stawił się później do usług komisyi biskupiej jako świadek.

Ośmdziesięcioletnia staruszka została tkniętą paraliżem na całą lewą stronę.

— Dla czegoż nie miałabym zwrócić się do dobroci Bożej? — powiedziała sobie staruszka, usłyszawszy o cudownem źródełku i posłała po wodę do groty.

Kiedy jej przyniesiono wodę, opanowało ją nadzwyczajne wzruszenie.

— Wyprowadźcie mię z łóżka — rzekła — i trzymajcie mię.

Podniesiono ją i ubrano szybko. Obecni byli zaniepokojeni.

Dwie osoby trzymały ją. Podano jej szklankę z wodą z groty.

Staruszka wyciągnęła drżącą rękę ku zbawczej wodzie, zanurzyła w niej palce i zrobiła znak krzyża św., poczem podniosła szklankę do ust i piła zwolna jej zawartość, pogrążona, jak się zdawało, w gorącej modlitwie.

Była tak blada, że zdawało się, iż zemdleje. Ale podczas, kiedy starano się o to, aby nie upadła, ona podniosła się i spojrzała w koło siebie. Następnie wydała okrzyk radosny i zawołała:

— Puśćcie mię szybko! Jestem uzdrowiona.

Ci, którzy ją trzymali, usunęli zwolna ręce. Staruszka natychmiast zaczęła chodzić po izbie z taką pewnością, jak gdyby nigdy nie była przedtem chorą. Od owego dnia powróciła do ciężkiej pracy w polu.

Kilka osób przyszło sprawdzić fakt i pytały się, czy może chodzić w ich obecności.

— Chodzić, panowie — zawołała — ależ mogę biegać!

Mówiąc to, zaczęła biedz.

To stało się maju, a w lipcu pokazywano sobie rzeźką staruszkę, pracującą dzielnie przy żniwach.

Lekarz jej chwalił Boga za ten cud widoczny i złożywszy świadectwo komisyi, nie wahał się uzna-

wać głośno bezpośredniego i widocznego działania mocy Bożej.

II.

Prasa w Paryżu i na prowincyi zaczęła się zajmować wypadkami w Lourdes i uwaga publiczna i za granicami Pyrenejów zaczęła się zwracać zwolna ku grocie Massabielle.

Rozporządzenia prefekta chwaliły głośno dzienniki liberalne, jak nie mniej głośno krytykowały je pisma katolickie. Te ostatnie, powstrzymując swój sąd co do rzeczywistości zjawisk i cudów, domagały się, aby w tej sprawie rozstrzygała władza kościelna.

Niezliczone uzdrowienia, jakie się dokonywały za pomocą wody z źródła groty, ściągały do Lourdes ogromne zastępy chorych i pątników. Napływ, który władza pragnęła powstrzymać, przybierał tymczasem coraz większe rozmiary. Napływ ten wzmagał się coraz więcej, w miarę, jak znikały niedogodności zimy. Miesiąc maj zawitał. Piękne dni wiosenne zdawały się zachęcać pątników do przybywania do groty temi kwiecistami drogami, które biegną to przez lasy, to przez łąki i winnice w tym kraju, pełnym stromych gór, zielonych pagórków i cienistych dolin.

Bezsilny i zły, prefekt patrzał na te zastępy chrześcian, odnawiające się bezustannie u stóp odludnej skały.

Przepisy, wydane poprzednio, zabraniały, to prawda, nadawać grocie postać świątyni, ale nie naruszyły jądra rzeczy. Ze wszech stron zbiegano się na miejscu cudu. A przytem, wbrew oczekiwaniom liberałów, nie zaszedł żaden nieporządek, żaden rozruch wśród tego tłumu niesłychanego mężczyzn, kobiet, dzieci, starców, wierzących, niedowiarków, obojętnych, ciekawych. Zdawało się, że jakaś dłoń

niewidzialna czuwała nad temi zastępami, które bez przywódzców i kierowników .tysiącami skupiały się u źródła cudownego.

Magistrat i policya ze zdumieniem spoglądały na to niezwykłe widowisko. Wtenczas Jacomet i jego agenci przychodzili zabierać nowe przedmioty, które złożono w grocie. Komisarz, ośmielony od czasu, jak uszedł przed niebezpieczeństwem za pierwszą swoją bytnością w grocie, stał się brutalnym i rzucał niekiedy przedmioty z groty do Gawy.

Klęczące tłumy jednakże nie przestawały modlić się, nie zwracając uwagi na na te zaczepki i okazywały cierpliwość niesłychaną.

Pewnego dnia rozchodzi się pogłoska, że cesarz czy minister prosili Bernadetę o modlitwę. Pan Dutour wydaje okrzyk tryumfu i przygotowuje się do ratowania państwa. Trzy przeciwne kobiety, które, jak się zdaje, puściły w obieg tę pogłoskę, wezwano przed sąd i prokurator żąda, aby zastósowano w obec nich całą surowość francuskiego prawa. Mimo całej jego wymowy sędziowie zwalniają dwie i tylko trzeciej nakładają karę w wysokości pięciu franków Prokurator zżyma się i odwołuje się do trybunału w Pau, który drwi z jego gniewu i nie tylko potwierdza niewinność dwóch kobiet, ale nadto zwalnia trzecią od kary.

Ten drobny fakt, tak nieznaczny sam w sobie, wykazuje, jak prokuratorya czyhała na najmniejszą sposobność do wymierzania kar w sprawie groty, kiedy czepiała się nawet biednych, prostych niewiast, których niewinność umiał uznać trybunał cesarski.

Pewnej nocy, wśród głębokich ciemności, nieznane ręce zburzyły basen źródła cudownego i zarzuciły je stosem kamieni, przysypując ziemią i piaskiem. Nikt nie wiedział, kto to zrobił. Ale skoro zaświtał dzień i spostrzeżono niegodziwość, powstał głuchy szmer oburzenia i wzburzone tłumy zaczęły się zbierać w koło groty, jak fale morskie, które szumią i

pienią się za podmuchem wichru. Policya, magistrat, władze miejskie śledziły, patrzały, słuchały, lecz nie mogły pochwycić żadnego gwałtu. Ale któż mógł dokonać tego czynu wśród nocy?

Byli tacy, którzy posądzali policyą i prokuratoryą, że tym czynem chciała wywołać zaburzenia, aby znaleźć sposobność do wymierzania kar.

Władze miejskie broniły się przeciwko takiemu podejrzeniu i jeszcze tego samego wieczoru burmistrz nakazał przywrócić dawny porządek w grocie.

Niekiedy tłumy, obawiając się, iż zabraknie im władzy nad własnemi uczuciami, zarządziły ostróżności przeciwko sobie samym. Bractwo kamieniarzy, liczące czterysta do pięciuset członków, postanowiło udać się do groty w procesyi z okazyi święta swego patrona, które w tym roku przypadało na dzień 13 maja. Czując zanadto wielkie wzburzenie serc wobec postępowania władzy, odstąpiono od tego zamiaru i w to miejsce wyrzeczono się wielkiej zabawy, jaka się odbywała co roku na zakończenie uroczystości.

III.

Prefekt czuł, że wymyka mu się z ręki coraz bardziej wszelki środek zaszczepny w skutek tego zadziwiającego spokoju, który panował wśród tłumów. Ani jednego zajścia! Trzeba więc było wrócić na dawniejszą drogę i zostawić publiczności swobodę, albo też poprostu chwycić się gwałtu i prześladowania. Trzeba było zatem albo cofać się, albo iść dalej naprzód.

Z drugiej strony liczbę dokonanych nagle uzdrowień tłomaczono sobie własnościami mineralnemi źródła, co potwierdzało także znane orzeczenie chemika. Inny chemik zaczął utrzymywać, że to była woda zwyczajna i że nie miała żadnych własności leczniczych. Pogłoski te powtarzały się tak uporczywie, że wreszcie burmistrz postanowił kazać zbadać składniki wody raz jeszcze. Nie zapytując już

prefekta, zażądał od Rady miejskiej upoważnienia do przedsięwzięcia tego kroku i zwrócił się tym razem do jednego z uczonych chemików, profesora Filhola.

Wśród tych oczekiwań nie przestano doświadczać Bernadety. Przygotowała się ona do pierwszej komunii św., którą przyjęła w dniu 3 go lipca w dzień Bożego Ciała.

Pomimo, iż byłaby pragnęła przed dniem tak uroczystym być samotną i żyć w skupieniu ducha, odwiedzano ją bezustannie. Była zawsze niewinnem i prostem dzieckiem, jak ją opisaliśmy na wstępie. Swą niewinnością zachwycała wszystkich, którzy zbliżali się do niej.

Pewnego dnia pani jakaś chciała po rozmowie z nią, w zapale zrozumiałym dla tych, co znali Bernadetę, zamienić swój kosztowny różaniec na paciorki dziecka.

— Zachowaj go pani, odrzekła dziewczynka, oto jest mój i nie pragnę go zmieniać. Jest biedny, jak ja i przystoi więcej mojemu ubóstwu.

Pewien kapłan starał się namówić ją, by wzięła od niego srebrny pieniądz. Odmawiała, on nalegał, lecz naprożno. Jednakże, nie chcąc być pokonanym, rzekł:

— Weź to, nie będzie to dla ciebie, lecz dla biednych i będziesz miała przyjemność udzielić jałmużnę.

— Niech Xiądz dobrodziej da ją na moją intencyą i tak będzie lepiej, aniżeli gdybym ja dała sama.

Biedna Bernadeta umiała służyć Bogu wiernie i spełniać posłannictwo, jakie otrzymała z góry. A jednak ona sama i jej rodzina nie miały nieraz chleba!

W tym czasie podwyższono pensyą prefekta, Jacomet otrzymał gratyfikacyą. Minister wyznań w liście, który zakomunikowano kilku urzędnikom,

wyrażał prefektowi wielkie zadowolenie za to wszystko, co uczynił dotąd i zachęcał do energicznego kroku, dodając, że trzeba koniecznie raz skończyć z grotą i cudami w Lourdes.

IV.

Wśród tych wypadków kwestya stajni prefektury zaostrzała się coraz bardziej i rozdrażniła prefekta do najwyższego stopnia. Nadszedł czerwiec. Zbliżał się sezon kąpielowy i miał sprowadzić gości i turystów z całej Europy i uczynić ich świadkami skandalu w departamencie barona Massy! Instrukcye pana Roulanda nagliły coraz bardziej. W dniu 6 czerwca pan Fould, minister skarbu, jadąc do swych włości, zatrzymał się w Tarbes i miał długą naradę z panem Massy. Rozeszła się pogłoska, że przedmiotem ich rozmowy były zajścia w grocie.

Sam fakt czerpania wody z groty na gruncie, należącym do gminy miejskiej, jednakże nie miał sam w sobie nic zdrożnego w obec prawa. Geniusz przeciwników „zabobonu“ musiał zatem znaleść przedewszystkiem jakiś pozór.

Zręczny prefekt powziął myśl równie genialną jak prostą. Ponieważ skały Massabielle były własnością gminy Lourdes, przeto burmistrz, jako administrator tejże, mógł zakazać przystępu do nich pod jakimkolwiek pozorem, albo nawet bez pozoru.

Tem zręcznem rozporządzeniem zamieniłoby się fakt niewinny sam w sobie w czyn karygodny. Wszystkie myśli barona Massy skupiły się w koło tego zamiaru. Prefekt postanowił wystąpić despotycznie.

Nazajutrz burmistrz Lourdes otrzymał rozkaz wydania następującego wyroku:

Burmistrz miasta Lourdes,

Zważywszy instrukcye, otrzymane od wyższej władzy;

Zważywszy ustawy z 14—22 grudnia 1789, z 16—24 sierpnia 1790, z 19—22 lipca 1791 i z 18 lipca 1837 r. o administracyi miejskiej;

Zważywszy iż *w interesie religii* chodzi o to, aby położyć koniec *pożałowania godnym* scenom, jakie się odbywają w grocie Massabielle, położonej w Lourdes na lewym brzegu Gawy;

Zważywszy z drugiej strony, że *obowiązkiem burmistrza jest czuwać nad zdrowiem ludności miejscowej;*

Zważywszy, że znaczna liczba osób mu podwładnych i obcych przychodzi czerpać wodę z źródła wymienionej groty;

Zważywszy że zachodzą *poważne przyczyny do przypuszczania, iż ta woda zawiera pierwiastki mineralne* i że przezorność każe przed pozwalaniem na używanie jej zaczekać, dopoki naukowe badanie nie ogłosi sposobu zastósowania tejże w medycynie, że zresztą *prawo oddaje użytek wód mineralnych do upoważnienia ze strony rządu,*
rozporządza:

Artykuł I.

Nie wolno czerpać wody z wzmiankowanego źródła.

Artykuł II.

Nie wolno również przechodzić przez grunta gminne, zwane brzegiem Massabielle.

Artykuł III.

Przy wejściu do groty umieści się baryerę, by bronić wstępu do niej. Zostaną również umieszczone tablice z napisem: *Nie wolno wchodzić do tej własności.*

Artykuł IV.

Wszelkie przekroczenie niniejszego rozporządzenia będzie karane wedle prawa.

Artykuł V.

Pan komisarz policyi,
Żandarmerya,
Stróże polni,
Władze gminne

otrzymują zlecenie wykonania niniejszego rozporządzenia.

Dan w Lourdes, w gmachu magistratu, 8 czerwca 1858 r.

Burmistrz *A. Lacadé.*

Podp. Prefekt O. Massy."

V.

Nie bez pewnego wahania zgodził się pan Lacadé na podpisanie podobnego rozporządzenia i na wykonanie podobnego przepisu. Jego natura niezdecydowana, lubiąca pływać między dwoma wodami, musiała się wzdrygnąć przed aktem tak wyraźnie wrogim dla nieznanej mocy, która kierowała wszystkiemi wypadkami w grocie. Z drugiej strony burmistrz lubił swoje funkcye, a chcąc pogodzić wszystko, zażądał także podpisu pana Massy pod owo rozporządzenie.

— W ten sposób, — rozumował pan burmistrz, — nie ponoszę odpowiedzialności w obec publiczności i w obec siebie samego, pozostaję biernym. Nie rozkazuję, lecz słucham, nie wydaję rozkazu, lecz go otrzymuję.

Uspokoiwszy się w ten sposób, p. Lacadé czuwał nad wykonaniem rozporządzenia pana prefekta. Kazał je ogłosić przy odgłosie bębna i porozlepiać w całem mieście. Równocześnie pod osłoną siły zbrojnej i kierownictwem Jacometa wzniesiono balustradę w około skał Massabielle tak, aby nikt nie miał przystępu do groty i cudownego źródła. Tu i owdzie umieszczono słupy z odnośnemi napisami. Policyanci

czuwali dzień i noc, zmieniając się co godzinę i zapisując każdego, ktoby przyszedł pomodlić się do groty.

VI.

W Lourdes mieszkał sędzia nazwiskiem Duprat. Był on równie zawzięty na „zabobon“, jak Jacomet, Massy i inni urzędnicy. Ten sędzia, nie mogąc w tych okolicznościach skazywać oskarżonych na większą karę, wymyślił środek, któryby mu pozwolił obostrzyć karę na tych biedaków, którzy ze wszech stron przybywali modlić się do Najświętszej Panny w grocie, jeden o przywrócenie straconego zdrowia, inny o wyleczenie ukochanego dziecka, trzeci o jaką łaskę duchową, lub pociechę we wielkiem cierpieniu.

Pan Duprat skazywał tych zbrodniarzy na pięć franków kary. Ale pomysłowy pan sędzia obejmował jednym wyrokiem tych wszystkich, którzy przekroczyli zakaz prefektoryalny, czy to biorąc udział w tłumie, czy też udając się na sam do groty w ciągu tego samego dnia. Tych wszystkich skazywał on na karę zobopólną, tak że jeżeli sto lub dwieście osób podążyło do skał Massabielle, każda z nich była wystawioną na zapłacenie kary nie tylko za siebie, lecz za innych. Pan Duprat był wszechpotężnym i w ten sposób korzystał ze swej władzy.

Tak brutalne wmieszanie się władzy do zajść nad brzegiem Gawy oznaczało nietylko zaprzeczenie zdarzenia nadprzyrodzonego, ale nawet zaprzeczenie możliwości jego. Gdyby choć na chwilę przypuszczono prawdopodobieństwo objawienia, natenczas przepisy administracyjne byłyby innemi, byłyby miały na celu badanie, gdy tymczasem widocznie zmierzały do stłumienia kwestyi całej.

Jeden fakt był jak najpewniejszy, t. j. uzdrowienia, które stwierdzili sami nawet niedowiarkowie, chociaż starali się wytłomaczyć je w sposób naturalny.

Świadków rzetelnych, którzy zostali uzdrowieni za pomocą wody w grocie, był cały zastęp i nie znalazł się ani jeden, któremu użycie wody ze źródła byłoby zaszkodziło w jakikolwiek sposób. Dla czegóż zatem wydano ów zakaz, po cóż te baryery, siła zbrojna, pogróżki i prześladowania? To pytanie stawiano sobie ze wszech stron.

KSIĘGA SIÓDMA.

I.

Duchowieństwo i nadal trzymało się zdala od całego ruchu. Rozporządzenia X. Biskupa pod tym względem zachowywano ściśle w całej dyecezyi.

Ludność, wzburzona prześladowaniami administracyi zwracała się lękliwie ku władzy duchownej, spodziewając się energicznego protestu ze strony Biskupa przeciw temu gwałtowi, jaki zadawano religijnej wolności jego owieczek.

Ale X. Biskup zachowywał zupełne milczenie. Co więcéj prefekt ogłaszał w dziennikach, że działał w porozumieniu z władzą duchowną i ku ogólnemu zdumieniu X. Biskup nie zaprzeczył temu twierdzeniu. Lud zatrwożył się.

Jakie były przyczyny tego milczenia wysokiej Władzy duchownej? Czy to była mądrość Boska, czy roztropność ludzka?

X. Biskup nie tylko wahał się we wypowiedzeniu swego zdania ale nadto ociągał się z zarządzeniem śledztwa w tej sprawie. Jako Biskup katolicki, troskliwy o godność Kościoła, obawiał się zachwiać powagę Matki rodu ludzkiego, poddając przedwcześnie nadzwyczajne zdarzenia w grocie badaniom wszelkiego rodzaju, fakta, których sam nie znał dokładnie. Lud posiadał cnotę wiary, Biskup

cnotę przezorności. Bóg chciał, aby Kościół w osobie Biskupa wstrzymał się od przyjęcia na siebie roli czynnej i aby ukazał się dopiero w ostatniej chwili, by obwieścić prawdę.

II.

Tłumy mniej spokojne i mniej cierpliwe od Biskupa, wzruszone widokiem licznych uzdrowień cudownych, które się mnożyły, nie pozwalały powstrzymać się gwałtownemi rozporządzeniami administracyi.

Najodważniejsi, nie zważając na sądy i kary, przechodzili baryery i modlili się przed grotą, rzuciwszy swe nazwisko stróżom, pilnującym wejścia na grunta miejskie.

Jakkolwiek w swej gorliwości wielu wiernych chętnie narażało się na niebezpieczeństwo, aby publicznie pomodlić się do Najświętszej Panny, to mądrość prawnicza pana Duprat, który mógł pomnożyć karę pięciu franków do sum ogromnych, odstraszała ludność. Dla wielu tak wysoka kara byłaby oznaczała zupełną ruinę.

Dla tego też większa część starała się unikać baczności władzy prześladowczej.

Pogłoski fałszywe, lecz zręcznie rozsiewane i łatwo przyjmowane przez tłumy, wspominały o więzieniu dla przestępców. Starano się wzbudzać obawę zmyślonemi groźbami.

W tym czasie Bernadeta, trapiona astmą, zmęczona zapewne także tylu odwiedzinami obcych ludzi, zapadła na zdrowiu.

W szczerej chęci uspokojenia umysłów i oddalenia wszelkiej przyczyny wzburzenia, X. Biskup skorzystał z tej sposobności, aby poradzić rodzicom Bernadety, by ją wywieźli z Lourdes do poblizkich kąpieli w Cauterets. Był to jedyny sposób, aby uwolnić dziewczynkę od odwiedzin, pytań, opowiadań, któ-

rych wszyscy byli ciekawi. Rodzice, niespokojni o Bernadetę, uważali, że te bezustanne wizyty wyczerpywały dziewczynkę, oddali ją więc pod opiekę ciotki, która także jechała do Cauterets. Tam Bernadeta piła wody przez trzy tygodnie wśród ciszy i spokoju.

III.

W miarę jak się zbliżał koniec czerwca, rozpoczynał się wielki sezon kąpielowy u wód pyrenejskich. Bernadeta powróciła do Lourdes do rodziców.

Ze wszystkich stron przybywali goście kąpielowi, turyści, ciekawi, badacze z różnych zakątków Europy. Te ponure góry, samotne przez resztę roku, zaludniały się zwolna gośćmi, należącymi po większej części do sfer wyższych. To towarzystwo tak różnorodne przedstawiało wszelką wiarę i niewiarę, wszelką filozofią, wszystkie opinie i systemy. Była to Europa w streszczeniu i skróceniu.

Ze wszystkich okolicznych miejsc kąpielowych napływano do Lourdes. Większa część przybyłych nie zważała na przepisy, udając się do groty, jedni z pobożności, inni z ciekawości. Bernadeta miała mnóstwo wizyt. Zwolna zaczęło się wyrabiać zdanie o zajściach w grocie, nie zdanie małego zakątka, lecz opinia Francyi i Europy, reprezentowanych wśród tych gór przez ludzi wszystkich sfer, wszystkich poglądów i wszystkich narodów.

Przepisy i gwałty barona Massy potępiano głośno i uznawano za bezprawne. Bywały chwile, w których gorliwość policyi i cywilna odwaga samego Jacometa były wystawione na ciężką próbę. Znakomite osobistości przekraczały baryerę.

Pewnego dnia zatrzymują jakiegoś przybysza o wyrazistych rysach, który zbliżył się do baryery z widocznym zamiarem przejścia do skał Massabielle.

— Nie wolno przechodzić.

— Przekonacie się, że wolno, odpowiada nieznajomy, wchodząc spokojnie na grunta miejskie i zwracając się w stronę groty.

— Pańskie nazwisko! Spisuję protokół.

— Nazywam się Ludwik Veuillot — odpowiada cudzoziemiec.

Podczas kiedy rozprawiono się z sławnym pisarzem, dama jakaś przekroczyła baryerę i uklękła przy grocie. Przez szpary w deskach, któremi zabito wejście do groty, spoglądała na cudowne źródełko i modliła się gorąco.

Ta kobieta na klęczkach nie uszła bacznego oka policyi.

Argus porzuca więc czemprędzej Veuillota i biegnie do modlącej się pani.

— Pani — odzywa się — nie wolno modlić się tutaj. Chwytam panią na gorącym uczynku, odpowiesz pani za to przed sędzią pokoju. W imię prawa spisuję protokół. Nazwisko pani?

— Chętnie — odpowiada dama — jestem admirałowa Bruat, ochmistrzyni Jego Książęcej Mości, syna cesarskiego.

Ów straszliwy Jacomet złagodniał jak baranek i nie spisał protokółu.

Podobne sceny powtarzały się często.

IV.

W dniu 16 lipca, w uroczystość Matki Boskiej Szkaplerznej, Bernadeta usłyszała znowu głos wewnętrzny, który ją powoływał. Zaledwie dziecko uklękło na brzegu Gawy naprzeciwko groty i zaczęło odmawiać różaniec, kiedy ujrzała Zjawisko.

Gawa, dzieląca Bernadetę od groty, przestała niejako istnieć w oczach dziewczynki. Widziała przed sobą tylko skałę, która jej się zdawała równie blizką, jak dawniej i Dziewicę, która się do niej

uśmiechała dobrotliwie, nic nie mówiąc. Po pewnym przeciągu czasu Zjawisko skinęło głową na dziecko, jakby na znak pożegnania i zniknęło w przestrzeni.

Było to ośmnaste z rzędu widzenie i miało być ostatnie.

Wiele osób znakomitych z świata katolickiego znajdowało się w tym czasie w owych stronach. Wszyscy badali nadzwyczajne zajścia w grocie, wszyscy widzieli i wypytywali Bernadetę, wszyscy wierzyli jej słowom. Wymieniano nawet pewnego bardzo szanowanego Biskupa, który tak był wzruszony prostotą i niewinnością dziecka, iż prosił Bernadetę, aby mu pobłogosławiła i modliła się za niego, lecz dziewczynka z pokorą upadła na kolana, dopraszając się błogosławieństwa X. Biskupa, który jej go udzielił ze łzami w oczach.

Wszystkie poprzednio opisane zdarzenia, świadectwa tylu osób znakomitych, ich silne przekonanie o prawdziwości faktów, wszystko to wywarło wrażenie na umyśle X. Biskupa z Tarbes. Uznał on, że nadeszła godzina działania i porzucił dotychczasowe milczenie. W dniu 28 lipca wydał on następujące rozporządzenie, które w całej dyecezyi wywarło wrażenie nadzwyczajne:

„Bertrand Seweryn Wawrzyniec, z miłosierdzia Bożego i łaski Stolicy św. apostolskiej Biskup z Tarbes.

Do Duchowieństwa i Wiernych naszej dyecezyi błogosławieństwo i pozdrowienie w Panu Naszym Jezusie Chrystusie!

Fakta wielkiego znaczenia, odnoszące się do religii, poruszające całą dyecezyą i rozbrzmiewające daleko, zdarzyły się w Lourdes od 11 lutego b. r.

Bernadeta Soubirous, dziewczynka z Lourdes, licząca lat 14, miała widzenie w grocie Massabielle, położonej na zachodzie tego miasta; Niepokalana Dziewica miała jej się ukazać. Źródło tam wypły-

nęło. Woda z tego źródła, używana jako napój lub do obmywania, miała wywołać znaczną liczbę uzdrowień: uzdrowienia te uznano za cudowne. Ludzie przychodzili i przychodzą jeszcze tłumnie, czy to z naszej dyecezyi, czy z dyecezyi sąsiednich, szukać w tej wodzie uzdrowienia dla swych różnych cierpień, modląc się do Niepokalanej Dziewicy.

Władza świecka zajęła się tem.

Ze wszech stron i od ostatniego marca żądają, aby władza duchowna orzekła swe zdanie o tej pielgrzymce improwizowanej.

Sądziliśmy najprzód, iż nie nadeszła chwila do zajmowania się skutecznie tą sprawą. Żeby wydać sąd, jakiego oczekują od nas, należało postępować z przezornością, powolnością, nie ufać zapałom pierwszych dni, pozwolić się uspokoić umysłom, pozostawić czas rozmysłowi i czekać wyjaśnienia w bacznem i rozumnem badaniu.

Trzy klasy osób żądają naszego postanowienia, lecz z odrębnych przyczyn.

Najprzód ci, którzy odmawiając wszelkiego badania, widzą w wypadkach groty i w uzdrowieniach, przypisywanych wodzie źródła, tylko zabobon, kuglarstwo i środek tumanienia. To pewna, że nie możemy dzielić ich zdania *a priori* i bez poważnego zbadania; ich pisma głosiły i to bardzo hałaśliwie, że to zabobon, gusła, zła wiara; zapewniały, że fakta w grocie czerpały swe pochodzenie w interesowności, w grzesznej chciwości i przez to obrażały uczucia moralne naszej ludności chrześciańskiej.

Przyznajemy, że zaprzeczanie wszystkiego, podsuwanie intencyi jest rzeczą najłatwiejszą, by rozwiązać trudności; ale oprócz tego, iż to nie jest zbyt rzetelnem, jest to nierozsądnem i bardziej nadającem się do rozdrażnienia umysłów, aniżeli do przekonania ich. Zaprzeczać możliwości wypadków nadprzyrodzonych, znaczy to naśladować przestarzałą szkołę, zna-

czy zapierać się religii chrześciańskiej i iść śladami niewierzącej filozofii ostatniego stulecia. Nie możemy, my katolicy, ani szukać rady w tym razie u osób, które odmawiają Bogu możności czynienia wyjątków w ogólnych regułach, jakie ustanowił w rządzeniu światem, dziełem swych rąk, ani wdawać się z niemi w rozprawy, aby dojść do tego, czy taki a taki fakt, jest nadprzyrodzony, zważywszy, że *z góry* głoszą, iż rzeczy nadprzyrodzone są niemożliwe. Czy to znaczy, że odrzucamy o faktach, o jakie chodzi, wszelką dyskusyą obszerną, szczerą, sumienną oświeconą blaskiem nauki i postępu? Nie, zaiste nie, pragniemy jej owszem z całego serca. Chcemy, aby fakta te poddano najprzód pod surowe reguły pewności, jaką przyjmuje zdrowa filozofia; aby następnie dla orzeczenia, czy te fakta są nadprzyrodzonemi i boskiemi, zawezwano do dyskusyi nad temi ważnemi i trudnemi zagadnieniami mężów biegłych w nauce teologii mistycznej, medycyny, fizyki, chemii, geologii itd. itd.; wreszcie, aby nauka wydała sąd swój. Życzymy sobie przedewszystkiem, aby nie pominięto żadnego środka, by dojść prawdy.

Istnieje inna klasa ludzi, którzy nie pochwalają ani nie ganią faktów, o których mowa, ale którzy sąd swój powstrzymują; zanim zdanie swoje objawią, pragną oni poznać decyzyą władzy kompetentnej i dopraszają jej się całem sercem.

Jest wreszcie trzeci jeszcze rodzaj ludzi, bardzo liczny, którzy już o faktach zajmujących nas wyrobili sobie przekonanie, jakkolwiek przedwczesne. Czekają oni z wielką niecierpliwością, aby biskup dyecezyi orzekł pierwszy zdanie swoje w tej tak ważnej sprawie. Jakkolwiek z naszej strony spodziewają się wyroku przychylnego ich pobożnym uczuciom, to znamy przecież dostatecznie ich posłuszeństwo w obec Kościoła, aby mieć przekonanie, iż sąd nasz, jakkolwiekby on wypadł, przyjmą, gdy zostanie ogłoszony.

Aby więc oświecić tyle tysięcy wiernych, aby uczynić zadość potrzebie publicznej, uspokoić niepewności i ukoić umysły, ulegamy dzisiaj prośbom, które ponawiają się oddawna ze wszech stron, żądamy oświecenia w sprawach, które w najwyższym stopniu zajmują wiernych, chwałę Maryi i samą religią. Postanowiliśmy w tym celu wyznaczyć w dyecezyi stałą komisyą, aby zebrała, i stwierdziła fakta, jakie się zdarzyły, albo które mogłyby jeszcze zajść w grocie miasta Lourdes lub za jej przyczyną, aby nam o nich donosiła, opisała nam ich znamiona i w ten sposób dostarczyła koniecznych danych do rozstrzygnięcia sprawy.

W tym celu,

Wezwawszy Najświętsze Imię Boże,

Rozporządziliśmy i rozporządzamy, co następuje:

Art. I. Ustanawia się w dyecezyi Tabes komisyą, aby zbadać:

1) Czy uzdrowienia dokonały się przez używanie wody z groty w Lourdes, czy przez napój, czy przez obmywanie i czy te uzdrowienia można wytłomaczyć sposobem przyrodzonym, lub czy też należy je przypisać przyczynom nadprzyrodzonym;

2) Czy widzenia, które miało mieć w grocie dziecko Bernadeta Soubirous, są rzeczywiste i w takim razie czy można je wytłomaczyć w sposób naturalny, albo czy noszą na sobie znamię nadprzyrodzone;

3) Czy istota widziana wyrażała żądania, czy objawiła jakieś zamiary dziecku; czy ono miało je udzielić komu; i jakie są te żądania lub intencye objawione?

4) Czy źródło, które płynie w grocie dzisiaj, istniało przed widzeniem, jakie miała mieć Bernadeta Soubirous.

Art. II. Komisya przedłoży nam tylko fakta, stwierdzone pewnemi dowodami; składać nam będzie

o tych zajściach raporty, zawierające jej zapatrywanie.

Art. III. XX. dziekani i proboszczowie będą głównym korespondentami komisyi; uprasza ich się, aby jej donosili:

1) O faktach, jakie się zdarzą w ich odnośnych dekanatach;

2) O osobach, któreby mogły złożyć świadectwo o istnieniu tych faktów;

3) O tych, którzy swą nauką mogliby oświecić komisyą;

4) O lekarzach, którzy leczyli chorych przed ich uzdrowieniem.

Art. IV. Po zasięgnięciu informacyi komisya będzie mogła przystąpić do badania. Świadectwa odbierać się będą pod przysięgą. Kiedy badania odbywać się będą na miejscu, udadzą się tam najmniej dwaj członkowie komisyi.

Art. V. Polecamy komisyi gorąco, aby powoływała często do swego grona ludzi wytrawnych w sztuce lekarskiej, fizyce, chemii, geologii itd. itd., aby słyszeć ich rozprawiających o trudnościach, któreby mogły należeć do ich wydziału z pewnego punktu widzenia i aby poznać ich zapatrywanie. Komisya nie powinna zaniedbywać niczego, aby się oświecać i dojść do jądra prawdy, jakąkolwiekby ona była.

Artykuł VI. Komisya składa się z dziewięciu członków kapituły naszej katedry, z przełożonych Wielkiego i Małego seminaryum, z przełożonego misyonarzy dyecezyi, z proboszcza w Lourdes i z profesorów dogmatyki moralnej i fizyki naszego seminaryum. Profesor chemii naszego Małego seminaryum często będzie zapytywany o zdanie.

Artykuł VII. X. kanonika Nogaro mianuje się przewodniczącym komisyi, XX. kanoników Tobariès

i Soulé wice-prezesami. Komisya wybierze sekretarza i dwoch wice-sekretarzy ze swego łona.

Artykuł VIII. Komisya rozpocznie swe prace natychmiast i zbierać się będzie tak często, jak to uzna za potrzebne.

Dan w Tarbes, w naszym pałacu biskupim pod naszym podpisem i pieczęcią i podpisem naszego sekretarza, dnia 28 lipca 1858 roku.

† Bertrand, Biskup z Tarbes.

Z polecenia
Fourcade, kanonik-sekretarz."

Zaledwie X. Biskup wydał to rozporządzenie, nadszedł do niego list pana Roulanda, ministra wyznań. Jego Ekscelencya zaklinał Jego Biskupią Mość, aby powstrzymał ruch.

Aby dobrze zrozumieć słowa tego listu, trzeba nam się cofnąć nieco wstecz.

V.

Kilkoro dzieci w Lourdes zaczęło opowiadać, iż miały podobne widzenia, jak Bernadetta. Czy policya albo administracya podmówiła te dzieci, czy też były niewinnemi ofiarami ogólnego podejrzenia, niewiadomo. Dość, że Jacomet, Massy i ich przyjaciele starali się wyzyskać te dziecińtwa. Usiłowali oni zwrócić uwagę tłumów w tę stronę, aby ją odwrócić od wypadków w grocie.

Nagłe zniknięcie widzeń fałszywych zaraz w początku zawiodło nadzieje wielkich taktyków wolnomyślnych.

Zdrowy rozsądek publiczności nie pozwolił się otumanić. Tymczasem panowie Massy, Jacomet i towarzysze przesłali ministrowi wyznań fantastyczny opis tych zajść dziecinnych. Pan Rouland nie wierzył w objawienia Najświętszej Panny w Lourdes,

ale za to wierzył ślepo raportom urzędowym. Ci panowie zatem donieśli mu, że dzieci odprawiały nabożeństwa w grocie, że lud, reprezentowany przez istoty złego życia, wieńczył je kwiatami itd. Nie taili oni także bezsilności gwałtownych przepisów. Wedle nich siła materyalna była pokonaną, a władza świecka podkopaną. Władza duchowna jedynie mogła ocalić położenie energicznem wystąpieniem przeciw zabobonom tłumów.

Pan minister nie badał, czy te sprawozdania zgadzały się ściśle z istotnym stanem rzeczy, lecz przyjął z naiwnością bynajmniej nie ministeryalną bajki policyi i prefekta. Pan Rouland, oceniwszy położenie z głębi swego gabinetu, przesłał X. Biskupowi list następujący:

„JWny X. Biskupie! Nowe informacye, które otrzymuję w sprawie zajść w Lourdes, wydają mi się zdolnemi zasmucić głęboko wszystkich ludzi prawdziwie religijnych. Owe poświęcania różańcy przez dzieci, owe manifestacye, przy których spostrzega się w pierwszym rzędzie kobiety z dwuznacznemi obyczajami, owe wieńczenia jasnowidzących, fantastyczne ceremonie, istna szykana obrzędów religijnych, nie omieszkałyby dostarczyć powodu protestanckim i innym pismom do zaczepek, jeżeliby się w to nie wdała władza centralna, by złagodzić zapał ich polemiki. To skandaliczne zajścia ujmę przynoszą religii w oczach ludu i uważam sobie za obowiązek, zwrócić baczną uwagę JWgo Xięcia Biskupa na owe fakta...

Te pożałowania godne demonstracye powinnyby także pobudzić duchowieństwo do zaniechania milczenia, jakie zachowywało dotąd. Nie mogę zresztą w tym względzie postąpić inaczej, jak odwołać się naglące do całej roztropności i całej stanowczości JWgo X. Biskupa, prosząc Go, aby, jeśli uzna za

odpowiednie, zgromił publicznie podobne profanacye. Racz JWny X. Biskup przyjąć itd.

Minister nauki publicznej i wyznań.
Rouland."

VI.

Orędzie to nadeszło do X. Biskupa właśnie w chwili, kiedy co dopiero wydał znane czytelnikowi rozporządzenie i ukonstytuował komisyą śledczą w sprawie nadzwyczajnych zdarzeń, które dopuściła wszechmoc Boża.

Jakkolwiek musiał być zdziwiony i oburzony bajkami, które mu poczciwy minister podawał poważnie jako prawdę, umiał jednakże X. Biskup odpowiedzieć spokojnie na list Jego Excelencyi. Nie orzekając jeszcze nic o rzeczy samej, której w swej przezorności nie chciał w niczem przesądzać, stwierdził dokładność faktów, tak haniebnie przekręconych. Z wielką jasnością i zupełną szczerością wyłuszczył on sposób postępowania swego i duchowieństwa do tego czasu, aż wreszcie wzrastająca fala wypadków zmusza go do wmieszania się i zamianowania komisyi śledczej. Ministrowi, który nie badawszy nic, mówił mu: „potępiaj," odpowiedział: „Badam."

„Panie ministrze — pisał Biskup — wielkie było zdziwienie moje, gdym przeczytał Pańskie orędzie. I ja również jestem poinformowany o tem, co się dzieje w Lourdes i jako Biskup mam w tem żywy interes, by zgromić to, coby mogło dotykać religią i wiernych. Mogę Pana zapewnić, że sceny, o których mi Pan donosisz, nie odbyły się tak, jak Pana poinformowano i że jeżeli zaszły jakie pożałowania godne wypadki, to były one chwilowe i nie pozostawiły żadnych śladów.

Fakta, o jakich Wasza Ekscelencya wspominasz, miały miejsce po zamknięciu groty i w pierwszym

tygodniu lipca. Dwoje lub troje dzieci z Lourdes udawało, iż miały widzenia i zaczęły dopuszczać się jakichś wybryków na ulicy. Ponieważ, jak powiedziałem grota była zamknięta, znalazły one sposób wejścia do niej i ofiarowały swoje usługi przybywającym, którzy zatrzymywali się przy baryerze, by różańcami dotknąć groty i odbierać ofiary, które sobie przywłaszczały. Jedno z nich, które odznaczało się wybrykami, niekiedy mało przyzwoitemi, należało do chóru kościoła w Lourdes. X. proboszcz złajał je surowo, wydalił z katechizmu i wykluczył ze służby kościelnej. Publiczność widziała w tem tylko pustotę dziecinną, którą usunęło kilka pogróżek. Oto są fakta, jakie osoby zbyt gorliwe w swych raportach przedstawiły jako sceny trwałe.

Cieszyłbym się bardzo, gdybyś Pan minister raczył zasięgnąć informacyi o tem, co się dzieje w Lourdes u osób wiarogodnych, które zatrzymały się w tem mieście, aby zobaczyć te miejsca, rozmówić się z dzieckiem, które miewało widzenia, słyszeć zdanie mieszkańców, jak np. Ich Biskupie Mości z Montpellier i Soissons, X. Arcybiskupa z Auch, p. Vène, inspektora wód kąpielowych, panią admirałową Bruat, pana Ludwika Veuillot itd. itd.

Duchowieństwo nie trzymało się zdala, obojętne na zajścia w grocie. Kapłani z miasta zachowali przedziwną przezorność, nie chodząc nigdy do groty, aby nie potwierdzać swe obecnością pielgrzymek, popierając właśnie przepisy władzy. Wszelako doniesiono Waszej Ekscelencyi, jakoby oni popierali zabobon. Nie oskarżam bynajmniej pierwszego urzędnika w departamencie, którego zamiary zawsze były prawe, ale w tej sprawie miał on zupełne zaufanie do swych podwładnych...

W odpowiedzi mojej do pana prefekta pod dniem 11 kwietnia, którą przesłano panu ministrowi, ofiarowałem rzetelną pomoc moją temu urzędnikowi,

by sprawę doprowadzić do pomyślnego zakończenia. Ale nie mogłem, jak sobie tego życzono, potępić z kazalnicy chrześciańskiej, bez zbadania, bez śledztwa, bez widocznej przyczyny, osób, które przybywały modlić się w grocie, ani nie mogłem zabraniać im do niej przystępu, zwłaszcza, iż nie zaszedł żaden nieporządek, jakkolwiek w pewnych dniach przychodziły tam tysiące. Oprócz tego, iż Kościół uzasadnia zawsze obronę swoją i że nie byłem dostatecznie poinformowany, miałem także pewność, iż w chwili podniecenia umysłów nie słuchanoby słów moich. Pan prefekt, będąc w Lourdes na zebraniu w dniu 4 maja, nakazał zabrać przedmioty i godła religijne, które się znajdowały w grocie i w mowie, jaką wygłosił do merów zgromadzonych, oświadczył, iż krok ten przedsięwziął w porozumieniu z Biskupem dyecezyi, które to twierdzenie powtórzył w kilka dni później dziennik prefektury. Dowiedziałem się o tem przepisie z gazet i od X. proboszcza z Lourdes. Nie omieszkałem napisać do tego ostatniego, aby kazał uszanować rozkazy pana prefekta; nie skarżyłem się ani wtenczas, ani później na to, iż miałem uczestniczyć w przepisie, jakiego nie znałem wcale. Jakkolwiek otrzymywałem wiele listów, które mię wzywały, bym protestował, powstrzymałem się, nie chciałem powikłać położenia jeszcze bardziej.

Kiedy zabrano przedmioty dewocyjne z groty, mogliśmy się spodziewać, że odwiedziny zmniejszą się zwolna i że ta pielgrzymka urządzana bez przygotowania, ustanie wreszcie. Publiczność twierdziła słusznie czy niesłusznie, że woda, płynąca w grocie, dokonywała cudownych uzdrowień; zbiegowisko stawało się coraz liczniejsze, przechodzono tłumnie z sąsiednich departamentów.

W dniu 8 czerwca burmistrz z Lourdes wydał rozkaz, zabraniający przystępu do groty. Przepisy wydano w interesie religii i zdrowia publicznego.

Jakkolwiek wysunięto religią naprzód i nie zapytano się Biskupa, ten ostatni nie zaniósł żadnego protestu, zachował milczenie z powodów wyżej wyłuszczonych.

Pan minister widzisz z tych kilku szczegółów, że usunięcie się duchowieństwa nie było zupełnem w tym razie. Mojem zdaniem było ono tylko przezornem. Kiedy mogłem, popierałem rozporządzenia wydane przez władzę świecką, a jeżeli one nie zawsze skutkowały, nie należy za to składać winy na Biskupa.

Dzisiaj, ustępując żądaniom, wyrażanym ze wszech stron, uznałem, iż nadeszła pora, by się zająć skutecznie tą sprawą. Wyznaczyłem komisyą, aby zebrać materyały potrzebne do powzięcia decyzyi w sprawie, która porusza kraj cały i która wedle informacyi, jakie mię dochodzą, zdaje się zajmować całą Francyą. Mam zaufanie do wiernych, iż przyjmą uchwałę z poddaniem się, ponieważ wiedzą, iż nie zaniedbam niczego, aby dojść prawdy. Ta komisya pracuje od kilku dni, postanawiam ogłosić moje rozporządzenie za pomocą prasy w nadziei, że ono przyczyni się do uspokojenia umysłów, zanim uchwała zapadnie.

Będę miał zaszczyt przesłać jeden egzemplarz Waszej Excelencyi za dni kilka.

Pozostaję i t. d.

Biskup z Tarbes.“

Tak brzmiał list X. Biskupa do pana Roulanda. Był jasny i zrozumiały i nie potrzebował odpowiedzi. Minister wyznań nie odpowiedział na niego nic.

VII.

W chwili, w której X. Biskup w imieniu religii nakazywał zbadanie tych dziwnych wypadków, które władza świecka potępiła, nie racząc ich badać wcale, tego samego dnia, w którym odszedł list Biskupa do ministra, pan Filhol, znakomity profesor che-

mii w Tuluzie, wydawał sąd naukowy o wodzie z groty. Sumienna i wykończona praca wielkiego chemika druzgotała urzędową analizę uczonego chemika prefektury, o której pan Massy tyle głosił.

„Niżej podpisany — stwierdzał p. Filhol — profesor chemii przy fakultecie Tuluzy, profesor farmacyi, toksykologii przy szkole lekarskiej tegoż miasta, rycerz legii honorowej, potwierdza, iż zbadał wodę, pochodzącą ze źródła, które wytrysnęło w okolicy Lourdes...

Z badania tego wynika, że woda groty w Lourdes ma składniki takie, iż można ją uważać za wodę do picia, podobną do wody, jaką się spotyka w górach...

Skutków nadzwyczajnych, jakie zapewniają, iż otrzymano przez używanie tej wody, nie można, przynajmniej w obecnym stanie nauki, wytłomaczyć właściwością soli, której istnienie analiza rozróżnia.

Woda ta nie zawiera żadnego pierwiastku, zdolnego nadawać jej wyraźne właściwości lecznicze. Można ją pić bez obawy.

Tuluza, 7 sierpnia 1857 r.

Podp. Filhol.“

A zatem w obec badania słynnego chemika rozpadał się cały aparat, na którym liberałowie, mędrkowie i prefekt z takim trudem zbudowali swoje teorye o uzdrowieniach nadzwyczajnych. Prawdziwa nauka orzekła, iż woda groty nie jest mineralną, że nie ma żadnej właściwości leczniczej.

KSIĘGA OSMA.

I.

Rozporządzenie X. Biskupa, ustanawiające komisyą śledczą i analiza pana Filhola odbierały panu baronowi Massy, panu Roulandowi i Jacometowi wszelki pozór do wykonywania gwałtów, do utrzymywania straży przy grocie.

Nieprzyjaciele „zabobonu“ chwycili się ostatniej broni. Jeżeli bitwa zdawała się być przegraną w Pyreneach, to może udałoby się odzyskać stracone stanowisko i pozyskać w Paryżu i Europie opinią publiczną, zanim towarzystwo międzynarodowe podróżnych i gości kąpielowych, powracając do swych ognisk domowych, nie rozprzestrzeni swych wrażeń i sądów. Zorganizowano zupełną wyprawę za pomocą bezbożnej prasy w Paryżu, na prowincyi i za granicą przeciwko wypadkom w Lourdes i rozporządzeniom X. Biskupa.

Podczas kiedy przywódzcy „wolnej myśli“ staczali decydującą walkę, prefekt otrzymał wskazówkę, aby nie ustąpić ani na włos w obec nieprzyjaciela. Pisma wrogie religii zaczęły przekręcać fakta, zaczepiając cuda w zasadzie. Co do uzdrowień cudownych, to pozbywano ich się jednem słowem, że hydropaci także twierdzą, iż dokonują świetnych uzdrowień za

pomocą czystej wody. Jakieś pismo holenderskie donosiło, że Bernadeta nie jest niewinną pasterką, ale mieszczanką bardzo przebiegłą, która spędziła kilka miesięcy w klasztorze, gdzie ją wyuczono roli, jaką miała odegrać. Tam przed kilku kumoszkami odbywano próby przed publicznem wystąpieniem.

Pisma szczerze katolickie odpierały dzielnie wszystkie napaści. Potężne talenta oddały się na usługi prawdzie, prasa chrześciańska walczyła skutecznie przeciwko fanatyzmowi filozoficznemu. Toczyła się żywa utarczka na pióra. Z jednej strony katolicy domagali się rzetelnego zbadania sprawy, z drugiej rzekomi filozofowie drżeli przed światłem. Jedni wołali: „Niech się rozpocznie śledztwo!“, drudzy: „Niech ustanie wszelka dyskusya!“

Jakkolwiek w osobie komisarza, prefekta i ministra władza świecka w tej sprawie występowała z całą namiętnością, to jednakże istniał mąż potężny, który zajął stanowisko bezstronne. Tym mężem był Napoleon III, cesarz Francyi.

II.

Polemika dzienników w sprawie groty była wyczerpana. Nędzne sofizmaty zaciekłości antychrześciańskiej nie ostały się w obec poważnej logiki pism katolickich. Z Włoch, z Niemiec, z dalekich okolic pisywano do Lourdes z prośbą o przysłanie odrobiny wody z cudownego źródła.

Jacomet nie przestawał pilnować groty i wodzić wiernych przed trybunały. Coraz bardziej zrozpaczony, widząc jak mu się grunt usuwa pod nogami, pan prefekt oddawał się przyjemności tyranizowania. Miło mu było czuć się silniejszym od tłumów, od biskupa, od zdrowego rozumu, od cudów i od Pana Boga w grocie.

W takich okolicznościach Xiądz Arcybiskup z Auch i inna znakomita osobistość udali się do cesarza, który właśnie znajdował się w Biarritz. Napoleon III równocześnie otrzymał mnóstwo podań, proszących usilnie o zniesienie rozporządzeń gwałtownych pana prefekta.

Napoleon był małomówny, rzadko kiedy wyrażał myśl swoją słowami. Objawiała się ona w czynie. Dowiedziawszy się o niedorzecznych rozporządzeniach, któremi minister, prefekt i ich agenci podkopywali powagę władzy, rozgniewał się bardzo. Oczy jego zabłysły, wzruszył ramionami i wyraz wielkiego niezadowolenia ukazał się na twarzy. Zadzwonił gwałtownie i rzekł do służącego:

— Zanieś to na telegraf!

Była to krótka depesza do prefekta w Tarbes, rozkazująca w imieniu cesarza, aby natychmiast cofnięto rozkazy co do groty w Lourdes i przywrócono wolność ludności.

III.

Telegraf, mówią uczeni, nie jest niczem innem, jak piorunem. Tego dnia podzielał baron Massy zdanie uczonych. Telegram cesarski spadł na niego jak grom, ogłuszył go zupełnie. Nie mógł on wierzyć w rzeczywistość. Im bardziej myślał nad tem, tem bardziej niepodobną wydało mu się rzeczą, aby miał się cofać. Musiał jednak połknąć tę gorżką pigułkę, albo też podać się do dymisyi. Niemiły wybór!

Kiedy nagła katastrofa spada na nas, trudno nam przychodzi pogodzić się z nią i walczymy jeszcze chociaż wszystko stracone. Baron Massy nie uniknął tego złudzenia. Miał słabą nadzieję, że cesarz odwoła swoje postanowienie. W tem przekonaniu zataił depeszę przez dni kilka. Napisał do

cesarza a nadto prosił ministra Roulanda o pośrednictwo u monarchy.

Napoleon III okazał się nieczuły na żądanie ministra, jak i na prośby prefekta. Postanowienie jego było nieodwołalne. Wszystkie kroki prefekta wywołały tylko ten skutek, iż przekonały cesarza, że prefekt ośmielił się nie wykonać jego rozkazu. Druga depesza wyszła z Biarritz i została zredagowana w sposób, który nie dopuszczał żadnej zwłoki.

Baron Massy miał do wyboru: spełnienie rozkazu, albo utratę prefektury. Wybrał to pierwsze choć go to upokarzało w najwyższym stopniu. Jednakże, pomimo rozkazujących depesz cesarza, próbował jeszcze, jeżeli nie zwalczyć, to upozorować swoje cofanie się i nie składać broni publicznie.

W skutek niedyskrecyi w biurze, albo też z opowiadania osób, które się udały do cesarza, dowiedziała się publiczność o treści depesz, wysłanych z Biarritz. Stanowiły one przedmiot wszystkich rozmów. Prefekt ani nie potwierdzał, ani nie przeczył tym pogłoskom. Rozkazał Jacometowi i jego agentom, aby zaniechali pilnowania groty.

Mimo powściągliwości policyi i pogłosek, którym nie zaprzeczano z strony urzędowej, a może właśnie dla tego, ludność lękała się jakiej zasadzki. Chodzono dalej modlić się na lewy brzeg Gawy, nikt nie przekroczył baryery.

Podobne położenie stawało się niebezpiecznem dla prefekta, który był zbyt inteligentnym, aby tego nie zrozumieć. Każdej chwili mógł się obawiać, aby cesarza nie poinformowano nagle w sposób dla niego niebezpieczny. Wydał więc w imieniu cesarza rozkaz, aby usunięto baryery.

Burmistrz, ucieszony, że takie rozwiązanie sprawy zdejmowało z niego przykry ciężar, wydał uroczysty rozkaz, który wygłoszono przy odgłosie bębna.

Jacomet i policyanci udali się do groty, by usunąć baryery. Tłum oczekiwał ich tam liczny. Jacomet przybył z swymi agentami, uzbrojonymi w siekiery. Głuchy szmer podniósł się w tłumach. Komisarz stanął na odłamku skały i dał znać, że chce przemówić. Nastąpiła cisza głęboka. Jacomet z obłudną radością ogłosił, iż spadną baryery, które mu wznieść kazano. Urzędnik musi słuchać władzy, chociaż mu wykonanie jej rozkazów nieraz sprawia przykrość niewymowną. I on z największem przezwyciężeniem musiał usłuchać pierwszego rozkazu władzy, lecz prosił prefekta o zniesienie go i wreszcie prośby jego zostały wysłuchane.

Tłumy zachowały dalej milczenie. Kilka młodych dziewcząt szeptało i śmiało się zcicha.

Baryery zniknęły niebawem. Wielkie wzruszenie opanowało tłumy. Niezliczone zastępy zaległy tego dnia drogę z miasta do groty. Modlono się, śpiewano pieśni, odmawiano wspólnie litanią do Najśw. Panny, orzeźwiano się przy źródle. Wierni odzyskali wolność — Bóg zwyciężył.

KSIĘGA DZIEWIĄTA.

I.

Wskutek co dopiero opowiedzianych wypadków obecność pana Massy w tych stronach stała się niemożliwą. Cesarz posłał go na pierwszą opróżnioną prefekturę w kraju. I Jacomet także opuścił okolicę. Zamianowano go komisarzem policyi w innym departamencie. Pan Lacadé pozostał burmistrzem i sylwetka jego zamajaczy raz jeszcze przed okiem czytelnika na ostatnich stronach tego opowiadania.

W dniu 17 listopada komisya biskupia udała się do Lourdes i badała Bernadetę.

— Bernadeta — mówi protokół sekretarza — przedstawiła nam się z wielką skromnością a jednak stanowczością niezwykłą. Okazała się spokojną, wcale nie zakłopotaną w licznem zebraniu duchownych, których nigdy nie widziała przedtem.

Dziewczynka opowiedziała swoje widzenia, słowa Dziewicy, rozkaz jej, aby zbudowano kaplicę. Przedstawiła wszystko z pewnością naocznego świadka, odpowiedziała na wszystkie pytania i nie pozostawiła żadnej niepewności w umysłach.

Komisya zwiedziła skały Massabielle, obejrzała źródło, stwierdziła na podstawie orzeczeń osób wiarogodnych, iż źródło przedtem nie istniało w grocie.

W Lourdes i za obrębem Lourdes komisya zarządziła ścisłe badanie w sprawie nadzwyczajnych uzdrowień, dokonanych za pomocą wody z Lourdes. Przebiegając dyecezye, powoływała przed siebie tych, o których jej doniesiono, iż zostali uzdrowieni w sposób niezwykły. Badała ich ona bardzo szczegółowo co do choroby i powrotu stopniowego lub nagłego do zdrowia. Kazała znawcom stawiać pytania, o którychby może teologowie nie pomyśleli; aby sprawdzić te oświadczenia, wzywała krewnych, przyjaciół, sąsiadów, tych, którzy widzieli chorych, którzy byli przy uzdrowieniu itd.

W ten sposób doszedłszy do pewności zupełnej co do całości i co do szczegółów faktów, przedkładała je komisya co ocenienia lekarzom znakomitym i poważnym, których wzięła do pomocy. Każdy z nich w osobnem sprawozdaniu wydawał sąd swój o uzdrowieniu, już to przypisując je przyczynom naturalnym, już to uznając za niewytłómaczone w sposób przyrodzony, lecz dokonane nadprzyrodzonym działaniem łaski Bożej, albo wreszcie nie orzekając nic o fakcie.

Na tej podstawie komisya obradowała i sąd swój przedkładała X. Biskupowi wraz ze wszystkiemi dokumentami.

Każdemu świadkowi, który się zgłaszał, stawiano dwa warunki: aby orzekał tylko to, co sam widział i aby pod przysięgą uroczystą stwierdził prawdziwość swego orzeczenia. Przy takiej przezorności i tak rozumnej organizacyi nie podobna było otumanić komisyi fałszywemi opowiadaniami.

W ciągu kilku miesięcy komisya biskupia stwierdziła znaczną liczbę cudów, z których kilka już opi-

saliśmy. Inne dokonały się krótko po wydaniu zakazu udawania się do groty.

II.

W mieście Nay, gdzie to za pomocą wody z źródła cudownego został uzdrowiony młody Henryk Busquet, o którym opowiadaliśmy wyżej, mieszkała stara już kobieta, wdowa, pani Magdalena Rizan. Życie jej od dwudziestu kilku lat było długiem pasmem cierpień i dolegliwości.

Dotknięta cholerą w 1832 roku, została sparaliżowaną na całą lewą stronę; upadała na nogę i mogła poruszać się w pokoju tylko opierając się o sprzęty. Dwa lub trzy razy do roku zanoszono ją do kościoła w pobliżu jej domu się znajdującego, aby mogła wysłuchać Mszy św. Była ona zupełną kaleką; jednę rękę miała całkiem bezwładną, często rzucała jej się krew gardłem, a żołądek nie znosił stałych potraw. Sokiem, wydobywanym z mięsa, kawą i innemi płynami podtrzymywano jej wątłe życie. Biedna kobieta zawsze czuła przejmujące zimno. Nawet wśród upału lata zawsze płonął ogień na jej kominku.

Od kilkunastu miesięcy stan jej pogorszył się; paraliż zaczął już obejmować prawą nogę. Pani Rizan zamieniła fotel na łóżko. Nie mogła już się poruszyć o własnej sile, a członki jej były zupełnie bezwładne.

Dwóch lekarzy pielęgnowało ją kolejno. Dr. Talamon uznał ją od dawna za nieuleczalną i jeżeli odwiedzał ją jeszcze, to czynił to tylko jako przyjaciel. Nie chciał on już zapisywać żadnych lekarstw, mówiąc, że zużyłyby tylko prędzej jej organizm. Dr. Subervielle na prośby pani Rizan przepisał jakieś leki, lecz te niebawem okazały się bezskutecznemi, więc i on również przestał zapisywać lekarstw.

Jeżeli sparaliżowane członki były bez czucia,

to boleści, jakie odczuwała w innych częściach ciała, były straszliwe. Wskutek równego zawsze położenia, ciało jej odleżało się i pokryte było ranami.

Pani Rizan miała dwoje dzieci: córkę, która ją pielęgnowała z całem poświęceniem i syna, który był zajęty w domu handlowym w Bordeaux.

Kiedy stracono ostatnią nadzieję i dr. Subervielle oświadczył, iż chorej pozostaje zaledwie kilka dni życia, zawezwano pospiesznie jej syna, Romana Rizan. Przybył, ucałował matkę, otrzymał jej błogosławieństwo i ostatnie pożegnanie, lecz zmuszony powracać natychmiast, opuścił łoże umierającej matki z tą okropną pewnością, iż nie ujrzy jej więcej.

Umierająca przyjęła ostatnie Sakramenta św. Konanie przedłużało się wśród straszliwych boleści.

— Boże mój! wołała często, połóż koniec moim męczarniom! Pozwól mi, Panie, wyzdrowieć lub umrzeć!

Kazała prosić Siostry od św. Krzyża, których przełożoną była jej kuzynka, aby na jej intencyą odprawiły nowennę do Najświętszej Panny. Chora nadto objawiła życzenie napicia się wody z groty. Sąsiadka jej, pani Nessans, która jechała do Lourdes, przyrzekła jej przywieść trochę cudownej wody.

Od kilku dni czuwano nad nią dniem i nocą. W sobotę 16 października gwałtowny atak zapowiadał blizki koniec. Krew rzucała jej się gardłem co chwilę. Chora nie mówiła już prawie wcale, tylko od czasu do czasu jęczała: „Boże, jak ja cierpię! Czemuż nie umieram!“

— Życzenie spełni się niezadługo, rzekł dr. Subervielle, odchodząc od chorej. Umrze w nocy, a najdalej nad ranem. W lampce już nie ma oleju.

Od czasu do czasu drzwi się otwierały. Przyjaciele, sąsiedzi, kapłani odwiedzali chorą. Wieczorem, opuszczając ją, X. proboszcz Dupont, pocieszyciel jej i przyjaciel, nie mógł łez powstrzymać.

— Umrzę, zanim dzień zaświta, rzekł, ujrzę ją dopiero w raju.

Noc zapadła; w domu zapanowała głęboka cisza. Klęcząc przed obrazem Najświętszej Panny, córka jej modliła się bez żadnej ziemskiej nadziei. Północ zbliżyła się.

— Córko! — ozwała się umierająca.

Lubina (tak było imię córce) wstaje i zbliża się do łóżka.

— Czego żądasz matko?

— Moje drogie dziecko — rzekła chora dziwnym jakimś głosem — idź do pani Nessans. Musiała już powrócić z Lourdes. Poproś ją o trochę wody z groty. Ta woda mię uzdrowi. Najświętsza Panna tak sobie życzy.

— Mamo droga — odrzekła Lubina — teraz już zapóźno. Nie mogę cię zostawić samej, a u pani Nessans wszyscy śpią. Ale jutro rano pójdę zaraz o świcie.

— A więc czekajmy.

Chora umilkła. Długa noc minęła wreszcie.

Wesoły odgłos dzwonów niedzielnych oznajmił wreszcie początek dnia. Poranny „Anioł Pański“ niosł do stóp Maryi modlitwy z ziemi i święcił odwieczne wspomnienie Jej wszechmożnego macierzyństwa.

Lubina pobiegła do pani Nessans i powróciła natychmiast, przynosząc butelkę wody z groty.

— Oto jest, mamo, napij się i niech Najświętsza Panna ci pomaga!

Pani Rizan poniosła do ust szklankę z tą wodą i połknęła z niej nieco.

— O! moje dziecko! moje dziecko! — zawołała — toż ja piję życie samo. W tej wodzie jest życie. Potrzyj mi nią twarz także, obmyj ręce i całe ciało.

Drżąca i na pół przytomna, Lubina umaczała

płatek w cudownej wodzie i obmyła twarz chorej matki.

— Czuję się uzdrowioną! — zawołała ta ostatnia głosem silnym i dźwięcznym. — Jestem uzdrowioną!

Lubina tymczasem obmywała sparaliżowane i pokurczone członki chorej. Z upojeniem szczęścia i jakąś trwogą wewnętrzną patrzała na to, jak ogromne nabrzmienie ustępowało pod dotknięciem płatka, nasączonego cudowną wodą. Nagle zaczęło wracać życie i zdrowie do sztywnych członków.

— Zdaje mi się — mówiła matka — jakby z ciała wychodziły jakieś kulki ogniste.

Wszystko to było sprawą jednej chwili. W przeciągu minuty czy dwóch, bezwładne i obumierające ciało pani Rizan, obmywane przez córkę, odzyskało pełnią swych sił.

— Jestem uleczona! zupełnie zdrowa! — wołała uszczęśliwiona kobieta. — Jaka dobra ta Najświętsza Panna! Jaka Ona potężna!...

Po tym wybuchu wdzięczności dla nieba chora uczuła pragnienie potrzeb ziemskich.

— Moje drogie dziecko — rzekła — jestem głodna.

— Czy podać wina? albo może chcesz mamo kawy lub mleka? — szepnęło dziewczę, strwożone jeszcze i przerażone nagłością cudu.

— Chcę mięsa i chleba — odpowiedziała chora. — Nie jadłam go od dwudziestu czterech lat.

Było w domu nieco zimnego mięsa. Pani Rizan jadła je i piła wino.

— A teraz — rzekła — wstanę.

— To niepodobna, mamo — protestowała córka, nie chcąc jeszcze wierzyć własnym oczom. Lękała się, że ten cud tak niespodziewany zniknie naraz.

Pani Rizan obstawała przy swem żądaniu i kazała sobie podać rzeczy do ubrania. Od wielu mie-

sięcy leżały one w szafie w sąsiednim pokoju i myślano, że niestety nie użyje ich ona już nigdy. Córka wyszła, aby je przynieść. Powróciła natychmiast, ale na progu wydała okrzyk, opuszczając rzeczy trzymane w ręku.

W czasie jej krótkiej niebecności matka wyszła z łóżka i uklękła przed obrazem Najświętszej Panny. Klęczała tam, składając gorące dzięki swej Oswobodzicielce.

Lubina, przerażona, jakby ujrzała zmartwychwstałego niebożczyka, niezdolną była pomódz matce przy ubieraniu. Sama tedy podniosła z ziemi suknią, ubrała się sama w mgnieniu oka i upadła znowu na kolana przed obrazem Bożej Rodzicielki.

Była blizko siódma godzina i ludzie wychodzili z kościoła po pierwszej mszy św. Usłyszano na ulicy okrzyk córki.

— Biedne dziewczę! — mówiono — z pewnością matka umarła. Było niepodobieństwem, aby doczekała rana.

Kilka sąsiadek i przyjaciółek wstąpiło, by pocieszyć córkę w tym wielkim smutku. Między innemi znajdowały się tam także dwie Siostry od św. Krzyża.

— Biedne dziecko! umarła zatem twoja kochana matka! Ale pociesz się, zobaczysz ją w niebie!

Zbliżyły się do dziewczęcia, które blade i zmienione stało jeszcze oparte o drzwi.

Lubina była zaledwie zdolną odpowiedzieć.

— Moja matka zmartwychwstała — wyszeptała głosem, stłumionym od wzruszenia.

— Majaczy — myślały Siostry, wchodząc do pokoju wraz z kilku innemi osobami.

Dziewczę powiedziało prawdę.

Pani Rizan ubrana klęczała przed obrazem Matki Boskiej. Wstała i rzekła:

— Jestem uzdrowiona! Podziękujmy Najśw. Pannie. Uklęknijmy wszyscy!

Wiadomość o tem nadzwyczajnem zdarzeniu rozeszła się po mieście z szybkością błyskawicy. Przez cały dzień i nazajutrz był dom w prawdziwem oblężeniu. Wszyscy cisnęli się wzruszeni do pokoju, w którym zabłysnął promień wszechpotężnej dobroci Boga. Każdy chciał widzieć panią Rizan, przekonać się naocznie o wszystkiem i wyryć w pamięci szczegóły tego cudownego wypadku.

Bez wahania uznał dr. Subervielle znamię nadprzyrodzone i boskie tego nadzwyczajnego uzdrowienia.

W Bordeaux tymczasem młody Rizan oczekiwał z trwogą żałobnej wiadomości, która miała mu oznajmić śmierć ukochanej matki.

Zadrżał, kiedy pewnego poranku oddano mu list, na którego adresie poznał dobrze mu znajome pismo X. proboszcza Dupont.

— Straciłem moją drogą matkę, rzekł do przyjaciela, który właśnie przyszedł go odwiedzić.

— Miej siłę w nieszczęściu, miej wiarę, odrzekł przyjaciel.

Wreszcie rozerwał pieczęć. Pierwszemi słowami, które uderzyły jego oczy, były: „*Deo gratias! Alleluja!* Ciesz się, drogi przyjacielu. Twoja matka wyzdrowiała, jest *całkiem* zdrowa! Najświętsza Panna przywróciła jej cudem zdrowie". X. Dupont opowiadał następnie, w jak cudowny sposób pani Rizan w chwili konania znalazła życie zamiast śmierci.

Co za radość dla syna! co za wesele dla jego przyjaciela!

Ow przyjaciel był urzędnikiem przy pewnej drukarni w Bordeaux, w której wydawano „Posłańca katolickiego".

— Daj mi ten list, — rzekł do młodego Rizana; — trzeba, aby poznano dzieła Boże i oddano cześć Najświętszej Pannie z Lourdes.

Na pół z dobrej woli, na pół przemocą otrzy-

mał list, który „Posłaniec katolicki“ wydrukował w kilka dni później.

Co do uszczęśliwionego syna, tenże natychmiast wyjechał do Nay. Na poczcie jakaś pani go oczekiwała. Podbiegła do niego z żywością, gdy wysiadał z powozu i rzuciła mu się na szyję, płacząc z wzruszenia i radości.

To była jego matka.

W dziesięć lat później autor niniejszego opowiadania, w sprawdzaniu szczegółów zarządził takie samo badanie, jak przedtem komisya biskupia. Odwiedził panią Rizan, której podziwiał zdrowie i rzeźką starość. Ani śladu dawnych cierpień. Wszyscy, którzy ją znali dawniej, trwali jeszcze w zdumieniu nad zdarzeniem tak cudownem.

Pragnęliśmy zobaczyć dr. Subervielle, lecz nie żył już od kilku lat.

— Ależ, powiedzieliśmy do jednego z kapłanów, który nam towarzyszył, jeżeli się nie mylimy, to chorą odwiedzał inny jeszcze tutejszy lekarz, dr. Talamon?

— To bardzo zacny człowiek, — odpowiedział nasz towarzysz. — Odwiedzał zwykle panią Rizan, nie jako lekarz, lecz jako przyjaciel i sąsiad. Od czasu cudownego uzdrowienia przestał przychodzić, pokazał się dopiero u niej w ośm lub dziesięć miesięcy.

— Może nie chciał, aby go wypytywano o wytłómaczenie tego faktu nadzwyczajnego, który się nie zgadzał zapewne ze zasadami jego filozofii lekarskiej?

— Nie wiem.

— Nic nie szkodzi, chciałbym go zobaczyć.

Zapukaliśmy do jego drzwi.

Pan dr. Talamon jest pięknym starcem o inteligentnej i wyrazistej twarzy, z rozumnem czołem, koroną siwych włosów, wzrokiem pewnym, który zdradza stałość woli, z ustami, na których pojawia się często uśmiech sceptyczny. Takie wrażenie sprawia na pierwszy rzut oka.

Przedłożyliśmy mu cel naszych odwiedzin.

— Już dawno temu, jak to się zdarzyło — rzekł do nas. — Po dziesięciu lub dwunastu latach pamięć moja przypomina sobie tylko bardzo niejasno to, o czem panowie mi mówicie i czego sam nie byłem naocznym świadkiem. Widziałem panią Rizan dopiero w kilka miesięcy później i nie wiem, w jakich warunkach, jakim sposobem dokonało się jej uzdrowienie.

— Ale jakże, panie doktorze, nie byłeś ciekawym sprawdzić sam wypadku, który tyle nabrał rozgłosu w całej okolicy?

— Mój panie łaskawy — odpowiedział mi — jestem starym lekarzem; wiem, iż praw natury nie można obalać i szczerze mówiąc, nie wierzę w te wszystkie cuda.

— A! doktorze, pan grzeszysz przeciw wierze! — zawołał kapłan, który mię do niego wprowadził.

— A ja nie oskarżam o to pana, że grzeszysz przeciwko wierze, lecz przeciwko nauce, którą reprezentujesz, przeciwko medycynie.

— Jakto? w czem?

— Medycyna jest nauką, opartą na doświadczeniach. Doświadczenie jest jej prawem; badanie faktów jest jej główną zasadą. Gdyby panu powiedziano, że pani Rizan nacierała ciało wyskokiem tej lub owej rośliny, znalezionej świeżo w górach, byłbyś pan niezawodnie pospieszył sprawdzić uzdrowienie, zbadać roślinę i zapisać odkrycie, które byłoby się panu wydało równie ważnem, jak odkrycie chininy w ostatniem stuleciu. Byłbyś pan postąpił tak samo, gdyby uzdrowienie było nastąpiło za pomocą jakiegoś źródła siarczanego lub solnego. Ale tutaj opowiadano o jakiejś wodzie cudownej i nie chciałeś pan dla tego pójść przekonać się. Poszedłeś pan doktór za głosem swych uprzedzeń filozoficznych i uchybiłeś przeciw prawu medycyny, które każe badać fakta, jakiekolwiek one są, aby z nich wysnuć dla siebie naukę.

— Być może, odrzekł lekarz w zamyśleniu, iż zajmując stanowisko, jakie pan przedstawia, byłbym lepiej zrobił, badając fakt cały.

III.

Na długo przed wypadkami w Lourdes, kiedy Bernadety jeszcze nie było na świecie, w 1843 roku znajdowała się rodzina państwa Moreau w wielkiem zaniepokojeniu. Właśnie Pan Bóg obdarzył młode małżeństwo pierwszem dziecięciem, lecz okoliczności, które towarzyszyły przyjściu na świat córeczki, tak były niebezpieczne, iż życie młodej matki w groźnem znajdowało się niebezpieczeństwie.

Ale pan Moreau był dobrym chrześcianinem. Wiedział on dobrze i pamiętał o tem, że nić życia naszego spoczywa w ręku Pana, do którego zawsze odwołać się można.

— Najświętsza Panna — myślał nieszczęśliwy małżonek — raczy może wysłuchać mej prośby.

Z całą też ufnością zwrócił się do Bożej Rodzicielki. Niebezpieczeństwo, które zrazu wydawało się tak groźnem, ustąpiło zwolna, jak ciemna chmura, którą rozprasza powiew wiatru. Widnokrąg rozjaśnił się i wypogodził; przyszła na świat dziewczynka.

Uszczęśliwiony ojciec czuł głęboką wdzięczność dla Najświętszej Panny.

— Jakie imię dasz pan swej córeczce? — pytano pana Moreau.

— Będzie jej imię Marya — odpowiedział.

— Marya? Ależ to imię najpospolitsze u nas; noszą je wszystkie kobiety wiejskie, wszystkie służące. A potem Marya Moreau, to nie brzmi ładnie. Te dwa M. i dwa R. nie znoszą się dobrze.

Mimo tych wszystkich uwag pan Moreau odpowiedział:

— Będzie jej imię Marya; chcę, aby Naj-

świętsza Panna była jej patronką. To imię przyniesie jej szczęście.

Dziwiono się jego uporowi, lecz pierworodna otrzymała przy chrzcie św. imię Maryi. Ojciec nadto życzył sobie, aby przez pierwsze trzy lata dziecko ubierano tylko w kolor biały, barwę Maryi.

Przeszło szesnaście lat minęło od tej chwili. Przybyło drugie dziecię, któremu dano imię Marta.

Panna Marya Moreau odbyła swe nauki w klasztorze Sióstr Serca Jezusowego w Bordeaux.

W początku stycznia 1858 roku zapadła na ból oczu, który ją zmusił do przerwania nagle wszelkiej pracy. Sądziła, że to ból, spowodowany przewiewem i że minie równie szybko, jak przyszedł; ale nadzieja ją zawiodła i choroba przybrała charakter niepokojący. Lekarz zakładu uznał za potrzebne, aby powołać znakomitego okulistę z Bordeaux, pana Bermont.

— Choroba jest groźna — orzekł tenże. Jedno oko jest całkiem stracone, drugie bardzo chore.

Uprzedzono rodziców natychmiast. Matka pospieszyła do Bordeaux i zabrała córkę, aby przeprowadzić kuracyą, jaką przepisał okulista i ocalić chociaż jedno oko, które zresztą było tak słabe, że widziało przedmioty tylko jakby za mgłą.

Lekarstwa, kąpiele morskie, wszystko, co przepisywała sztuka lekarska, okazało się bezskutecznem. Wiosna i jesień minęły na tych bezowocnych usiłowaniach. Opłakany stan trwał dalej i pogarszał się zwolna. Zupełne zaniewidzenie było nieuchronnem i państwo Moreau postanowili córkę swoją zawieźć do Paryża, aby zasięgnąć rady znakomitości lekarskich.

Kiedy się przygotowano spiesznie do podróży, listowy przyniósł numer pisma z Bordeaux, „Posłańca katolickiego.“ Było to w pierwszych dniach listopada.

Właśnie ten numer zawierał list X. Dupont i opowiadanie o cudownem uzdrowieniu pani Rizan w skutek użycia wody z groty.

Pan Moreau otworzył pismo machinalnie i wzrok jego padł na tę cudowną historyą. Zbladł, czytając ją. Nadzieja zaświtała w duszy rozpaczonego ojca.

— Oto, rzekł, drzwi do których należy zapukać. Widoczną jest rzeczą, że to Najświętsza Panna ukazała się w grocie w Lourdes i za pomocą cudownych uzdrowień pragnie stwierdzić i dowieść rzeczywistości swych zjawisk. Spieszmy się więc, udajmy się do Najświętszej Panny w Lourdes.

Owe szesnaście lat, które upłynęły od urodzenia córki, nie osłabiły, jak widzimy, wiary pana Moreau.

Postanowiono odprawić nowennę, do której przyłączyły się towarzyszki chorej z sąsiedztwa. Zrządzeniem Opatrzności, jeden z kapłanów w mieście miał właśnie w tej chwili u siebie butelkę wody cudownej z groty, tak iż nowennę rozpoczęto natychmiast.

W razie uzdrowienia rodzice ślubowali, iż odbędą pielgrzymkę do Lourdes i że przez rok panienka nosić będzie znowu barwy Matki Boskiej, które nosiła przez trzy pierwsze lata swego życia.

Nowennę rozpoczęto w poniedziałek wieczorem, dnia 8 listopada. Chora nie wierzyła w uzdrowienie, matka nie śmiała mieć nadziei, ojciec tylko zachował ową spokojną wiarę, jakiej dobroczynne potęgi nieba nie opierają się nigdy.

Wszyscy modlili się wspólnie w pokoju pana Moreau, przed obrazem Najświętszej Panny. Matka, młoda chora i jej mała siostra wstały kolejno, aby udać się na spoczynek, ale ojciec pozostał na klęczkach.

Myślał, iż pozostał sam i głos jego podniósł się w gorącej modlitwie, której zapał powstrzymał na progu resztę rodziny.

Była godzina dziesiąta wieczorem.

Młode dziewczę, kładąc się do łóżka, namoczyło w cudownej wodzie płatek płócienny, który przyłożyło na oczy, przewiązawszy w tyle głowy.

Serce jej było gwałtownie wzruszone. Nie posiadając żywej wiary ojca, powiedziała ona sobie, że w każdym razie Najświętsza Panna mogłaby ją uzdrowić, że może w końcu nowenny odzyska wzrok. Następowały wątpliwości i zdawało jej się, że cud nie dla niej. Wszystkie te myśli nie pozwalały jej zasnąć i bardzo późno dopiero sen skleił chore powieki.

Nazajutrz z uczuciem jakiejś słabej nadziei i niespokojnej ciekawości zdjęła opaskę z oczu.

Wydała głośny okrzyk. Wszystko w koło niej zalane było światłem. Widziała wszystko jasno, dokładnie. Chore oko wyzdrowiało, niewidome odzyskało wzrok stracony.

— Marto! Marto! — zawołała na swą siostrę. Widzę! widzę! jestem uzdrowiona!

Mała Marta, która spała w jednym z nią pokoju, wyskoczyła z łóżka i przybiegła do niej. Zobaczyła oczy siostry uwolnione od krwawej zasłony, czarne, błyszczące, pełne życia.

Serce dziewczynki zwróciło się ku ojcu i matce.

— Tato! Mamo! — zawołała.

Marynia dała jej znak, aby milczała.

— Czekaj, czekaj — rzekła. — Chcę najprzód przekonać się, czy mogę czytać. Daj mi książkę.

Dziecko podało jej książkę ze stołu.

Marynia otworzyła książkę i zaczęła czytać gładko, bez żadnego wysiłku, jak inni ludzie. Uzdrowienie było zupełne, radykalne.

Ojciec i matka przybiegli.

— Ojczulku, mateczko, widzę, czytam, jestem uzdrowiona!

Jak opisać scenę, która nastąpiła? Każdy ją zrozumie, każdy może ją sam odtworzyć w sercu swojem.

Ojciec, matka, mała Marta upadli na kolana, Marynia jeszcze w łóżku leżąca, złożyła ręce i z piersi wszystkich podniósł się hymn dziękczynny do Matki Bożej.

Zbyteczna dodawać, że wkrótce potem panna Marya Moreau udała się z rodzicami do Lourdes, by złożyć podziękowanie Najświętszej Pannie w grocie, odziana w barwy Królowej Niebios.

Te wypadki miały za świadków całą ludność w Tartas, która dzieliła nieszczęście rodziny, wielce szanowanej w całej okolicy. Każdy w mieście mógł poświadczyć, że choroba, którą uznano za nieuleczalną, została nagle usuniętą w początku nowenny.

Okulista, pan Bermont, nie mógł wyjść z podziwu i zdumienia w obec tego wypadku i napisał świadectwo, które stwierdza bezsilność medycyny w obec tego rodzaju cierpienia, oraz uzdrowienie, jakiego sztuka lekarska nie mogła dokonać.

Ta deklaracya z dnia 8 lutego 1859 r. jest złożona w aktach biskupstwa w Tarbes wraz z licznemi świadectwami i listami mieszkańców w Tartas, między którymi figuruje także burmistrz tego miasta.

Panna Marya Moreau, dokończywszy nauk przerwanych u Sióstr Serca Jezusowego w Bordeaux, nosiła barwy Najświętszej Panny aż do dnia ślubu, w którym zamieniła błękitną swoją suknią na strój oblubienicy.

Z swego błękitnego ubrania zapragnęła zrobić dar innej dziewczynce, ukochanej przez Najświętszą Pannę, Bernadecie.

Był to jedyny podarunek, jaki Bernadeta przyjęła kiedykolwiek. Suknią tę, której barwy przy-

pominały jej zjawisko w grocie, nosiła przez lat kilka, dopóki się nie zużyła do szczętu.

Kilkanaście lat minęło, a wzrok dawniejszej panny Maryi Moreau, dzisiejszej pani de Villefort, nie przestał być wybornym.

IV.

Cudowne uzdrowienia liczono na setki. Niepodobna było sprawdzić je wszystkie. Komisya biskupia poddała trzydzieści gruntownemu badaniu, okazując się przytem nadzwyczaj surową.

Oprócz cudów donoszono komisyi o wielkiej liczbie łask nadzwyczajnych, niespodziewanych nawróceń. Jakkolwiek takie fakta są nieraz bardziej zdumiewającemi, aniżeli przywrócenie władzy jakiemuś członkowi lub usunięcie choroby ciała, to jednakże komisya słusznie uznała, iż nie powinna ich obejmować uroczystem i publicznem śledztwem, jakie jej zalecił biskup.

W swem sprawozdaniu do X. Biskupa komisya zgodnie z lekarzami rozróżniała trzy kategorye uzdrowień, które zbadała starannie i z których podała szczegóły w swych protokółach, podpisanych przez osoby uzdrowione i licznych świadków.

Pierwsza kategorya obejmowała uzdrowienia, które, jakkolwiek zdumiewające, mogły być wytłomaczone w sposób naturalny. Drugą składały uzdrowienia, przy których komisya przechylała się ku tłomaczeniu ich nadprzyrodzoną łaską, trzecia wreszcie przedstawiała uzdrowienia, którym nie można było w żaden sposób odmówić znamienia nadprzyrodzonego.

W obec tylu wypadków niezwykłych, tak starannie i publicznie zbadanych, w obec tak sumiennego, dokładnego i szczegółowego śledztwa komisyi, w obec oświadczeń i wniosków chemików i lekarzy, X. Biskup musiał wreszcie się przekonać o prawdzie.

Po trzech latach zarządzono ponowne badanie i wtenczas dopiero X. Biskup wydał ostateczny wyrok w tej sprawie.

W piśmie do duchowieństwa i wiernych Xiądz Biskup stwierdził fakt objawienia się Najśw. Panny Bernadecie i rozebrawszy szczegółowo znane czytelnikom wypadki, tak zakończył orędzie swoje:

„Wezwawszy na pomoc Ducha św. i Najśw. Pannę, oświadczamy, co następuje:

Artykuł I. Uznajemy, iż Niepokalana Marya, Boża Rodzicielka, ukazała się istotnie Bernadecie Soubirous 11 lutego 1858 i dni następnych, ośmnaście razy w grocie Massabielle przy mieście Lourdes; że to zjawisko nosi wszelkie znamiona prawdziwości i że wiernym wolno uważać je za pewne.

Podajemy pokornie sąd nasz pod sąd Najwyższego Pasterza, który rządzi Kościołem powszechnym.

Art. II. Upoważniamy w naszej dyecezyi do nabożeństwa do Najświętszej Panny z Lourdes, ale zabraniamy publicznego ogłaszania jakiejkolwiek szczególnej formuły modlitwy, pieśni, wydawania książki do nabożeństwa bez naszego upoważnienia piśmiennego.

Art. III. Chcąc uczynić zadość woli Przeczystej Dziewicy, wyrażonej kilkakrotnie w czasie objawień, postanawiamy zbudować świątynię na terytoryum groty, która stała się własnością Biskupów z Tarbes.

Ta budowa, zważywszy spadzistość miejsca, będzie wymagała długiej pracy i funduszy względnie znacznych. Dla tego potrzebujemy do urzeczywistnienia naszego pobożnego zamiaru poparcia duchowieństwa i wiernych Francyi i zagranicy. Odwołujemy się do ich serc wspaniałomyślnych, a zwłaszcza do tych osób pobożnych wszystkich krajów, które poświęciły się czci Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi.

Art. IV. Z ufnością zwracamy się do zakładów dla uczni płci obojej, poświęconym wychowywaniu młodzieży, do kongregacyi Dzieci Maryi, do bractw Najświętszej Panny i do różnych stowarzyszeń pobożnych, czy to w naszej dyecezyi, czy w całej Francyi...

Nasze orędzie niniejsze zostanie odczytane i ogłoszone we wszystkich kościołach, kaplicach i oratoryach seminaryów, kolegiów i hospicyów naszej dyecezyi, w niedzielę, która nastąpi po otrzymaniu go.

Dan w Tarbes w naszym pałacu biskupim, pod naszą pieczęcią, z naszym podpisem i podpisem naszego sekretarza, 18 stycznia 1862 r., w uroczystość Katedry św. Piotra w Rzymie.

† *Bertrand*, Biskup z Tarbes.

Z polecenia:

Fourcade, kanonik, sekretarz.“

W imieniu biskupstwa t. j. w imieniu Kościoła X. Biskup kupił od miasta Lourdes grotę, grunta, które ją otaczają i całą grupę skał Massabielle. Pan Lacade pozostał na swem stanowisku burmistrza. On to zaproponował, aby rada miejska odstąpiła te miejsca Kościołowi, on podpisał kontrakt sprzedaży.

Pan Rouland potwierdził sprzedaż i upoważnił do budowy kościoła na pamiątkę objawienia się Dziewicy Bernadecie, wytryśnięcia źródła i niezliczonych cudów, jakie się dokonały za jego pomocą.

Podczas kiedy potężna świątynia pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia wznosiła się zwolna, Najświętsza Panna z Lourdes nie przestawała zlewać na ludzi cudów i dobrodziejstw.

Zanim ukończymy niniejsze opowiadanie, chcemy wspomnieć jeszcze o dwóch cudownych zdarzeniach. Pierwsze tworzy w życiu autora tej książki okres, który nigdy nie wyjdzie z jego pamięci.

KSIĘGA DZIESIĄTA.

I.

Przez całe życie — pisze autor niniejszego opowiadania — cieszyłem się wybornym wzrokiem. Rozpoznawałem przedmioty z wielkiej odległości a z drugiej strony zdolny byłem czytać książkę w największem przybliżeniu do oczu. Noce, spędzane na nauce, nie wywoływały najmniejszego znużenia wzroku. Byłem szczęśliwy, że posiadam taką giętkość i siłę wzroku. To też niezmiernem mię to napełniło zdumieniem i rozczarowaniem, kiedy w lipcu 1862 roku uczułem, że wzrok mój słabnie zwolna i wreszcie odmawia mi usług do tego stopnia, że byłem zniewolony zaprzestać wszelkiego czytania i pisania. Kiedy wziąłem książkę do ręki, musiałem odłożyć ją po przeczytaniu trzech lub czterech wierszy, czasami od samego pierwszego spojrzenia uczuwałem w górnej części oczu takie zmęczenie, że niepodobna mi było czytać dalej. Udałem się do kilku lekarzy a mianowicie do dwóch sławnych specyalistów, pp. Desmares i Giraud-Tenlon.

Lekarstwa, jakie mi przepisano, nie skutkowały prawie wcale. Po dość długim wypoczynku i leczeniu okazało się na razie drobne polepszenie i któregoś dnia mogłem czytać i pisać przez czas dłuższy,

ale nazajutrz popadłem znowu w stan poprzedni. Próbowałem potem domowych środków, czasami doznawałem pewnej ulgi, ale to trwało tylko chwilę i choroba przybierała charakter chroniczny, właściwy słabościom nieuleczalnym.

Za radą lekarzy poddałem oczy moje najzupełniejszemu odpoczynkowi. Nie zadowalając się noszeniem niebieskich okularów przy wyjściu na ulicę, opuściłem Paryż i udałem się na wieś do mojej matki. Wziąłem sobie jako sekretarza chłopca, który mi czytał i pisał za mojem dyktandem.

Nadszedł wrzesień. Stan ten trwał od blizko trzech miesięcy i zaczynałem obawiać się na seryo. Trapił mię niezmierny smutek, o którym nie mówiłem nikomu. Krewni moi i przyjaciele żywili również te same obawy, lecz ich nie objawiali; byliśmy wszyscy przekonani, tak oni, jak ja, że wzrok mój był stracony, ale każdy starał się żywić nadzieję, której nie miał i ukrywaliśmy nawzajem wspólne nasze trwogi.

Mam serdecznego przyjaciela od lat dzieciństwa, któremu zwykle powierzam troski i radości. Podyktowałem memu sekretarzowi do niego list w którym mu opisałem okropne położenie moje i obawy, jakie mię przejmowały na myśl o przyszłości.

Przyjaciel, o którym mówię, jest protestantem, tak samo i jego żona. Z ważnych przyczyn nie mogę wymieniać jego nazwiska.

Odpisał mi w kilka dni później. List jego nadszedł 15 września i zdziwił mię bardzo. Przepisuję go tutaj, nie zmieniając ani jednego słowa.

„Drogi przyjacielu! — pisał — kilka wierszy, które mi przesłałeś, ucieszyły mię, ale jak ci już powiedziałem, pragnę zobaczyć *Twoje pismo.* W tych dniach, wracając z Cauterets, przejeżdżałem przez Lourdes (blizko Tarbes); zwiedziłem tam słynną grotę i dowiedziałem się tyle o cudownych rzeczach co do uzdrowień, dokonanych przez tę wodę, zwłasz-

cza w chorobach oczu, że zachęcam Cię, abyś jej spróbował. Gdybym był katolikiem, wierzącym, jak Ty, i gdybym był chory, nie wahałbym się skorzystać z okazyi. Jeśli to prawda, iż wyzdrowiało nagle wielu chorych, to mógłbyś spodziewać się, że pomnożysz ich liczbę; a jeśli to nie prawda, to nic nie ryzykujesz, robiąc próbę. Dodaję, że sam mam pewien interes osobisty w tem doświadczeniu. Jeżeli się ono uda, jakiż to dla mnie fakt ważny do zapisania! Stałbym wobec wypadku cudownego, a co najmniej takiego, którego świadek nie podpadałby żadnemu podejrzeniu.

Zdaje się, że nie potrzeba udawać się do Lourdes na miejsce samo po wodę i że można ją sobie sprowadzić. Potrzebujesz tylko zażądać jej od proboszcza z Lourdes, a on Ci ją przyśle. Trzeba poprzednio dopełnić pewnych formalności, których nie umiem Ci wskazać, ale X. proboszcz z Lourdes poinformuje Cię. Poproś go także o przysłanie broszury jeneralnego wikaryusza z Tarbes, który opisuje cudowne zdarzenia „najlepiej stwierdzone“.“

List ten mego przyjaciela zadziwił mię. Ma on umysł jasny, pozytywny, matematyczny, podniosły sam z siebie, ale zarazem mało skłonny do podlegania ułudom i zapałowi, a w dodatku protestant... Tego rodzaju rada, pochodząca od niego, wprawiła mię w zdumienie.

Postanowiłem jednakże nie usłuchać go.

Zdaje mi się — odpisałem mu — że dziś trochę mniej źle. Jeżeli to mniejsze złe stanie się „lepiej“, i jeżeli owo lepiej będzie trwało nadal, nie będę tym razem potrzebował uciekać się do nadzwyczajnego środka, który mi radzisz, a do którego zresztą nie mam potrzebnej wiary.“

Moje nędzne serce, lękając się własnej słabości, opierało się łasce Bożej, nie słuchało dobrej rady, jaką zsyłała Opatrzność, zawsze niezbadana w swych

drogach, przez protestantów. Ale napróżno opierałem się. Głos jakiś wewnętrzny mówił mi, iż ręce ludzkie nie uleczą mnie i że Bóg, którego obrażałem tak często, chciał mi wzrok sam przywrócić i obdarzając mię nowem życiem, doświadczyć mię, czy będę umiał użyć go lepiej.

Stan mój pozostawał ten sam, a nawet pogarszał się zwolna.

W pierwszych dniach października byłem zmuszony wyjechać do Paryża.

Bardzo szczęśliwym trafem przyjaciel mój znajdował się tam właśnie ze żoną. Poszedłem do nich z wizytą najprzód. Przyjaciel mój mieszkał u swej siostry, p. P., która oddawna mieszka z mężem w Paryżu.

— A jakże Pańskie oczy? — zapytała mnię żona mego przyjaciela, skoro wszedłem do salonu.

— Moje oczy zawsze tak samo i zaczynam wierzyć w to, iż są stracone na zawsze.

— Dla czegóż w takim razie nie spróbujesz środka, który ci poradziliśmy? — rzekł mój przyjaciel. — Coś mi mówi, że wyzdrowiejesz.

— Ba! — odrzekłem, — przyznam ci się, że nie bardzo wierzę w owo źródło i rzekome zjawiska. Jest to możliwem i nie zaprzeczam temu, ale nie zbadawszy tego, nie mogę potwierdzić. Słowem, nie mam ochoty chwycić się środka, jaki mi radzisz.

— Wedle twych zasad religijnych — odrzekł mi na to, powinieneś wierzyć i wierzysz też w możliwość tych rzeczy. A zatem! dla czegóż nie miałbyś spróbować tego środka? Cóż cię to kosztuje? Nie zrobisz sobie nic złego, skoro to jest woda naturalna. Oświadczam ci nadto bez ogródki, że jeżeli zostaniesz uleczony, będzie to przeciwko mnie silny argument.

Żona dołączyła swe prośby do próśb męża, nie mniej usilnie starali się na mnie wpłynąć państwo P.,

którzy są oboje katolikami. Przyciśnięto mię po prostu do muru.

— Dobrze więc, powiedziałem do nich, powiem wam całą prawdę. Wiary mi nie braknie, ale jestem pełen błędów, nędzy i słabości, a to wszystko, niestety, czepia się silniej mej nieszczęśliwej natury. Cud zatem, spełniony na mnie, kazałby mi poświęcić wszystko i stać się świętym; byłaby to odpowiedzialność nadzwyczajna, a jestem takim tchórzem, że jej się lękam. Jeżeli Bóg mię uzdrowi, czego zażąda odemnie? Tymczasem z lekarzem załatwię się za pomocą trochę pieniędzy. To brzydko, nieprawdaż? ale tak smutnym jest stan mego serca.

Wszczęła się żywa dyskusya, w której starałem się jeszcze bronić.

— Jak tylko będę miał sekretarza, powiedziałem, napiszę do Lourdes, ale przyjechałem dopiero dzisiaj i nie miałem jeszcze czasu wyszukać go sobie.

— Ja ci będę służył za sekretarza! zawołał mój przyjaciel z żywością.

— A zatem dobrze! jutro zjemy śniadanie w kawiarni Foy, podyktuję ci list po śniadaniu.

— Czemu nie zaraz? Zyskamy cały jeden dzień.

Mówiąc to, przyniósł papier i atrament. Podyktowałem mu list do X. Proboszcza z Lourdes. Oddano go na pocztę zaraz.

Nazajutrz przyjaciel mój przyszedł do mnie.

— Mój kochany, rzekł do mnie, skoro kości rzucone i z pewnością przystąpisz do rzeczy, trzeba o tem pomyśleć na seryo i postawić się w warunkach potrzebnych, aby doświadczenie się udało. Odmów modlitwy potrzebne, idź do spowiedzi, dopełnij wszelkich nabożeństw, jakie przepisuje religia twoja.

— Masz zupełną słuszność, odpowiedziałem, uczynię, co mówisz. Ale muszę się przyznać, że dziwny z ciebie protestant. W tych dniach budziłeś we mnie wiarę, dzisiaj namawiasz do praktyk religijnych.

— Jestem człowiekiem nauki i chcę naturalnie, aby, skoro robimy doświadczenie, ono odbyło się w żądanych warunkach. Rozumuję tak, jakby to była fizyka albo chemia.

Z wstydem przyznaję, że nie przygotowałem się tak, jak mi radził mój przyjaciel. Znajdowałem się nawet w bardzo niedobrem usposobieniu duszy, byłem zaniepokojony, wzburzony i skłonny do złego.

Uznałem jednak potrzebę usprawiedliwienia się przed trybunałem Boga, lecz akt ten odkładałem z dnia na dzień.

W ten sposób minął tydzień. Przyjaciel mój i jego żona dowiadywali się codziennie, czy nie miałem jeszcze wiadomości o cudownej wodzie i czy proboszcz z Lourdes nie pisał do mnie. Wreszcie proboszcz odpowiedział, donosząc mi, że wodę z Lourdes wysłał koleją, i że ją odbiorę niezadługo.

Czekaliśmy tej chwili z niecierpliwością, łatwą do zrozumienia. Ale czy kto uwierzy? zajęcie się nią było daleko większe u moich dwojga protestantów, aniżeli u mnie.

Stan moich oczu był ciągle ten sam, niepodobna mi było wcale czytać, ani pisać.

Pewnego poranku — było to w piątek 10 października 1862 r. — czekałem na mego przyjaciela w galeryi orleańskiej w Palais Royal. Mieliśmy pójść razem na śniadanie. Ponieważ byłem pierwszy, patrzałem na magazyny i w oknie wystawnem księgarni Dentu przeczytałem dwa lub trzy tytuły nowych książek. Nie potrzeba było więcej, aby wywołać nadzwyczajne zmęczenie oczu. Ta drobna okoliczność wywołała u mnie głęboki smutek, pozwalając zmierzyć cały ogrom mej choroby.

W ciągu południa podyktowałem memu przyjacielowi trzy listy i o godzinie czwartej powróciłem do siebie. W chwili, gdy miałem wejść na wschody, zawołał mnie odźwierny.

— Przyniesiono z kolei małą skrzynkę dla pana, rzekł do mnie.

Wszedłem do jego izdebki. Znalazłem tam istotnie pudełko z białego drzewa z moim adresem i napisem, przeznaczonym zapewnie dla władz celnych: „Woda naturalna.“

Była to woda z Lourdes.

Doznałem w głębi duszy silnego wzruszenia, ale się z niem nie zdradziłem.

— To dobrze, odezwałem się do odźwiernego, zabiorę to ze sobą zaraz. Wrócę natychmiast.

Wyszedłem znowu, zamyślony i kilka razy przeszedłem się wzdłuż ulicy.

— Rzecz zaczyna być poważna, rozprawiałem sam do siebie. Mój przyjaciel ma słuszność; powinieniem się przygotować. W usposobieniu ducha, w jakiem się znajduję od pewnego czasu, nie mogę prosić Boga o dokonanie cudu, nie oczyściwszy poprzednio duszy.

Rozmyślając w ten sposób, skierowałem kroki ku domowi mego spowiednika X. proboszcza Farrand de Missol, który mieszkał w mojem sąsiedztwie. Na szczęście zastałem go. Ale wiele osób czekało w przedpokoju. Na domiar ktoś z rodziny jego przybył do niego niespodzianie. Służąca to wszystko mi powiedziała i radziła powrócić wieczorem około godziny siódmej.

Zdecydowałem się na to ostatnie.

Skoro znalazłem się na ulicy, zatrzymałem się przez chwilę. Wahałem się między życzeniem oddania wizyty, która mi ciężyła na sercu, a myślą powrócenia do domu i modlenia się. Skłonność moja ciągnęła mię w stronę rozrywki, tymczasem głos wewnętrzny nakazywał mi skupienie.

Chwiałem się między temi dwoma dążnościami przez długą chwilę. Wreszcie dobre uczucie zwyciężyło i powróciłem do domu.

Odebrałem od odźwiernego pudełko, do którego była dołączoną broszurka o Zjawiskach w Lourdes i pobiegłem na górę.

Przyszedłszy do mego mieszkania, ukląkłem przy łóżku i modliłem się, czując się niegodnym podnieść oczu ku niebu i przemawiać do Boga.

Następnie wstałem. Wchodząc do pokoju, postawiłem pudełko wraz z broszurą na kominku. Spoglądałem co chwilę ku tej skrzyneczce, która zawierała tajemniczą wodę i zdawało mi się, że w tym samotnym pokoju miało się dokonać coś wielkiego. Lękałem się dotknąć memi skalanemi rękami pudełka, zawierającego świętą wodę, a z drugiej strony czułem dziwne pragnienie otworzenia go i nie czekania na spowiedź, którą miałem odbyć wieczorem. Walka ta trwała przez kilka chwil, poczem zakończyła się modlitwą:

— „O! mój Boże! — zawołałem — jestem nędznym grzesznikiem, niegodnym podnieść głosu swojego do Ciebie i dotknąć przedmiotu, który pobłogosławiłeś. Ale nadmiar mej nędzy właśnie powinien poruszyć Twoje miłosierdzie. Boże mój, przychodzę do Ciebie i Najświętszej Maryi Panny, pełen wiary i ufności i z głębi serca podnoszę głos mój do Was. Dziś wieczorem wyznam grzechy moje słudze Twojemu, ale wiara moja nie może i nie chce czekać. Przebacz mi Panie i uzdrów mię. A Ty, Pani miłosierna, przyjdź w pomoc nieszczęśliwemu dziecku Twojemu!“

Pokrzepiwszy się modlitwą, ośmieliłem się otworzyć pudełko. Zawierało w sobie butelkę pełną wody.

Wyjąłem korek, nalałem wody we filiżankę i wyjąłem z komody serwetkę. Te proste przygotowanie, które czyniłem z drobnostkową starannością, tchnęły — pamiętam to dziś jeszcze — uroczystym nastrojem, który mię samego uderzył. Czułem, iż

w pokoju nie byłem sam jeden: czułem w nim obecność Boga i Najświętszej Panny.

Wiara żywa i gorąca ogarnęła duszę moją.

Kiedy wszystko ukończyłem, ukląkłem znowu.

— O Najświętsza Panno Maryo — mówiłem głośno — zlituj się nademną i ulecz mię z ślepoty ciała i duszy!

Mówiąc te słowa, z sercem pełnem ufności, potarłem oba oczy i czoło serwetą, namoczoną we wodzie z Lourdes. Nie trwało to dłużej nad trzydzieści sekund.

Niech wszyscy osądzą moje wzruszenie, niemal przerażenie! Zaledwie dotknąłem cudowną wodą oczu i czoła mego, kiedy uczułem się nagle uzdrowiony z szybkością, którą mogę porównać tylko do pioruna.

Dziwna sprzeczność natury ludzkiej! Chwilę przedtem ufałem mojej wierze, która mi zapowiadała uzdrowienie, a teraz nie chciałem wierzyć własnym zmysłom, które mię zapewniały, iż uzdrowienie dokonane!

Nie! nie wierzyłem zmysłom własnym, do tego stopnia, że mimo skutku tak nagłego dopuściłem się grzechu Mojżesza, uderzającego w skałę powtórnie. Przez pewien czas nie przestawałem modlić się i obmywać oczu, nie śmiejąc sprawdzić uzdrowienia.

Po upływie dziesięciu minut jednakże siła, którą czułem w oczach i zupełne oswobodzenie od ociężałości wzroku nie mogły mi zostawić żadnej wątpliwości.

— Jestem uzdrowiony! — zawołałem.

Powstałem, by wziąć jaką książkę i czytać... Zatrzymałem się nagle.

Nie, nie — powiedziałem do siebie, nie mogę czytać pierwszej lepszej książki w tej chwili.

Wziąłem z kominka broszurę o zjawiskach, co było słuszne. Przeczytałem sto stron bez przerwy,

nie doznając żadnego znużenia. Dwadzieścia minut przedtem nie byłbym mógł przeczytać ani trzech wierszy.

A jeżeli zatrzymałem się na stronie 104, to dla tego, że była godzina wpół do szóstej i że o tej porze w październiku jest już niemal ciemno w Paryżu. Kiedy odłożyłem książkę, zapalono gaz w magazynach.

Wieczorem wyspowiadałem się i opowiedziałem X. Ferrandowi o wielkiej łasce, jaką mię obdarzyła Najświętsza Panna. Jakkolwiek nie przygotowałem się tak, jak to powiedziałem, pozwolił mi przystąpić nazajutrz do Stołu Pańskiego, aby podziękować Bogu za dobrodziejstwo tak nadzwyczajne, wzmocnić postanowienia, jakie zrodził w sercu ten wypadek.

Mój przyjaciel i jego żona, jak to łatwo pojąć, byli wielce wzruszeni tem zdarzeniem, w którem Opatrzność pozwoliła im wziąć udział tak bezpośredni. Co się działo w ich duszy? To ich tajemnica i tajemnica Boga. Tego, com się dowiedział, nie mam prawa objawiać. Jakkolwiekbądź jest, znałem usposobienie mego przyjaciela. Pozwoliłem mu rozmyślać, lecz nie nalegałem wcale. Wiedziałem i wiem, iż Bóg ma Swoją godzinę i zna Swe drogi. Działanie jego zbyt było widomem we wszystkiem, co się stało, abym miał sam pośredniczyć w tem, by moi przyjaciele powrócili na łono Kościoła, który sam tylko mieści Boga całego.

Siedm lat minęło od czasu mego cudownego uzdrowienia. Wzrok mój jest doskonały. Ani czytanie, ani mozolna praca, ani czuwanie w nocy go nie męczą. Daj Boże, abym go używał tylko na dobre!

II.

A teraz inne jeszcze zdarzenie. Przed dwoma laty byłem w Bordeaux, gdzie odwiedziłem urzędnika

przy cle, pana Rogera Lacassagne. Uderzył mię zaraz z początku surowy wyraz zimnej jego fizyonomii.

Z grzecznością nieco szorstką byłego wojskowego zapytał mię o powód mej wizyty.

— Panie — rzekłem do niego — dowiedziałem się o pańskiej podróży do groty w Lourdes a ponieważ robię studya w tej sprawie, przeto przyjechałem tutaj, aby usłyszeć opowiadanie z ust pana.

Na słowa „grota w Lourdes“ surowa twarz jego rozpromieniła się i wzruszenie złagodziło wyraz jej ostry.

— Siądź pan — powiedział do mnie — i wybacz nieład. Rodzina moja wyjechała do Arachon dzisiaj i zastajesz pan cały chaos przeprowadzki.

— To nic nie szkodzi. Opowiedz mi pan wypadki, które znam tylko niedokładnie.

— Nie zapomnę — odpowiedział głosem, w którym czułem łzy — nigdy w życiu żadnego najdrobniejszego szczegółu... Mam tylko dwóch synów — mówił po chwili dalej. — Młodszemu, o którym mam opowiadać, imię Julian. Przyjdzie tu za chwilę. Zobaczysz pan, jaki łagodny, niewinny, jaki dobry.

Pan Lacassagne nie mówił mi o swem przywiązaniu dla syna młodszego, ale głos jego stawał się pieszczotliwym, gdy mówił o tem dziecku i świadczył o głębokości jego uczuć ojcowskich.

— Jego zdrowie — mówił dalej — było doskonałe do dziesiątego roku życia.

W tym czasie przyszła nagle, pozornie bez żadnej fizycznej przyczyny, choroba, której rozmiarów nie pojmowałem z początku. W dniu 25 stycznia 1865 r. Julek zaczął się skarżyć w chwili, kiedy zasiadaliśmy do kolacyi, na jakąś przeszkodę w gardle, która mu nie pozwalała połykać stałego pożywienia. Zjadł trochę zupy.

Ponieważ trwało to nazajutrz, przeto zawezwałem jednego z najlepszych lekarzy w Tuluzie, gdzie mieszkałem wówczas.

— To nerwowe — orzekł doktór, który mię zapewnił o blizkiem wyzdrowieniu.

W kilka dni później dziecko zaczęło znowu jeść i uważałem go za wyleczonego, kiedy choroba powróciła i trwała z różnemi przerwami do końca kwietnia. Od tego czasu stan ten trwał stale. Biedne dziecko żywiło się tylko mlekiem, rosołem i bulionem, który musiał być zupełnie czysty, gdyż przełyk w gardle stał się tak wązki, że niepodobna było chłopcu przełknąć nawet drobnej kaszki.

Malec chudł w oczach i niknął zwolna. Lekarze — wezwałem bowiem dwóch — zdziwieni dziwnym objawem i uporczywością choroby, napróżno usiłowali przeniknąć naturę choroby, aby módz znaleźć lekarstwo przeciwko niej.

Pewnego dnia, było to 10 maja, spostrzegam Julka w ogrodzie, biegnącego z niezwykłą żywością ruchów. Obawiałem się dla niego najmniejszego poruszenia.

— Julku, zatrzymaj się! — zawołałem, idąc do niego i biorąc go za rękę.

Wysunął mi się zaraz.

— Nie mogę tato, muszę biedz, coś mię ciągnie.

Wziąłem go na kolana; nóżki jego poruszały się konwulsyjnie. Później główka zaczęła się poruszać i wykręciła się.

Wreszcie wyjaśnił się istotny charakter tej choroby. Nazywają ją zwykle „tańcem św. Wita“. Ataki, które się powtarzały kilka razy, nie pozostawiły już żadnej wątpliwości lekarzom. Nie zdołali oni jednakże pokonać jej całkiem. Co najwyżej po kilku miesiącach leczenia złagodzili zewnętrzne objawy, jak poruszanie głową i nogami, a raczej objawy te

usunęły się same z siebie. Przez dwa lata zastosowywaliśmy najrozmaitsze sposoby leczenia bezskutecznie, zwężenie przełyku w krtani stało się chronicznem.

Ostatnią naszą próbą były kąpiele morskie. Żona zawiozła naszego nieszczęśliwego chorego nad morze. Biedne dziecko usuwało się od innych zdrowych dzieci, czuło się niejako skazanem i wyklętem...

Ojciec zamilkł, aby pokonać wzruszenie, opanowujące go na to wspomnienie i po chwili mówił dalej:

— Biedaczek ciągle był smutny. Gdy znalazł książkę, czytał ją, by się rozerwać. Pewnego dnia zobaczył na stoliku sąsiadki książeczkę z opisem objawień w Lourdes. Przeczytał ją i uczuł się głęboko wzruszony. Wieczorem powiedział matce, iż Najśw. Panna mogłaby go uzdrowić. Ona nie zważała jednakże na te słowa dziecka.

Po powrocie do Bordeaux, dokąd mię przeniesiono krótko przedtem, dziecko znajdowało się w tym samym stanie.

Było to w sierpniu zeszłego roku.

Tyle daremnych usiłowań, tyle nauki zastosowanej bez skutku przez najlepszych lekarzy, tyle starań bezowocnych pogrążyło nas w przygnębienie. Zniechęceni, zarzuciliśmy leki, pozwalając działać naturze i zdając się na wolę Bożą. Zdawało nam się, że tyle cierpień zdwoiło przywiązanie nasze do dziecka. Smutek postarzał nas o lat kilka, a tak, jak mię pan widzisz, mam dopiero czterdzieści sześć lat.

Spojrzałem na biednego ojca i w obec tej męzkiej twarzy, na której nieszczęście wyryło swe ślady, uczułem żywe wzruszenie. Uścisnąłem dłoń jego serdecznie i z głębokiem współczuciem.

— Tymczasem — opowiadał dalej — siły dziecka niknęły widocznie. Od dwóch lat nie spożył Julek żadnej potrawy stałej. Największemi staraniami

utrzymywaliśmy go przy pomocy płynów posilnych. Chudość jego stała się przerażającą. Bladość cery była straszliwa; nie było kropli krwi pod skórą, rzekłbyś, że to figura woskowa. Śmierć zdawała się zbliżać szybkiemi krokami. Jakkolwiek sztuka lekarska okazała się bezsilną, zwróciłem się jeszcze do niej.

Udałem się do najznakomitszego lekarza w Bordeaux, pana Gintrac. Tenże zbadał krtań dziecka, pokiwał głową i mało zrobił mi nadziei. Widział moją nadzwyczajną trwogę.

— Nie mówię, aby go nie można wyleczyć — dodał — ale bądź co bądź, jest on ciężko chory.

To były jego własne słowa. Lekarstwa jego jednakże tylko męczyły dziecko.

Cóż jeszcze uczynić? Udawaliśmy się do największych powag lekarskich w Tuluzie i w Bordeaux, a wszyscy okazali się bezsilnymi. Miałem przed oczami straszliwą pewność, że nasz syn był skazany i to nieodwołalnie.

Tak okropne przekonanie trudno powziąć sercu ojcowskiemu. Starałem się jeszcze łudzić samego siebie.

W czasie tego rozpaczliwego położenia powiedział Julek do matki z pewnością siebie, która ją zastanowiła, te słowa:

— Widzisz mamo? Pan Gintrac i żaden doktór nie mogą mię wyleczyć. Najświętsza Panna mię uzdrowi. Poślij mię, mamo, do groty w Lourdes, a zobaczysz, że wyzdrowieję. Jestem tego pewny.

Żona powtórzyła mi to jego żądanie.

— Ależ tu niema się co wahać! — zawołałem. Trzeba go zawieźć do Lourdes i to jak najspieszniej.

Nie powiedziałem tego, abym miał był wiarę. Nie wierzyłem w cuda i nie uważałem ich za możliwe. Ale byłem ojcem i żadna przypuszczalna ulga dla mego dziecka nie wydawała mi się pominięcia godną.

O zupełnem uzdrowieniu nie pomyślałem ani na chwilę.

Było to w zimie na początku lutego. Powietrze było zimne i obawiałem się dla Julka najmniejszej niepogody. Chciałem czekać na dzień pogodny.

Wiara naszego chłopca w cudowne uzdrowienie była tem dziwniejszą, że nie wychowaliśmy go w przesadzonej pobożności. Moja żona spełniała obowiązki religijne, ale to było wszystko, a co do mnie, to, jak już zauważyłem, hołdowałem ideom filozoficznym całkiem odmiennym.

Dzień 12 lutego zapowiadał się bardzo pogodny. Wyruszyliśmy koleją do Tarbes.

Przez całą drogę dziecko było wesołe, pełne żywej wiary w swoje uzdrowienie.

— Wyzdrowieję — powtarzał Julek co chwilę. — Tylu innych wyzdrowiało! Dlaczegożbym ja także nie miał doznać tego. Matka Boska mię uzdrowi!

A ja, panie, podtrzymywałem tę ufność, nie dzieląc jej, ową ufność tak wielką, że ją nazwałbym „otumaniającą," gdybym się nie lękał obrazić przez to Boga, który go nią natchnął.

W Tarbes w hotelu wszystkim podpadło to dziecko tak blade, wychudłe, a zarazem tak łagodne i miłe. Opowiadałem o celu naszej podróży. Poczciwi ci ludzie obrzucili nas serdecznemi życzeniami, w których uważałem niejako dobrą zapowiedź. Widziałem, iż powrotu naszego pragnęli z niecierpliwością.

Pomimo mych wątpliwości zabrałem ze sobą na wszelki przypadek pudełko biszkoptów.

Kiedy przybyliśmy do kaplicy nad grotą, odprawiała się tam właśnie Msza św. Julek modlił się gorąco, tak iż wydawał mi się jak przemieniony w czasie modlitwy.

Ksiądz zauważył jego pobożność i po mszy św. zbliżył się do nas. Przyszła mu dobra myśl i zwracając się do klęczącego jeszcze Julka, rzekł:

— Czy chcesz, moje dziecko, abym cię ofiarował Najświętszej Pannie?

— O! tak — odpowiedział Julek.

Kapłan przystąpił zaraz do odpowiedniej ceremonii i odmówił odnośne modlitwy kościelne.

— A teraz — zawołało dziecko tonem głębokiego przekonania — teraz wyzdrowieję!

Zeszliśmy do groty.

Julek ukląkł przed figurą Matki Boskiej i modlił się. Wstał; poszliśmy do źródła.

Ta chwila była okropną.

Obmył szyję i piersi, następnie zaczerpnął szklankę wody cudownej i wypił z niej nieco.

Był spokojny, szczęśliwy, wesoły i promieniejący.

Co do mnie drżałem i omdlewałem niemal przy tej ostatniej próbie. Wstrzymywałem i hamowałem jednakże wzruszenie moje jak mogłem. Nie chciałem mu okazywać mych wątpliwości.

— Spróbuj teraz jeść — odezwałem się do niego, podając mu biszkopt.

Wziął; odwróciłem głowę, nie czując w sobie dość siły, aby patrzeć na niego. Niebawem jednakże trwoga moja rozproszyła się.

Radosny głos Julka wołał:

— Tato! połykam! mogę jeść! Byłem tego pewny, wierzyłem w to.

Co za wzruszenie! Moje dziecko, będące już w szponach śmierci, zostało ocalone i to nagle! A ja, ja, jego ojciec byłem obecny przy tem wskrzeszeniu.

Aby nie zakłócać spokoju wiary mego dziecka, przemogłem się, by nie okazać zdumienia.

— Tak, moje dziecko, to było pewnem i nie mogło stać się inaczej — odezwałem się do niego głosem, który siłą woli starałem się uczynić pewnym.

A jednak w sercu mojem wrzała burza, ogień palił pierś moją.

Powtórzyliśmy doświadczenie. Zjadł kilka jeszcze biszkoptów, nie tylko bez trudności, ale z wzrastającym apetytem. Musiałem go powstrzymać.

Odczuwałem potrzebę podziękowania Bogu za to szczęście.

— Czekaj na mnie — rzekłem do Julka — i módl się do Najświętszej Panny. Ja idę do kaplicy na górę.

Zostawiając go klęczącego w grocie, pobiegłem do księdza z radosną nowiną. Byłem jak ogłuszony. Oprócz szczęścia tak niespodziewanego i tak nagłego, oprócz wzruszenia serca uczułem w duszy niewypowiedziany niepokój. Przewrót jakiś dokonywał się w mych myślach, w mej duszy.

Kapłan zbiegł spiesznie na dół i ujrzał Julka, kończącego ostatni biszkopt. Biskup z Tarbes znajdował się właśnie tego dnia w kaplicy. Chciał zobaczyć mego syna. Opowiedziałem mu o przebiegu okropnej jego choroby, która się skończyła tak cudownie. Wszyscy pieścili dziecko, wszyscy cieszyli się razem ze mną.

Co do mnie, myślałem o matce i jej szczęściu. Przed powrotem do hotelu pobiegłem do biura telegraficznego i wysłałem depeszę, która zawierała ten jeden wyraz: „Uzdrowiony!“

Zaledwie odeszła, a już byłbym chciał ją cofnąć.

— Może się zanadto pospieszyłem — pomyślałem sobie — kto wie, czy choroba nie powróci?

Nie śmiałem wierzyć w szczęście, jakiego doznałem, a kiedy w nie wierzyłem, to zdawało mi się, że ono mi ucieknie.

Dziecko było uszczęśliwione bez żadnej domieszki zaniepokojenia.

— Widzisz, tato — powtarzał co chwilę — że tylko Matka Boska mogła mię uleczyć. Kiedy to mówiłem, byłem o tem silnie przekonany.

W hotelu zjadł obiad z wybornym apetytem. Nie mogłem napatrzeć się na niego.

Do groty chciał wrócić pieszo, by podziękować Najświętszej Pannie za uzdrowienie.

— Będziesz bardzo wdzięczny Matce Boskiej? — zapytał go jeden z kapłanów.

— O! nie zapomnę o Niej nigdy! — zawołał.

W Tarbes zatrzymaliśmy się w hotelu, w którym stanęliśmy dnia poprzedniego. Czekano na nas. Radość była wielka; otoczono nas, podawano Julkowi potrawy, z widoczną przyjemnością patrząc, jak zjadał smacznie, on, który dnia poprzedniego mógł przełknąć zaledwie kilka łyżeczek płynu.

Spieszno nam było zobaczyć matkę. Wyjechaliśmy kuryerskim pociągiem do Bordeaux. Dziecko było znużone podróżą i wzruszeniem, pragnęło położyć się do łóżka i nie jadło kolacyi. Kiedy matka zobaczyła chłopca tak zmęczonego, odmawiającego pożywienia, ogarnęło ją okropne przeczucie. Była zrozpaczona, mówiła, że ją oszukałem i trudno mi było niezmiernie uspokoić ją. Jakież było jej szczęście, gdy nazajutrz nasz Julek zasiadłszy z nami do stołu, zajadał śniadanie z najlepszym w świece apetytem! Wtenczas dopiero uspokoiła się i upewniła.

— A od owego czasu nie powtórzyła się choroba wcale? — zapytałem.

— Ani trochę. Uzdrowienie było nagłe i całkowite. Lekarze musieli uznać charakter cudowny faktu. Codziennie składam Bogu akty dziękczynne za to, iż ocalił mi cudownie dziecko i serce moje zwrócił ku Sobie.

Po chwili milczenia ojciec mówił dalej:

— Od owej chwili Julek jest niezwykle pobożny. Zobaczysz go pan. Szlachetność jego uczuć maluje się na twarzy. Charakter jego jest prosty i podniosły, nie jest zdolnym do kłamstwa lub jakiejkolwiek podłości. Pobożność rozwinęła w nim wro-

dzone przymioty w wysokim stopniu. Lubi naukę i jest pierwszym w klasie. Jest naszą radością i pociechą.

W tej chwili drzwi się otworzyły i Julek wszedł z matką do pokoju, w którym siedzieliśmy. Ucałowałem go z wzruszeniem. Wysokie i szerokie czoło jego jest prześliczne, oczy bardzo wielkie i żywe wyrażają rzadką bystrość i odbijają piękną duszę. Zdrowie tryska mu z twarzy.

— Jesteś pan szczęśliwym ojcem — rzekłem do pana Lacassagne.

— Tak panie, bardzo szczęśliwym. Ale wycierpieliśmy wiele, moja żona i ja.

— Nie skarż się pan — rzekłem do niego, biorąc go nieco na bok — ta droga cierpień była drogą, która prowadziła z ciemności do światła. Najświętsza Panna z Lourdes okazała się po dwakroć matką. Synowi pańskiemu dała życie doczesne, panu życie prawdziwe, które się nie kończy.

KSIĘGA JEDENASTA.

I.

Powróćmy do Lourdes. Czas mijał, skrzętność ludzka zabrała się do dzieła.

Okolice groty zmieniły powierzchowność. Wspaniała świątynia, opierająca się dumnie na skałach Massabielle, wznosiła się ku niebu. Stroma przestrzeń pokryła się murawą, zarosła krzewami i zabarwiła kwiatami. W cieniu akacyi, wśród kwiatów i murawy, prowadziła wygodna ścieżka, wijąc się wężykowato, do kościoła groty.

Grotę zamknięto żelazną kratą, jak kaplicę. U jej sklepienia zawisła złota lampa, światło płonęło we dnie i w nocy.

Cudowne źródło zasilało przez trzy wielkie ujścia, wyłożone bronzem, basen, w którym zakryci przed ludzkiem okiem, chorzy mogli się zanurzać.

Wszystkie te zmiany dokonywały się przy olbrzymim napływie wiernych. Ofiary, wrzucane do groty, opłacały same ogromne koszta tych robót olbrzymich.

Zachęcając robotników, czuwając nad wszystkiem, przykładając nieraz ręki do dzieła, X. proboszcz Peyramale zdawał się być wszędzie równocześnie. Ciągle myślał on o zleceniu, jakie mu dała Najświęt-

sza Panna przez pośrednictwo małej pasterki. Poświęcił on życie swoje na spełnienie rozkazów przemożnej Królowej Niebios. Wiara jego była wielka i gardził ciasnemi poglądami mądrości ludzkiej.

Pewnego dnia w obecności kilku duchownych i świeckich budowniczy podał mu plan do kościoła, mającego się wznieść ponad grotą. Plan ten był ładny i wdzięczny, X. Peyramale rzuca na niego wzrokiem, oblewa się rumieńcem gniewu, drze papier i rzuca go do Gawy.

— Co ksiądz proboszcz robi? — woła budowniczy zdumiony.

— Pan widzisz, odpowiada kapłan; rumienię się za to, co płaskie uczucia ludzkie ośmielają się ofiarować Matce Bożej i niszczę nędzny wyraz tego. Tutaj na pamiątkę wielkich wypadków, które się tu zdarzyły, nie potrzeba kościółka wiejskiego, lecz należy się świątynia z marmuru tak wielka, jaką pomieścić zdolne szczyty skał Massabielle, tak wspaniała, na jaką się zdobyć może umysł pański. Niech się pański geniusz wysili, niechaj go nic nie powstrzymuje i niech nam przedstawi arcydzieło. A wiedz pan o tem, że choćbyś był Michałem Aniołem, to i wszystko jeszcze będzie niegodnem Maryi Dziewicy.

— Ależ, zauważono z kilku stron, potrzebaby milionów na urzeczywistnienie tego, czego X. proboszcz pragniesz.

— Ta, która wydobyła źródło z twardej skały, będzie umiała także wzruszyć serca wiernych — odpowiedział czcigodny kapłan. — Nie lękajcie się niczego, ludzie małej wiary!

Świątynia się wznosiła w rozmiarach, oznaczonych przez sługę Bożego.

Niekiedy w godzinach, kiedy najmniej było ludzi przy skałach Massabielle, mała dziewczynka przychodziła modlić się pokornie u miejsca objawienia się Najświętszej Panny i pić wodę źródła. Było to dzie-

cię ludu, biednie ubrane. Nikt, prócz tych, co ją znali osobiście, nie domyślał się w niej Bernadety. Uprzywilejowana przez Boga ukryła się i cofnęła z widowni. Chodziła do szkoły do Sióstr, gdzie była najskromniejszą ze wszystkich dzieci. Liczne odwiedziny, jakie otrzymywała, nie zakłócały spokoju jej czystej duszy, w której żyło ciągłe wspomnienie Najświętszej Panny.

II.

Kościół dotychczas nie objął żadną zewnętrzną ceremonią w posiadanie nabytej ziemi. Nastąpiło to w sposób uroczysty w dniu 4 kwietnia 1864 r. przez poświęcenie wspaniałej figury Matki Boskiej, umieszczonej w zagłębieniu, w którem Najświętsza Panna objawiła się oczom ludzkim.

Pogoda była piękna, miasto Lourdes zdobiły kwiaty, wieńce i bramy tryumfalne. Przy odgłosie wszystkich dzwonów wyruszyła procesya, jakiej nie pamiętano w Lourdes. Pochód zamykał X. Biskup z Tarbes w otoczeniu przeszło czterystu kapłanów.

Niestety! wśród dzieci Maryi brakło Bernadety, w szeregu kapłanów, otaczających Biskupa nie było X. Proboszcza Peyramale.

W chwili, kiedy wszyscy święcili wielką uroczystość, X. Proboszcz z Lourdes złożony był ciężką chorobą, którą uważano za śmiertelną. Chciał wstać, by zobaczyć chociaż świetny orszak, lecz sił mu zabrakło.

I Bernadecie Bóg odmówił tej łaski, i ona leżała chora. Może Opatrzność, chcąc ukochanemu dziecięciu oszczędzić pokusy próżnej chwały, odjęła mu możność uczestniczenia w wielkiej uroczystości, w czasie której byłaby dziewczyna słyszała imię swoje, powtarzane przez tysiące ust.

Dzisiaj wielka świątynia stoi ukończona i od dawna spełnia się pod jej sklepieniem bezkrwawa

Ofiara. Niezliczone pielgrzymki z wszystkich stron świata przybywają do groty, szukając pociechy dla duszy i ciała, a Najświętsza Panna nie odmawia swej nadprzyrodzonej pomocy i cuda nie ustają, świadcząc o wszechmocy Bożej.

Na zakończenie tego opowiadania, które spisaliśmy wedle źródeł wiarogodnych ku większej chwale i czci Najświętszej Panny, powróćmy jeszcze do Bernadety, owej niewinnej, prostej dzieweczki, wybranej przez Niepokalaną Dziewicę.

Bernadeta w kilka lat później w 1865 r. przyjęła habit i welon Siostry Miłosierdzia w Nevers, gdzie jako Siostra Marya Bernarda, zakończyła cichy i pobożny żywot swój w dniu 16 kwietnia 1879 r. Oddała czystego ducha Bogu i po trzydziestu pięciu latach życia poszła oglądać w niebie oblicze ***Niepokalanej Dziewicy***, której cześć i chwała oby zapanowała we wszystkich sercach ludzkich!